

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 170.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1883.

SERYA V.

Maj.

TOM II. — ZESZYT V.

WARSZAWA.
W Drukarni Józefa Bergera.

Ulica Elektoralna, Nr. 14.

Ukończono druk dnia 2 maja 1883 r.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. O założeniu biskupstwa lubuskiego. Napisał Stanisław Maroński.	167
II. Przyjaźń i miłość w życiu Mickiewicza. (Okres wileński i kowieński). Napisał dr. Teofil Ziemia	190
III. Czterolecie rządów hr. Taaffego. Przez Eug. Lipnickiego. .	217
IV. W beczce Dyogenesa. Komedya w jednym akcie Jarosława Vrchlickiego. Przełożył z czeskiego Miriam.	236
V. Projekt pomnika Mickiewicza wobec środków i zadań skulptury monumentalnej. Przez Karola Matuszewskiego	252
VI. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. Starodawne epopee francuzkie. — Cykl Wilhelma księcia Oranii: „Śluby Wawiana.“—Rozprawy pana Wallon o pracach zmarłych akademików.—List Ignacego Domejki do Bohdana Zaleskiego. — Ruch literacki w Prowancyi i Katalonii.—„Formoza,“ tragedia p. Vacquerie, z dziejów Anglii w XV wieku. — „Znaczenie rodziny w Chinach,“ przez p. Simon. — „Islamizm pod względem nauki,“ konferencya p. Renan. — „Obserwacye astronomiczne“ p. Adama Prażmowskiego.—Statystyka teatrów paryzkich	272
VII. Teatr.	300
VIII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
Dr. Edmund Krzymuski: „Teorya karna Kanta ze stanowiska jego ogólniej nauki o rozumie praktycznym.“ Osobne odbicie z rozpraw wydziału filozoficznego Akademii Umiejętności, tom XVI. Kraków, 1882, str. IV i 113. Przez H. Struve	311
American humorists, lectures delivered at the royal institution by the Haweis. London, 1883. Przez J. A. Świącickiego.	318
IX. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne. — Zebranie ogólne Towarzystwa wzajemnego kredytu.—Towarzystwa warszawskiego ubezpieczeń od ognia (322).—Banku dyskontowego.—Sprawozdanie kasy imienia Mianowskiego.—Odczyty na dochód kasy im. Mianowskiego.—Jubileusz Rafała.—Wystawa zabytków z czasów Sobieskiego (323).—Pomnik Mickiewicza (324).—Towarzystwo czytelników ludowych w W. Ks. Poznańskim.—Spółka Muzeum pszczelniczego.—Wystawa ornitologiczna w Wiedniu, — Muzeum narodowe w Łużycach (325).—Czytelnia w Miechowie.—Komisyja do ułożenia terminologii technicznej polskiej.—Skroplenie tlenu.—Jubileusz Hugona Grotiusa (326).—Ludwik Veuillot.—Posiedzenie Akad. Umiej. dnia 19 kwietnia. Wydział filozoficzny. (Ujednostajnienie pisowni polskiej) (327).—St. Skrzyński: „Andrzej hr. Zamojski.“—Baranow-	



De. II. 1.

O ZAŁOŻENIU

BISKUPSTWA LUBUSKIEGO,

NAPISAŁ

Stanisław Maroński.

Sprawa fundacyi najstarszych biskupstw w Polsce jest z tego powodu kwestyą, obchodzącą szerszą publiczność polską, że przedstawia najwymowniejsze świadectwo wczesnego i trwałego wpływu cywilizacyi zachodniej na organizowanie się u nas w epoce Piastów główniejszych instytucyi hierarchicznych i państwowych. Zakładanie biskupstw nie tylko powodowało fundacye miast; ale wpływało korzystnie na rozwój rolnictwa, urzędzeń społecznych, rzemioł, szkółek katedralnych i t. p. Pod tą chorągwią kroczyła wreszcie nie tylko cywilizacya zachodnia, dobroczynna w swych skutkach; ale i zabójczy giermanizm, który tak zjadliwie wpijał się w granice plemion lechickich, że na wielu okolicach potrafił nawet zatrzeć polskości znamię. Ważnym dokumentem tego zjawiska dziejowego jest historia biskupstwa lubuskiego.

Na zachodnich kresach Wielkopolski leżała ziemia lubuska (Lebus). Rozpierała się ona na wschód i zachód pomiędzy Odrą, a nizinami i moczarami średniej Sprowy, dotykając rzeczek Łoknicy i Stobrazy; na północ sięgała obszarów błotnistych Odry, poniżej ujścia do niej Myśli (Mietzel) ¹⁾; na południe zaś, poza Miłoradem (Müllrose) ²⁾ przedzieloną była rzeczką Słupą (Schlaube) od Słupczan plemienia, w dawnych źród-

¹⁾ W dokum. Władysława Odonicza z r. 1232 (Cod. Dipl. Major. Poloniae I, str. 124): Mizzla; w dokum. Bolesława, księcia Wielkopolskiego na Kaliszu z r. 1259 (tamże, I, 331). Myzla; w dokum. Barnima I, księcia słowiańskiego na Szczecinie, † w r. 1234 (Cod. Dipl. Pomer. ed. Kosegarten, Mizla).

²⁾ Mulrase na mapie Bloego z wieku XVII-go.

dłach skażonym sposobem Selpulami, Selpelami zwanych ¹⁾. Dzisiaj obejmuje tę ziemię mniej więcej teraźniejszy powiat lubuski.

Zamieszkiwali ziemię tę Lubuszanie, Lubuzzi, należący do wielkiej rodziny lechicko-polskich ludów, a policzeni do grupy południowo-łużyckich ²⁾ plemion w Dolnych Łużycach osiadłych, tak przez dawnych rocznikarzy, jakoteż przez nowszych pisarzy. Starczy, gdy powołam na świadków Szafarzyka ³⁾ i Bogustawskiego ⁴⁾. Prawda, iż niektórzy, jak Kannegiesser ⁵⁾, niesłusznie do Hawellów, a więc do północnych ich policzają Łużyczan. To samo i Naruszewicz ⁶⁾ czyni, chociaż i do przeciwnego przychyła się zdania, gdy przyznaje ⁷⁾, że należeli oni do „Słowaków południowych,” i gdy słuszną czyni uwagę ⁸⁾, że Konrad, margrabia miszoniński i dolno-łużycki najechał r. 1209 ziemię lubuską, będącą w posiadaniu Władysława Laskonogiego, zapewne dlatego, iż ją uważał jako należącą do Łużyc dolnych.

Politycznie należała ziemia ta od czasu Bolesława Wielkiego do Polski. Gdy tenże zwycięzki swój oręż przeniósł na lewą stronę Odry, by odeprzeć zalew teutoński, pochłaniający ludy słowiańskie, pomiędzy Elbą a Odrą, z których mianowicie nadodrzańscy politycznych nie tworzyli związków, ale osobno na rody i plemiona podzieleni w prastarém żyli gminowładztwie; wtedy zagarnął on też ziemię lubuską i z państwem ją swoim połączył. Na początku wieku XIII zostawała jeszcze ziemia ta pod rządem książąt wielkopolskich. Gdy jednakowoż sromotne walki pomiędzy Władysławem Laskonogim, a jego synowcem Władysławem Odoniczem, wstraszny sposób szarpały Wielkopolskę, gdy wśród przelewu krwi bratniej kłęski i niedola ją napełniły, a niemoc polity-

1) W ziemi Słupczan leżało miasto Sulpize (w dokum. cesarza Otona I z r. 967) Lünig, sp. eccl. II, dodat. 96). Oczywiście forma przekrecona, zamiast Słupce, od którego Słupczanie, a nie Słubianie, jak ich Szafarzyk, (Starożytności Słowiańskie), (tłóm. Bońkowski, II, 730), nazywa.

2) Między Elbą a Odrą nie byli pierwotni, wedle mego mniemania, ani dolni ani górni Łużycanie, lecz północni, czyli pomorzy, co identycznymi byli z tak zwanymi hawelsko-lutyckimi plemionami (porówn: Słowianie Meklemburscy, Bibl. Warsz., r. 1881, str. 33, 34), i południowi, mieszkający w Łużycach, dolnemi później zwanych. Dzisiejsze Górne Łużyce dopiero w połowie XV-go wieku tak się nazywać poczęły, przejmując miano od sąsiednich, Dolnych Łużyc (Büsching, Erdbeschreibung, III, 192). Boć jakżeby też można kraj górzysty nazwać Łużycami, która to nazwa, jak wiadomo, pochodzi od ług, łęg, łuz wa, łuzina, i oznacza ziemię pełną łęgów, ługowatych bagien, łuzyn.

3) II, 730, 773.

4) Rys Dziejów Serbo-łużyckich, str. 5.

5) Bekehrungsgeschichte der Pommern; str. 24.

6) Historia Narodu Polskiego, II, 174.

7) Tamże, II, 179.

8) Tamże, VI, 195, 196.

czna i społeczna państwo ogarnęła; wtedy nieomieszkał Henryk I, Brodaty, ksiązę szlązki, z rodu Piast, z tego rozpaczliwego stanu Polski korzystać, i opanowawszy ziemię lubuską, do kraju ją swego około r. 1215 ¹⁾ wcielić. Przekazał on ją swoim następcom, w których rękę jednakowoż długo nie pozostała. Wnuk jego, Bolesław Xysy, Rogatka zwany, łotr wzorowy, którego poniekąd za szalonego poczytywano, z powodu marnotrawstwa swego, i krwawych zatargów z braćmi i krewnymi swymi, zawsze w długach i biedzie, zastawił tę ziemię r. 1251 margrabiom brandeburskim. A gdy z długu uiszczyć się nie mógł, „osiękła, mówi Naruszewicz ²⁾, zastawa lubuska w rękę brandeburskich: a zamek ów (Lubusz) z okolicznym powiatem, starożytném królów i ksiąząt polskich dziedzictwem, już wicęj do nich nie powrócił.“

W głównym grodzie ziemi tej, w Lubuszu (Lebus), nad Odrą położonym, co i siedzibą był kasztelana, założonem zostało biskupstwo lubuskie, które nazwisko swe bądź od grodu, bądź od ziemi wzięło, i które przez cały ciąg swojego bytu, t. j. do roku 1551 ³⁾, ulegało metropolitalnej zwierzchności arcybiskupa gnieźnieńskiego, którego biskupi, albo sami, albo zastąpieni przez swoich prokuratorów, we wszystkich synodach prowincjonalnych udział brali ⁴⁾.

¹⁾ Roepell. Geschichte Polens, str. 423.

²⁾ VII, 117. Porówn: Roepell, str. 477. Wohlbrück, Geschichte des Bisthums Lebus, I, 22.

³⁾ W tym roku umarł ostatni katolicki biskup lubuski. Po śmierci jego elektor brandeburski mianował biskupem niedoletniego luterskiego margrabię Joachima Fryderyka, który, zostawszy elektorem r. 1598 tytuł biskupi porzucił, i nominalnie już tylko egzystujące biskupstwo sekularyzował. Porówn. Müller, Geschichte der Reformation in der Mark Brandenburg, str. 304—306. To też myli się ks. Korytkowski, gdy pisze (Liber Beneficiorum Łaskiego I, 223), że Lubrańscy już około r. 1512 (tamże) dobra biskupów lubuskich w Wielkopolsce położone, dopięro po upadku biskupstwa nabyli.

⁴⁾ Buliński, (Historya Kościoła Polskiego, I, 235) twierdzi, że od czasów, jak ziemia lubuska przeszła (r. 1251) w ręce margrabiów brandeburskich, biskupstwo lubuskie pod jurysdykcją metropolitalną arcybiskupów magdeburgskich poddane zostało. Wielki to błąd; jak to dostatecznie następujące stwierdzają fakta: Na synodzie prowincjonalnym wrocławskim, odprawionym pod legatem Gwidonem r. 1267, znajduje się arcybiskup Janusz z sufraganami swymi, pomiędzy którymi widzimy też i biskupa lubuskiego, Wilhelma. (Fabisz, Wiadomość o Synodach Prowincjonalnych Gnieźnieńskich, I, 31); r. 1257 na synodzie łączyckim arcybiskupa Pelki jest tenże sam biskup Wilhelm obecnym (Helcel, Starodawne Praw. Pols. Pomn. I, 357); r. 1270 na synodzie sieradzkim arcyb. Janusza tak samo Wilhelm, biskup lubuski się znajduje (Codex Dipl. Poloniae ed. Rzysszczewski, II, 82). Zastąpieni są biskupi lubuscy przez swoich prokuratorów na synodach: uniejowskim arcyb. Janisława, r. 1326 (Helcel, tamże, I, 397), kaliskim arcyb. Jarosława, r. 1357 (Helcel, tamże, I, 407), Kaliskim arcyb. Mikołaja Kurowskiego, r. 1406 (Fabisz, tamże, I,

W skład biskupstwa tego wchodziła najprzód ziemia lubuska, w powyżej podanych granicach. Leżała ona na terytorium dyecezyi brandenburskiej ¹⁾. Gdy zaś tylko 30 mil kwadratowych obejmowała, trzeba było nowe biskupstwo powiększyć ułamkami sąsiednich dyecezyi. Od południa przyłączono kosztem biskupstwa miszońskiego ziemię słupską, obejmującą w sobie kasztelaniją szydłowską ²⁾. Przyrost od wschodu, po prawej stronie Odry, stawić musiała dyecezya poznańska; a składały go wielkopolski powiat sulenciński (Zielenzig), i pomorskie ziemie kostrzyńska (Küstrin) i chojnicka (Kienitz). Powiat sulenciński ³⁾ objęty

47), Kaliskim arcyb. Mikołaja Trąby, r. 1420 (Tamże, I, 48). W r. 1345 świadczy papież Klemens VII: „provincia Poloniae, infra quam ecclesia Lubusensis existit.“ (Helcel, I, 390). W r. 1427 rozstrzyga arcybiskup gnieźnieński w Włocławku wspólnie z biskupami, oczywiście swymi sufraganami: krakowskim, poznańskim, wrocławskim, płockim i lubuskim spór pomiędzy biskupem włocławskim a Piotrem z Lubstowa (Rzyszcz: II, 429). Źródła zaś archiwalno kapituły gnieźnieńskiej świadczą, że arcybiskup Jan Łaski, r. 1524 przywrócił pod jurysdykcją metropolii gnieźnieńskiej usuwające się biskupstwo lubuskie. (Prwn. Korytkowski, Żywot Łaskiego w Liber Benef. Łaskiego I, 84).

¹⁾ W dokumencie fundacyjnym biskupstwa brandenburskiego, r. 949 przez cesarza Ottona I wystawionym czytamy: „Terminum vero eidem parochiae constituimus orientem versus ad flumen Odera. (Gercken, Stifts-Historie von Brandenburg, str. 336).

²⁾ Szydłów dawniej po lewej strony Odry leżał, dziś w skutek zmiany koryta tej rzeki po prawej leży stronie. Wohlbr. I, 42.

³⁾ Wziął on nazwisko swoje od grodu Sulęcina, z niemiecka Zielenzig. W dokumencie z roku 1244 zamek i miasto zwane są: Zulenche (Riedel, die Mark Brandenburg, I, 486); w dok. z r. 1241: Sulench (Wohlbr. III, 516); w dokum. z r. 1308: Solenziek, (tamże, I, 114); w Landbuch cesarza Karola IV z r. 1375 (str. 37): Czulenzk. W „Długoszu” (ed. Huyssen, I, 787) czytamy: castrum, Sulencz. Na Salencin naprowadza nas prócz tego analogia podobnych nazw miejscowych: Sulencin, wsie w powiatach: kartuzkim, pleszewskim, średzkim. Nazwa ta oznacza włość Sulenty, Sulislawa. Wieś na Kaszubach, w pow. kartuzkim, Sulęcín, zwana jest w dokum. z r. 1209 Sulislave (Koseg. Cod. Dipl. Pom., str. 215, 1018; porówn. Perlbach, Pommerellisches Urkundenbuch, str. 22, n. 2. Polskie s niemcy często w z (wymaw. c) przemieniają: zoche- socha; Zedlitz- Siedlice, Zempelburg- Sępólno. Dowolna zaś przemiana przyrostków w przekręcaniu nazwisk polskich u Niemców jest po zwyczaju: Baudach- Budychów; Funkelkau- Wonglikowice; Ratzeburg- Raci-borz; Dratzig- Draskowo; Pobzig- Popowico. Cielęcín, którą to formę w książkach nowoczesnych spotykamy, nie jest przywróceniem pierwotnej nazwy, ale dowolnym przerobieniem zgiermanizowanej starożytniej formy, spowodowanem przez podobieństwo brzmienia. Podobnie stało się z nazwą Scheitnig wsi pod Wrocławiem, która wedle dokumentów dawniej się zwała Świątnikami, Villa Sanctariorum, a teraz po polsku Szczytnikami nazywaną bywa. Już Dytmar,

był od zachodu i północy Odrą i Wartą; na wschód biegła granica jego obok rzeki Postun, począwszy od jej ujścia do Warty, aż do dolnego jej biegu; poczem na wschód się wykręcając, zdążyła w południowym kierunku aż do Wędzińskiego jeziora (Wandern See), ku źródłom rzecz-

biskup merseburski, autor znakomitej kroniki pomiędzy r. 1009 a 1018 pisaną, wspomina o ziemi Sulencińskiej, gdy powiada, że wojska cesarza Henryka II, podczas wojen z Bolesławem Wielkim toczonych, r. 1010 tegoż ziemię „Cilensi“ (VI, 38) najechawszy, spustoszyły. Powszechnie utrzymują, że Cilensi, tyle co Silensi, oznacza tu Szląsk ówczesny, t. j. okolice około rzeki Ślęzy (Lohe) i góry Czuboty (Zobtenberg), po prawej stronie rzeki Katzbach, pomiędzy górami Kłodzkimi a Wrocławiem położone. Tak sądzą między innymi Naruszewicz (IV, 103), Komarnicki (Kronika Dytmara Merseburskiego, str. 240), Raumer, (Regesta Histor. Brandenburg: Erleuterungen, n. II, str. 7), Szafarzyk (II, 498), Bielowski (monum. Polon. Histor. I, 285, n. 2). O ile mi wiadomo, sam tylko Lelewel (Polska Wieków Średnich II), a za nim Bogusławski odgadli, że przez Dytmara „Cilensi“ rozumieć wypada mieszkańców powiatu sulencińskiego, których też na odnośnych mapach w tymże powiecie umieścili. Jednak żaden z nich tego domysłu nie poparł argumentami. Uczynić się to da, gdy, wzięwszy mapę do pomocy, rozważy się odnośne opowiadanie Dytmara (VI, 38). Otóż wojsko niemieckie, zebrawszy się w Białogórze (Belegori); jest to z pewnością dzisiejszy Wittenberg nad Elbą, która to nazwa jest tłumaczeniem Białogóry, a nie Belgern, a wcale nie Belgiern w Luzaoyi Wyższej, jak to Naruszewicz (IV, 102), a za nim Komarnicki (str. 239) twierdzą; wkroczyło do ziemi Łużyckiej, na której pograniczu leżało miasto Jaryna, (a Gerone dicta marhione), dzisiejsza wieś Gehren obwodu łukowskiego w marchii brandeburskiej. Tu ztąd ruszyło na spustoszenie ziemi Cilensów, a potem Dziadoszan, zamieszkujących ziemię między rzekami Bobrem, Odrą i Katzbachem. W tej ziemi posunęło się pod Głogów, a spustoszywszy w okół leżącą krainę, przez kraj Milczanów, t. j. przez dzisiejsze Górne Łużyce ku Elbie wróciło. Gdy zaś w ziemię „Cilensi“ wprost przez Dolne Łużyce z Jaryny na Lubin (Lübben), Luboradz (Liberose) i Przybrzeg (Fürstenberg) droga 12 mil długa prowadzi, a ziemia ta z krajem Dziadoszan na południe graniczy, Odrą przedzielona; gdy nadto ziemia szlązka 10 mil na południe Głogowa, poza rzeką Katzbach, się poczyniała, a przytem w odległości około 34 mil od Jaryny, przez ziemię Dziadoszan, Bobrzan od Dolnych, jak od Górnych Łużyc przedzieloną była: nie można inaczej jak tylko owych „Cilensi“ w powiecie sulencińskim, a bynajmniej nie w księstwie wrocławskim szukać.

Winiem się jeszcze usprawiedliwić z powodu iż, w miejsce powszechnie używanego nazwiska Sobótka, Sobota, wprowadzam jako nazwę góry z niemiecka Zobtenzwaną, miano: Czubota. Z tego powodu niechaj mi dozwoloną będzie mała dygresya. Wiem ja, że nazwę owiej góry, która zresztą dawniejszemi czasy Ślęzą, górą Szlązką się zwała, z powodu, iż w pobliżu rzeki Ślęzy, dziś Lohe zwaną leżała (Dytmar VII, 44), niektórzy (Kazim. Szulc, Mythologia Słowiańska, str. 136) wyprowadzają od Sobótek, nazwy znanych uroczystości ludowych, odbywających się w wilią Ś-go Jana, a pochodzących z czasów

ki Pilski (Pleiske) ¹⁾, a towarzysząc téjże aż do dolnego jój biegu, i tworząc zarazem granicę południową, skręciwszy się w kierunku południowo-zachodnim, biegła ku Odrze, by się u niój, powyżej wioski Rupic (Rampitz) ²⁾, z zachodnią zetknąć granicą. Ziemia ta odpowiada dzisiejszemu powiatowi sternberskiemu, pomiędzy Odrą a W. Ks. Poznańskim położonemu, z wyjątkiem wschodniego pasa, w którym miasta Konigswalde i Żyromyśl (Schermeisel) leżą. To były granice powiatu

pogańskich. Całkiem to niesłusznie. Źródłosłowem miana owego jest: czub, w słowiańskim i czarnogórskim zhop, w znaczeniu wierzch, wierzchołek, czub góry (Linde, Słownik, s. v. czub). Nie żadne mytologiczne, ale proste lokalne pojęcia dały pochoch do utworzenia owego nazwiska. Wyraz początkowo pospolity nabrał czasem znaczenia imienia własnego. Ale nie tylko góry, pagórki, lecz więcej jeszcze miejscowości u podnóża ich leżące noszą ową nazwę. Z gór przytaczam: Zobten, góra na wyspie Usedom; Czubatka szwedzka pod Godziszewem w Prusach Zachodnich (Neue Preuss. Provinz. Bl. V, 183). Z miejscowości: Zobten, miasto u stóp Czuboty, zwane w XIV wieku: Czobotha (Theiner, Monum. Polon. I, 370, dokum. z r. 1335. Cod. Dipl. Siles. I, 66, 99, dok. z r. 1395, 1417); Zobten wieś w pow. Loewenbergskim; Copoty, z niem: Zoppot, w pow. wajrowskim; Zoppoten w księstw. Reuss-Schleiz; Sobota, wsie w pow. poznańskim, grudziędzkim, libomirskim (Czechy); Sobotten w Spizkiem, też Georgerberg (Mons S. Georgii) zwane; Sobótka w pow. pleszewskim, bolesławskim (Czechy). Wyjaśnienie lingwistycznej transformacji bynajmniej nie trudne. Że spółgłoski cz i s pomiędzy sobą wymianę dozwalają, na to kilka przykładów: Czajka w znaczeniu łódź brzmi w kroackim sajka; człowiek w bośniackim ć,lovjek; cztery w słowiańskim i kroackim stiri; czterdzieści w słowiańskim stiredi; poczta- Post. Że zaś samogłoska u na o przechodzi i na to są dowody. Bronowice, wsie w Krakowskim i Lubelskim, zwaly się dawniej, jako od imienia Bruno pochodzące, Brunowicami (Długosz, Liber Benef. I, 159, 196). Aleć i czub brzmi w niektórych narzeczach słowiańskich, jakeśmy widzieli, zhop; a po rusku nazywa się Sobota subbota; w nowogrodzkiej zaś gubernii, w ługskim powiecie nazywa się Sobótka świętojańska Subotką. Od czubu, w znaczeniu góra, wierzchołek, poszła też nazwa owej uroczystości Sobótek, jako odbywającej się na czubach, górach, pagórkach, „in quolibet colle,” jak powiada Ekhard (Monum. Jutrob., str. 59). Wszystkie inne etymologie są albo nieudowodnione, albo czeczemi marzeniami. A jest ich wielka mnogość. Otóż jedni wywodzą nazwę Sobótek od jakiejś dziewicy Sobótki, kochanki jakiegoś Sieciecha (Gołębiowski), inni od jakiejś słowiańskiej bogini Soboty (Rykaczewski), drudzy od bożka Sobot (Hanusz), inni od bożka Sabatiosa (Kazim. Szulc, Nowosielski), inni od wyrazu ruskiego sobit (Narbut), inni w końcu od soboty, siódmego dnia w tygodniu (Frydrychowicz).

¹⁾ Pilscha, Pilęga, w dok. z r. 1336. Cod. Dipl. Brand. I, 64.

²⁾ Rampite, tamże. Rupici w dok. z roku 1236. Cod. Dipl. Siles.

sulencińskiego. Ziemia Kostrzyńska ¹⁾ leżała pomiędzy Wartą, Odrą a Myślą; na północ zaś od niej rozpościerała się pomiędzy Myślą a rzeką Rurką (Rörike) ²⁾ od zachodu się o Odrę opierając, ziemia Chojnicka ³⁾.

W biegu czasów, gdy sąsiedni biskupi, kamińscy od północy, a miszońscy od południa, w granice biskupstwa wdzierać się poczęli, biskupstwo lubuskie znów uszczuploném zostało. Biskup miszoński zagarnął południową część ziemi słupskiej, która zresztą wedle dokumentów fundacyjnych z r. 948 ⁴⁾ i 968 ⁵⁾, w skład biskupstwa miszońskiego wchodzić miała.

W późniejszych czasach poczęto biskupstwo to, z wyjątkiem ziem kostrzyńskiej i chojnickiej (Kienitz), identyfikować z ziemią lubuską. Już w r. 1336 margrabia brandeburski, Ludwik, w dokumencie jednym z tegoż roku w ten mylny sposób się wyraża. Nowsi pisarze, między in-

¹⁾ Z niemiecka Küstrin. W dok. z r. 1232 (Koseg. Cod. Dipl. Pomer., str. 508): Cozsterine; w dok. z r. 1234 (tamże, str. 483): Custerin; w dok. z r. 1259 (Cod. Dipl. Major. Pol: I, 331): Custeryn; w dok. z r. 1267 (Dreger, Cod. Dipl. Pomer. str. 524): Costerin; u Długosza I, 16: Kostrzyn. (Jako lapsus pennae, jeżeli nie jako błąd drukarski, uważać trzeba, gdy Długosz ów gród, str. 10 mianuje Czorsztynem). Wydawca kodeksu wielkopolskiego objaśnia Custeryn całkiem dowolnie przez: de Kościerzyn (I, 331).

²⁾ W dok. z r. 1235 (Koseg: str. 508); Rurka.

³⁾ Z niemiecka Kienitz. W dok. z r. 1234 (Kosegart: str. 476): terra Chinz; w dokum. z r. 1235 (tamże, str. 508): castrum de Kinių; w dokum. z r. 1247 (tamże, str. 763) Chins. Wydawcy tego kodeksu (Cod. Pomer.) słusznie wyprowadzają (str. 477) nazwę tę od chojna. Zamkiem tym Chinz ma być wedle jednych dzisiejszy folwark Kienitz, 2 mile na Wschód od Soldinu położony; wedle drugich zaś wioska Kienitz, dziś po lewej stronie Odry w powiecie lubuskim leżąca. Drugi ten domysł więcej jest uzasadnionym niż pierwszy, tylko trzeba przyjąć, że gród ten pierwotnie po prawej stronie Odry leżał, i że przez zmianę łożyska teje następnie na drugą się dostał stronę. (Prwn. Koseg. Cod. D. Pom. 477; Barthold, Geschichte von Rügen und Pommern, II, 340). Ziemię tę już Mieczysław I posiadał. Dytmars (II, 19) donosi, że r. 972 zadał Mieczysław I margraiemu Hodonowi straszną klęskę pod Cidini. Niemieccy pisarze zgadzają się wogóle na to, że miejscowością ową było terazniejsze Zehden nad Odrą w ziemi chojnickiej (Kienitz) położone. Tak Lappenberg, Raumer (Regesta Histor. Brand. n. 246). Czy pierwotna nazwa nie była: Sidzino? Wieś Sidzino w powiecie słupskim, w Pomeraniiizwie się dziś z niemiecka: Seddin (Wutstrack, Beschreibung v. Pommern, Nachtrag str. 261).

⁴⁾ Raumer: Regest., n. 157.

⁵⁾ Tamże, n. 223.

nymi Roepell ¹⁾, Riedel ²⁾, Helwing ³⁾, to samo czynią. Jest to przecież nieskuszenie, gdyż powiat sulenciński, jakeśmy to powyżej nadmienili, należał do ziemi wielkopolskiej; ale i Adam, kanonik bremeński, który około r. 1070 w swój historii kościelnej hamburskiej nader cenne wiadomości o Słowianach północno-zachodnich potomności przekazał, wyraźnie zapisuje, że Lubuszanie po lewej tylko mieszkali stronie Odry ⁴⁾.

Początek fundacyi biskupstwa lubuskiego, w miarę źródeł dotychczas znanych, ciemny i niewyjaśniony. Tak czas założenia, jak i osoba fundatora, do kwestyi należą spornych. A chociaż wielu uważa jedno i drugie za rzecz wiadomą i odnośnie zapisuje daty i osoby, to dopóty uważać trzeba tę opinią tylko za domysł, dopóki się nie dadzą wykryć nowe źródła, rzucające jaśniejsze, aniżeli dotychczasowe, na fakt ów światło. To téż, jak teraz, chodzić tylko o to może, by niedowodne, a sprzeciwiające się prawdzie historycznej twierdzenia odeprzeć, nieuzasadnione domysły i hipotezy postać pomiędzy marzenia i fikcyę, a w miejsce ich stawić hipotezę, któraby, poparta przynależnymi dowodami i przynależną, krytycznie uzasadnioną argumentacją, posiadała te warunki, coby ją upoważniały rościć sobie prawo do względnie największego prawdopodobieństwa.

Są, którzy twierdzą, że Mieczysław I r. 966 miał założyć w mo-wie będące biskupstwo. Czynią to, by kilku tylko przytoczyć, Żubieński ⁵⁾, Damalewicz ⁶⁾, Starowolski ⁷⁾, Wittich ⁸⁾, Rzepnicki ⁹⁾, Naruszewicz ¹⁰⁾. Ostatni jednakowoż nie tai się z wątpliwością co do prawdziwości owego twierdzenia ¹¹⁾. Inni, jak Lelewel ¹²⁾, Łukowski ¹³⁾, Małecki ¹⁴⁾, autor artykułu: „Krakowskie biskupstwo” w Encyklopedyi kościelnej ¹⁵⁾, są tego zdania, które zresztą teraz najwięcej rozpowszechnionóm jest, iż fundował je Bolesław Wielki i to w tym celu, powiada

1) *Gesch. Pol.*, str. 633.

2) Riedel: *Die Mark Brandenburg*, I, 482.

3) *Geschichte des brandenb. Staats*, I, 276.

4) Adam Brom.: *ex rec. Lappenbergii*, in *usum schol.*, II, 18: *Sunt et alii Sclavaniae populi, qui inter Albiam et Oddaram degunt, siout Heveldi, qui juxta Habolani fluvium sunt, et Doxani, Leubuzzi etc.*

5) *Series Episcoporum Plocens.*

6) *Vitae Vladisl. Episcop.*

7) *Vitae antistit. Cracov.*

8) *Handbuch der kirchlich. Geogr.*, I, 397.

9) *Vitae praesul.*, I, 14, 241, 243.

10) IV, 23.

11) IV, 25, 248.

12) *Polska wieków średnich*, II, 34.

13) *Liber Beneficiorum Łaskiego*, t. I, str. V.

14) *Kościelne stosunki w pierwotnej Polsce.*

15) XI, 360.

Lelewel ¹⁾: „aby poznańskie (biskupstwo) ono odgradzało od archidiecezyi (magdeburjskiej) i wstrzymywało wdzierstwa odepchniętej metropolii magdeburjskiej.” Całkiem nowe jest twierdzenie ks. Bulińskiego, który pisze ²⁾, że Bolesław Wielki, zdobywszy część marchii brandeburskiej, w r. 1017 w mieście Lubuszu biskupstwo ustanowił. Inni znów są mniemania, iż ono na Rusi, gdzie w XIII i XIV wieku biskupi mieli jurysdykcją duchowną, najprzód założone, w późniejszych czasach do ziemi lubuskiej przeniesionem zostało. Wedle Büschinga ³⁾, miał Mieczysław I r. 965 tam na Rusi je fundować. Wohlbrück, najgruntowniejszy badacz dziejów naszego biskupstwa, z pewną tylko rezerwą, a nie śmieje na hipotezę się ową pisze ⁴⁾; stanowczo zaś za nią się oświadczają Riedel ⁵⁾ i Helwing ⁶⁾, którzy utrzymują, że przeniesienie onego w pierwszych dziesiątkach lat wieku XII miało miejsce.

Zobaczymyż, na jakim fundamencie wszystkie te hipotezy i twierdzenia spoczywają. Wszyscy, którzy w Mieczysławie I widzą fundatora, powołują się na Długosza, który bez wszelkich historycznych świadectw i dowodów, na żadnych autentycznych nie oparty argumentach, oczywistemi fałszami się posługując, wysnuł przewrotną bajkę ⁷⁾, jakoby ów książę, zaraz po zaprowadzeniu chrześcijaństwa r. 966, ustanowił dwa arcybiskupstwa: jedno w Gnieźnie, a drugie w Krakowie, i siedm biskupstw: poznańskie, kruszwickie, smogorzewskie, czyli późniejsze wrocławskie, płockie, chełmińskie, kamińskie i lubuskie; że pierwszym z tegoż biskupem był Hiacynt; że legat papieżki, Idzi, zupełną organizacją tychże dyecezyi, z ściśmym określeniem granic, zaprowadził. Pominąwszy, że i okoliczności nie były potemu, i że czas był zakrótki, aby legat mógł w kraju, gdzie jeszcze chrześcijaństwo było w pierwiastkach, tak kompletnie gotową stworzyć i urządzić organizacją tak licznych biskupstw: już samo policzenie kamińskiego i chełmińskiego biskupstwa do owych rzekomo przez Mieczysława założonych dyecezyi, z których pierwsze, jak wiadomo, fundował Bolesław Krzywousty, wspólnie z księciem pomorskim, Wratysławem ⁸⁾, r. 1124, a drugie dopiero r. 1243 przez legata papieżkiego, Wilhelma z Mode-

1) Tamże.

2) I, 234.

3) III, 2092.

4) I, 48, sequ.

5) I, 562.

6) I, 562.

7) I, 96.

8) Porównaj moje rozprawy: „O nawróceniu Pomorzan,” w książce zbiorowej: Warta, str. 306, i Die stammverwandtschaftlichen und politischen Beziehungen Pommerns zu Polen, bis zum J. 1227, str. 44. Najprzód fundowanem ono w Wolinie zostało; po zburzeniu jednakowoż miasta tego w roku 1186 przez Duńczyków, do Kamienia stolicę biskupią przeniesiono.

ny, erygowane zostało ¹⁾, wykazuje niewiarogodność opisu owego Długoszewego. Cóż dopiero powiedzieć, kiedy Długosz zmyśla imiona biskupów jak żywo jeszcze nie istniejących dyecezyi, mianując pierwszym biskupem kamińskim jakiegoś Juliana, a chełmińskim Oktawiana ²⁾. To też nowsza krytyka stanowczo hajki owe z obrębu faktów historycznych wydalila ³⁾; a ubolewać trzeba, iż mąż pełen literackich zasług, jakim był biskup Łętowski, tak dotykalne złożył świadectwo braku historyczno-krytycznego rozpoznania, iż na seryo biorąc w obronę owe fikcyjne Długosza, narzeka na Naruszewicza, iż tenże wywodów swoich o początku biskupstw polskich nie pogodził z „tradycją,” jak to najniefortunniej przerzeczono nazwał urojenia ⁴⁾.

Mniemanie, że Bolesław Wielki jest fundatorem, opiera się na powadze Bogufała, biskupa poznańskiego († 1253), autora cennej Kroniki polskiej, w połowie XIII wieku napisanej. Ten powiada, iż król ów sześć fundował kościołów katedralnych: poznański, gnieźnieński, mazowiecki, krakowski, wrocławski i lubuski ⁵⁾.

Uderza najprzód, że Bogufał tak dowodnie nie prawdziwą mógł podać wiadomość o założeniu biskupstwa poznańskiego. Wiemy bowiem, i to całkiem na pewno, iż biskupstwo to nie Bolesław Wielki fundował; ale że za Mieczysława I, około r. 968, za przyczyną cesarza niemieckiego, Ottona I, założonem zostało. Brewe papieżkie z pod końca X wieku świadczy ⁶⁾, że cesarz ten rozporządził: „by poza rzekami Elbą, Solawą i Odrą, w grodach, w których niegdyś zabobon barbarzyńskiego obrządku bardzo silnie panował, a których nazwiska są: Życz (Zeit), Miszna, Merseburg, Brandenburg, Havelberg, Poznań, na cześć św. Zbawiciela, Pana naszego Jezusa Chrystusa, biskupstwa założone zostały.” To samo Brewe zapisuje też, iż „Adalbert, pierwszy arcybiskup św. magdeburckiego kościoła, Jordana biskupem poznańskim konsekrował.” Drugim świadkiem jest Dytmar, biskup merseburski od r. 1009—1018, który donosi, że pierwszym biskupem po-

¹⁾ Woelky: Der Katalog der Bischöfe von Culm, str. 29, 33. Biskupstwo to, już r. 1214 jako pruskie erygowane, w r. 1243 wedle nowej cyrkumskrypcyi na chełmińskie zamienione zostało. Tamże.

²⁾ Pierwszym biskupem wolińskim (kamińskim) był Wojciech, Polak, kapelan Bolesława Krzywoustego; pierwszym zaś pruskim (chełmińskim) był Krystyan.

³⁾ Friese: Kirchengeschichte von Polen, I, 360; Roepell, str. 628; Ostrowski: Dzieje i Prawa Kościoła Polskiego, I, 42, 43; Kanngiesser: Geschichte v. Pomern, str. 293; Stenzel: Scriptor. Rer. Siles., I, 156; Ossoliński: zu Kadłubek, str. 252; Lelewel: zu Ossoliński, str. 565; Encyklopedia kościelna, II, 375, artykuł: Biskupi w Polsce.

⁴⁾ Katalog biskupów krakowskich.

⁵⁾ Sommersberg: Scriptor. Rer. Siles., II, 25.

⁶⁾ Cod. Dipl. Major. Pol., I, 1, 2.

znańskim za czasów Mieczysława I był tenże Jordan ¹⁾. Powaga zaś kronikarska Dytmara jest powszechnie, jako wielce znakomita, uznana. Obok skrupulatności i sumiennosci, z jaką kronikę swoją kreślił, posiadał on doskonałą znajomość współczesnych stosunków politycznych i kościelnych, tak kraju swego, jak ziem sąsiednich, a po szczególe ziem polskich. Co do ostatnich, powiada Ursinus, co kronikę ową na język niemiecki przełożył, że Dytmar „jest prawdziwie najdawniejszym źródłem do dziejów polskich, których pisarze wszyscy są nowsi od niego i nikt nie mógł biegu spraw polskich ówczesnych nad niego lepiej i pewniej opisać, ponieważ należał on do większej części wypraw Henryka” ²⁾.

W myśl powyższą świadczą równie rocznikarze, jak i kronikarze niektórzy; dość będzie, gdy wspomnę rocznikarza magdeburckiego ³⁾ i autora Kroniki Polaków, umieszczonej w Zbiorze pisarzy szlązkich, przez Stenzla wydanym ⁴⁾. Tenże kronikarz, powołując się na kronikę dotąd nieznaną, dodaje, iż Poznań od tego wziął swoją nazwę, iż w mieście tém Polska najprzód wiarę Chrystusa poznała.

Na mocy powyższego wolno zatém wniosek czynić, iż Bogułał wiadomość o założeniu biskupstw za czasów Bolesława Wielkiego z mętnych czerpał źródła. Wszakże o założeniu biskupstwa kołobrzeskiego przez tegoż króla nic nie wié! Nie da się téż wiarogodność wiadomości co do biskupstwa poznańskiego tém ratować, iż on na innym miejscu ⁵⁾ zapisuje, że Mieczysław I r. 968 Jordana „biskupem Polski” uczynił; że zatém w jego rozumieniu Bolesław, dlatego, iż na obszarze dyecezyi, rzekomo polską zwanęj, nowe urządząc biskupstwa, dawniejszej dyecezyi polskiej, a teraz poznańskiej, nowe nakreślił granice, jako fundator téjże uważanym być może. Interpretacya taka nie może się ostać wobec tego, iż on wyraźnie podnosi, że Bolesław najprzód poznańskie, a później dopiero inne fundował biskupstwa ⁶⁾. Oczywista, że mętne źródło podsunęło mu wiadomość o założeniu owych biskupstw przez Bolesława, a z lepszego dowiadywał się, że Mieczysław poznańskie fundował. Wolał on jednak pójść za powodem mętnego źródła; ażeby zaś z drugim świadectwem resztę pogodzić, co mu się zresztą nie udało, wymyślił biskupstwo polskie, o którym dawniejsze, a najwiarogodniejsze źródła, jak powyżej cytowa-

¹⁾ IV, 35.

²⁾ Por. Komarn., str. XXI; Dytmar, VI, 24.

³⁾ Annal. magdeb., apud Pertz, XVI, 151.

⁴⁾ Stenzel: Scriptor Rer. Sil. Chron. Polonorum, I, 9.

⁵⁾ Apud Sommersberg: Script. Rer. Sil., II, 24.

⁶⁾ Et sex cathedrales ecclesias videlicet Posnaniensem, quam primo fundaverat, Gnesnensem, post Masoviensem, quae nunc Plocensis dicitur, Cracoviensem, Wratislaviensem, et Lubucensem. Tamże, II, 25.

ne Brewe papieżkie i biskup Dytmar, nic nie wiedzą, znając tylko biskupa poznańskiego ¹⁾.

Gdy więc o biskupstwie, którego Bogufał był głową, tak bałamutną zapisuje wiadomość; gdy prócz tego wiadomości, jak te: iż Polacy imię swoje wzięli od łacińskiego: polus, biegun ²⁾, jakoby ludzie pod biegunem mieszkający; iż Nimród Słowianinem był, zowiąc się właściwie Niemierza ³⁾; iż gród Bremę Bolesław Wielki założył, za dobrą bierze monetę: świadectwo jego co do dawniejszych czasów wielce jest podejrzanę, jeżeli inne, a wiarogodne go nie popierają źródła, a całkiem na wiarę nie zasługuje, jeżeli w poprzek stawa wiadomościom, z dowodnych źródeł płynącym.

Bacząc zatem na powyższe, a zważywszy, że Dytmar w państwie Bolesława Wielkiego tylko arcybiskupstwo gnieźnieńskie i biskupstwa: poznańskie, wrocławskie, krakowskie i kołobrzeszkie wylicza ⁴⁾, o lubuskim zaś milczy; zważywszy dalej, że wobec powyższej podniesionej skrupulatności i akuratności opisów jego, i wobec tego, iż, gdy biskupstwo to, z wszystkich biskupstw polskich najbliższém jego stolicy, Merseburgowi, będąc, jemu najlepiej znaném być musiało, nie wolno się domyślać jakiegokolwiek przejrzenia, lub przepomnienia: nie można inaczej, jak wiadomość Bogufała o istnieniu biskupstwa lubuskiego za czasów Bolesława Wielkiego za wprost mylną poczytać.

Prawda, że dałoby się w obronie wiadomości téj podnieść, że król ten mógł dopiero po śmierci Dytmara, pomiędzy r. 1018—1025, biskupstwo owe założyć; że żywociarz Meinwerka, biskupa padernborskiego (około r. 1160) ⁵⁾, jakoteż rocznikarz hildesheimski ⁶⁾, mówią o założeniu siedmiu biskupstw przez cesarza Ottona III w r. 1000; że w końcu żywociarz św. Stanisława (około r. 1260) pisze, że Bolesław Wielki wszystkie w Polsce założył biskupstwa ⁷⁾. Pierwszy jednakowoż skrupuł turbować nie może, gdyż żadne nie dopisuje świadectwo, któreby jakkolwiek zatwierdzało domysł co do założenia biskupstwa naszego w czasie wzwyz wymienionym. Żywociarz Meinwerka opowiada przybycie Ottona III do Gniezna i zakładanie biskupstw w ogóle wedle Dytmara, czasem nawet i w wyrazach z nim się zbiegając ⁸⁾.

¹⁾ Jordanem episcopum Posnaniensis... ecclesie. Browo papieżkie, Cod. Dipl. Maj. Pol., I, 2. Jordan episcopus Posnaniensis primus. Dytmar, II, 18. Vungero Posnaniensi (episcopo). Tamże, IV, 28.

²⁾ II, 18.

³⁾ II, 19.

⁴⁾ IV, 28.

⁵⁾ Portz: Script. Rer. Germ., XIII, 109.

⁶⁾ Tamże, V, 92.

⁷⁾ Hic erat Boleslaus cultor dei devotus, qui omnes episcopatus in Polonia fundavit, limitavit, distinxit etc. Vita S. Stanislai, apud Bandtkie, M. Gallus, str. 322.

⁸⁾ Orationis causa (Vita Meinw., Portz, tamże); orationis gratia (Dytmar, IV, 28).

Mimo to, gdy za jego czasów, z wyjątkiem kamińskiego, siedm było biskupstw ¹⁾, nie poszedł za liczbą przez Dytmara podaną; ale przenosząc stosunki czasu swojego na czasy Bolesławowskie, siedm wymyślił biskupstw, a wymysł ten wszedł następnie zapewne jako wtęret do roczników hildesheimskich.

Co do żywociarza św. Stanisława, wiemy, że jako źródło historyczne, dość podrzędnej jest on wartości ²⁾. Z mętnych wypisując po większej części źródeł, również niedowodną, jak wątpliwą posługując się tradycją, łąta opowiadanie swe najpotworniejszemi błędami historycznymi, np. gdy pisze, że w r. 965 ś. Wojciech Mieczysława I ochrzcił. To też gdy przed Bolesławem Wielkim żadnego w Polsce nie zna biskupstwa, a założenie wszystkich temu przypisuje królowi ³⁾, widać, że z tego samego bałamutnego czerpał źródła, które i Bogufała zwiodło. Ale z tych też przyczyn na powyższe jego świadectwo żadnego nie potrzeba mieć względu.

W końcu możemy jeszcze wskazać na argument, dość dowodnie zbijający wiadomości powyższych świadków. Jest nim list papieża Grzegorza VII, r. 1075 do Bolesława Śmiał. pisany ⁴⁾, w którym papież się skarży na zbyt małą liczbę biskupstw w Polsce, czegoby nie mógł uczynić, gdyby tam ich już siedm było fundowanych. Lecz o tém ponížej obszerniej.

Co do wiadomości, którą ks. Buliński podaje ⁵⁾, jakoby Bolesław Wielki w r. 1017 biskupstwo lubuskie był ufundował, zaznaczyć nam wypada, że już dlatego do niej żadnej nie można przywiązywać wagi, iż bez wszelkiego powołania się na jakiegokolwiek świadectwo, bez najmniejszego krytycznego uzasadnienia, zapisaną została. Nadto śledząc w odnośnych źródłach wypadki roku powołanego, najmniejszego śladu nie znaleźliśmy, coby mógł na domysł powyżej podanej daty naprowadzić. Zapisują one tylko zwycięzkie wojny Bolesława W. z Jarosławem, wielkim księciem kijowskim i z cesarzem niemieckim, Henrykiem II, świetną obronę Niemca i raźną gonitwę Polaków za uciekającymi Niemcami z Polski, przez nich najechanej ⁶⁾.

Przychodzi nam się jeszcze z tymi załatwić, co twierdzą, że biskupstwo lubuskie, pierwotnie na Rusi założone, późniéj na ziemię lubuską przeniesioném zostało. Powołują się oni na dokument biskupa lubuskiego, Jana II, z r. 1385, w którym tenże powiada, że

¹⁾ Były one: gnieźnieńskie arcybiskupstwo, i poznańskie, wrocławskie, krakowskie, lubuskie, kujawskie, płockie, biskupstwa.

²⁾ Roepell, str. 201.

³⁾ Por. notę 7 na str. 178.

⁴⁾ Bielowski: Monum. Polon. Histor., I, 368.

⁵⁾ I, 234.

⁶⁾ Dytmar, u Biel.: Mon. Pol. Hist., I, str. 305—311. Annal. Quendlinb., s. a. 1017. Annal. Hildesh., s. a. 1017. Gallus, u Biel.: Mon. Pol. Hist., I, 402—404.

„kościół lubuski na Rusi swą miał stolicę katedralną, że przez niewiernych srodze prześladowany i wygnany, od dawnych czasów, jakoby okręt na morzu bałwanami i burzą pędzony, aż po czasy terażniejsze po różnych miejscach błędnie się tułać musi”¹⁾. Naprzeciw temu stawiamy fakt, iż w wieku XI ani wpływ Polski tak ustalonym, ani liczba mieszkańców obrządku łacińskiego tak znaczną na Rusi nie były, żeby o erygowaniu tamże biskupstw w owym czasie już można było myśleć. Wykazał to dowodnie Roepell²⁾. Krom tego faktem jest, żadnej nie ulegającym wątpliwości, bo na dowodnym świadectwie współczesnego Bogufała³⁾ opartym, iż juryzdykcyą na Rusi, jakotóż klasztor po-templaryuszowski w Opatowie, wraz z przynależnemi dobrami zakonnemi, około r. 1236 Henryk Brodaty, książę szlązki, rządzący samodzielnie Małopolską, jako opiekun Bolesława Wstydlwego, biskupowi lubuskiemu, przez poszczególną swą ku niemu życzliwość, oddał⁴⁾. Nadto Przemysław II, książę wielkopolski, wyraźnie świadczy w akcie urzędowym z r. 1287, że „przodkowie jego w swój gorliwości z natchnienia Bożego założyli (a nie przenieśli) na cześć i honor ś. Wojciecha, męczennika i biskupa, biskupstwo lubuskie (a nie ruskie), gwoli zbawienia swego i następców swoich, i przynależnemi dziedzictwami i dobrami je uposażyli”⁵⁾.

Pozostaje nam jeszcze wykazać, czém się stało, że biskup ów lubuski, Jan II, w akcie urzędowym mógł wygłaszać rzeczy, które tak grubo z rzeczywistością się mijają. Wedle mego zdania, przyczyny tego były: już wtenczas zamglony początek biskupstwa naszego; żal po stracie dochodów, jakie szły z wykonywania juryzdykcyi biskupiów na Rusi, gdy, po odjęciu jój biskupom lubuskim roku 1375, cztery łacińskie biskupstwa: w Haliczu, Przemyślu, Włodzimierzu i Chełmie fundowane zostały⁶⁾, i obawa, by z odebraniem onej nie zabrano téż, przędź czy później, i Opatowa wraz z dobrami, z 16 wsi się składające-

¹⁾ „Quoniam ecclesia Lubucensis nobis divinitus commisa, quae olim in Russia sedem habebat cathedralem, et ab inde per paganos et infideles expulsa et crudeliter profugata ab antiquis temporibus quasi navis in maris fluctibus et (?) procellis nimis dies usque in praesenciarum de loco ad locum vagabunda, quod dolenter referimus fluctuavit.” Cod. Dipl. Brandenb., VI, 551. Wohlbr., I, 48.

²⁾ Str. 649.

³⁾ II, 58.

⁴⁾ Buliński, I, 133, 234, 254. Naruszewicz, VII, 28, 30; X, 32. Długosz, I, 658. Roepell, 649.

⁵⁾ „cum progenitores nostri non sine zelo divinae inspirationis ipsam ecclesiam Lubusensem pro sua suorumque successorum salute, ob reverentiam et honorem beati Adalberti martiris atque pontificis gloriosi fundaverint et condignis hereditatibus et prediis dotaverint.” Cod. Dipl. Maj. Pol., I, 544.

⁶⁾ Bulla Grzegorza XI z r. 1375 w Theinera: Monum. Histor. Polon., I, 713, 714.

mi. Wszakże to biskupi lubuscy, chociaż dla zbytnej odległości miejsca nie mogli osobiście kościołem ruskim się zajmować, i dlatego od papieża dyspensy od wizytowania kościołów sobie wyrabiali ¹⁾, statecznie się sprzeciwiali erylowaniu biskupstw na Rusi, pod pozorem, jakoby tam nie było dosyć katolików, a fundowane w czterech powyższych miastach kościoły były tylko parafialnymi, a nie katedralnymi. Franciszkanom i Dominikanom, pracującym jako misjonarze nad nawróceniem Rusi, równie zakazywali zajmować się dusz pasterstwem, jak biskupom misyjnym zabraniali wykonywać czynności biskupie ²⁾. Skargi zaś co do przenoszenia stolicy biskupiej, poniekąd przez to jakąś miały podstawę, iż aż do czasów biskupa owego dość często biskupi zmuszeni byli zmieniać swe rezydencje. Otóż, gdy najprzód w Lubuszu rezydowali, w r. 1276 do Gorzycy ³⁾ się przenieśli; a gdy w r. 1325 mieszczanie frankfurtsky katedrę zburzyli, wrócono do Lubusza; z powodu zaś, że w r. 1373 miasto wskutek oblężenia mocno ucierpiało, stolica do Fürstenwalde przeniesioną została.

Przystępujemy do naszej hipotezy. Wedle powyższych wywodów, sądzę, nie może ulegać wątpliwości, że początku biskupstwa lubuskiego dopiero w czasach po Bolesławie Wielkim szukać nam wypada. Pierwsza autentyczna, bo z niepodejrzanego urzędowego pisma zaczerpnięta wiadomość o tém biskupstwie datuje się dopiero z roku 1149, w którym to roku biskup lubuski Stefan, jako świadek wymienionym jest w dokumencie przez Bolesława Kędzierzawego wystawionym ⁴⁾. Przecież i dawniejsze znajdują się ślady. Pomijając wcale niedowodną wzmiankę Długosza o Wawrzyńcu, wrzekomo biskupie lubuskim, który (około r. 1076) ⁵⁾ miał należeć do biskupów nawołujących Bolesława Śmiałego do naprawy gorszącego swego życia, spotykamy się roku 1133 z poniekąd, jak też krytyczny przyznaje Wohlbrück ⁶⁾, wiarogodną, bo jak się zdaje niewątpliwie ze źródła archiwalnego przez Długosza zaczerpniętą wiadomością o biskupie lubuskim Bernardzie, będącym przytomnym przy poświęceniu klasztoru

1) Brewe Aleksandra IV z r. 1257, tamże, I, 73.

2) Bulle Jana XII z r. 1320 u Theinera: Mon. Hist. Pol., I, 162. Grzegorza XI z r. 1372 i 1375; tamże, I, 675, 713.

3) W dokumencie z r. 1252 u Wohlbr. III, 723; Goriza, z niemiecka: Göritz.

4) Stenzel, Script. rer. siles., I, 158, n. 1. Grünhagen, Regest. Episcop. Vratisl., p. 5, a. a. 1149.

5) Vita S. Stanisłai, Acta sanctor. Maji, II, p. 214. Zmyślając Długosz imię biskupa lubuskiego, zmyślił też powtórnie imiona biskupów diecezji jeszcze nie egzystujących chelmińskiej i kamieńskiej: „Regebat Posnaniensem Thomas, Vladislaviensem Honoldus, Plocensem Lupus, Chelmensem Martinus, Lubucensem Laurentius, Camenensem Stephanus.

6) I, 53.

Norbertanek w Strzelnie ¹⁾. Z tego samego roku (1133) inną jeszcze znachodzimy w pismach źródłowych wzmiankę o naszym biskupstwie. Otóż w buli rzekomo przez papieża Innocentego II r. 1133 wystawionej, czytamy, że na prośbę świętego Norberta, arcybiskupa magdeburgskiego biskupstwa: szczecińskie, lubuskie, pomorskie, poznańskie, gnieźnieńskie, krakowskie, wrocławskie, kruszwickie, mazowieckie, wrocławskie, zwierzchnictwu metropolity magdeburgskiego na nowo poddane zostały. Bula ta jednakowoż według mego przekonania, już nietylko podejrzaną, ale poprostu bezczelnym falsyfikatem niezgrabnego jest fałszerza ²⁾, z którego téż powodu nie wolno się nią ja-

¹⁾ Długosz, I, 435.

²⁾ Bula ta w licznych drukowaną jest dyplomatarjuszach, np.: Codex dipl. Pomer. ed. Kosegarten, str. 25; Cod. dipl. major. Polon., I, 9.—Niemieccy pisarze podrobienia dopatrzyć się nie mogą. Sam tylko Roepell wątpliwość swoją co do autentyczności buli owęj nieśmiało wypowiada. („Ist diese Urkunde nicht?“ pyta się. Gesch. Polens, str. 285); ale na inném znów miejscu (tamże, str. 637) o nięj mówi, jakoby o niepodejrzaném źródle. Aleć i nasi autorowie, bez wszelakich skrupułów powołują się na nią jakoby na wiarogodny dokument. Dość gdy wspomnę Muczkowskiego (Cod. dipl. polon., II, 2, not. 4), a w nowszym czasie ks. Bulińskiego (I, 203) i autora artykułu: „Biskupi polscy“, umieszczonego w „Encyklopedyi kościelnej“ (II, 376). Gdy zaś bula ta wielkich bałamuctw w historii polskiej była przyczyną, z powodu iż zaciemniając rzeczywistość stosunków, domyślam o wpływie tak kościelnym jak politycznym Niemiec na niekorzyść Polski szeroce wrota otwiera; i gdy ona tak upornie za autentyczną poczytywaną była, ja zaś w nięj tylko falsyfikat widzę: wypada mi twierdzenie moje przynależną poprzeć i udowodnić argumentacją, co niniejszym czynię ekskursem. Pominąwszy, że prócz powyższej buli, żadnego, ani w pismach urzędowych, ani w kronikarzach współczesnych, nie znajdujemy świadectwa, któreby choć najmniejszą czyniło wzmiankę bądź to o pojawieniu się owęj nowęj organizacji hierarchicznęj, bądź to o jęj zniesieniu; pominąwszy iż Ebbo, żywociarz ś. Otona, biskupa bamburskiego, w niespełna 20 lat potem piszący, wyraźnie powiada (II, 3), że arcybiskupstwo gnieźnieńskie jest metropolią: niedorzecznością jest twierdzić, jakoby związek metropolitalny, składający się z arcybiskupa i siedmiu biskupów, który przeszło 130 lat niezależnie egzystował, nagle ni ztąd ni zowąd władzy obcego arcybiskupa poddanym być miał. Friese (Kirchengesch. v. Polen, str. 121, 162, twierdzi wprawdzie jedynie tylko na podstawie owego falsyfikat, że ś. Norbert, ówczesny arcybiskup magdeburgski, gdy nibyto nieład i chaos w stosunkach hierarchicznych polskich spostrzegł, a przypomniawszy sobie, że cesarz Oton I w r. 968, biskupstwa słowiańskie za Elbą położone, a między niemi i biskupstwo poznańskie, poddał arcybiskupowi magdeburgskiemu, przy swoim pobycie z cesarzem Lotaryuszem w Rzymie w roku 1133, papieżowi przedstawił utworzenie gnieźnieńskiego metropolitalnego związku jako ujmę swojęj władzy metropolitalnęj, i że papież, przychyłając się do jego protestacyi, listem powyższym polskie mu poddał dyecezye. Na to

ko dowodnym argumentem posługiwać. Jakkolwiek bądź, z powyższego wypadu, że czasu założenia biskupstwa lubuskiego dochodzić nam trzeba na wiekowej przestrzeni, pomiędzy r. 1025 a r. 1133.

odpowiadamy: 1) aczkolwiek na mocy buli papieżkiej z r. 968 (Raum. Reg., nr. 230) biskupi poza Elbą i Solawą (ultra Albiam et Salam) ordynowani i mający być ordynowanymi—za metropolitę arcybiskupa magdeburgskiego mieć mają: to przecież „ultra Albiam et Salam“ nie wolno brać w tém rozumieniu, jakoby stałe zakreszenie granicy, mającej ku tej stronie pozostać niejako nawsze otwartą, wykluczonem być miało; boćby wówczas władza metropolii magdeburgskiej co najmniej do Donu sięgać mogła; owszem, uregulowanie to mogło dopiero nastąpić, gdy—dotąd jeszcze chwytne polityczne i religijne stosunki—tam ustalone zostały. 2) Bolesław Wielki, urządzając w r. 1000, przy pomocy Otona III prowincją kościelną polską, uczynił to dlatego, iż władza metropolitalna w Magdeburgu, która tak dla ilości nowo ufundowanych biskupstw, jakoteż dla ich odległości w skutkach swoich bląhą i nominalną tylko być mogła, nowym dyecezyom żadnych nie przynosząc korzyści, sensu nie miała; ale też dlatego, iż i z politycznych względów chciał mieć co do hierarchicznych stosunków państwo swoje niezależnem od Niemiec. Gdy to papieżowi tajnem być nie mogło, trudno temu lub owemu z nich taką przypisywać nieprzezorność, żeby rozszerzenia, ubliżające godności samodzielnego państwa wyżej miał stawiać nad tegoż interes polityczny. 3) Organizacją hierarchiczną powyższą przez Bolesława skuteczną potwierdził papież Sylwester II (Gallus, I, 6. Annal. Hildesh.: „licentia Romani pontificis“). Gdyby zatem papież Innocenty II, rzekomy autor owej buli, miał twierdzić, jak to ona głosi, iż skarga arcybiskupa magdeburgskiego, jakoby biskupi polscy jego podlegali metropolitalnej władzy, jest słuszną i uzasadnioną („propria iustitia“ str. 9), i że podległość owa wiadomą jest rzeczą („pertinere noscuntur“, str. 9): toćby po prostu rozmyślnem kłamstwem się posługiwał, czegoby doprawdy papież ów nie uczynił. 4) W roku 1102 papież Paschal II, przysyłając Marrinowi, arcybiskupowi gnieźnieńskiemu paliusz, wyraźnie go do metropolitánów zalicza (ante acceptum pallium metropolitanis minime licet etc., Cod. dipl. maj. Pol., I, 7). 5) W r. 1075 skarży się Grzegórz VII (Biel., Monum. pol. hist., I, 367, 368), na niedostateczne urządzenie prowincyi polskiej kościelnej, z powodu iż zamało jest biskupstw, a biskupi w ścisłym nie stoją związku z metropolitą, że dusz pasterstwo przez to skutecznie nie może być wykonywane. Gdyby więc metropolita daleko, gdzieś tam za granicami miał mieszkać kraju; toćby te niedostateczności, jeszcze więcej się wzmogły, a brak przynależnej centralizacyi tém większeby jeszcze wyrządził szkody. 6) W roku 1123 przybył do Polski kardynał Idzi, biskup tuskulański, jako legat papieski, gdzie się zajął uregulowaniem granic dyecezyalnych. (Bula Eugeniusza III z r. 1148, Perlbach, Pom. Urk., str. 1. Roep., Gesch. Pol., str. 334); a pozostawiwszy metropolią gnieźnieńską przy swėj władzy, stwierdził tém, że stolica apostolska uważa ją za równie potrzebną, jak legalnie ustanowioną. W obec powyższego, gdyby ś. Norbert, nie uwzględniając równie legalnie, jak biegiem naturalnych stosunków wytworzonego

Sądzę, że rezultat jakkolwiek zadawalniający, da się osiągnąć, jeżeli założenie owe powiążemy z powyżej już wspomnianym listem papieża Grzegorza VII, roku 1075 do Bolesława Śmiałego pisanym ¹⁾. W liście tym zawodzi on skargi, którycheśmy już pobieżnie dotknęli, na nieład i brak spójności w organizacyi kościelnej; a mianowicie 1) na to, że metropolita nie ma stałej siedziby w Polsce ²⁾ i że biskupi nie wiedzą, gdzie ich stolica metropolitalna, a wbrew przepisom Ojców świętych takowej nie podlegając, wolnymi i niezależnymi są ³⁾; 2) że w obec licznój ludności w Polsce, liczba dyccezyi zamała, a obszerność ich zawięła, tak iż biskupi nie mogą zadosyć czynić swoim obowiązkom ⁴⁾. Dlatego przysłała do Polski swoich legatów, którym polecił, wspólnie z królem tym niedostatkom zaradzić ⁵⁾.

1) Porównaj notę 4, str. 179.

2) Ten zwyczaj jeszcze i w późniejszych był wiekach. Arcybiskup gnieźnieński bardzo mało o przebywał w Gnieźnie; po największej części mieszkał on po zamkach dóbr swoich, albo bawił na dworze królewskim, na sejmach etc.

3) Quod episcopi terrae vestrae non habentes certum metropolitane sedis locum, nec sub aliquo positi magisterio, huc et illuc pro sua quisque ordinatione vagantes, ultra regulas et decreta sanctorum patrum liberi sunt et absoluti. Bielowski, Mon. pol. hist., I, 367, 368.

4) Deinde vero „quod inter tantam hominum multitudinem adeo pauci sunt episcopi, et amplae singulorum parochiae, ut curam episcopalis officii nullatenus exequi aut rite administrare valeant. Tamże, I, 368.

5) Pro his igitur et aliis causis... hos legatos ad vos direximus, quatenus vobiscum pertractatio negotii, quod ad ecclesiasticam curam et aedificationem corporis Christi (quod est fidelium congregatio) etc.

faktycznego stanu rzeczy, istotnie się miał starać u papieża o zniesienie metropolii gnieźnieńskiej: tedy dałby dowód, iż obojętném mu było dobro dyccezyi polskich, i że agitując ku szkodzie tychże w tym może celu, by germanizacyi drogę torować, folguje tylko ambicyi i obłudzie politycznej; a tego ś. Norbertowi przypisywać nie wolno. 7) Falsyfikator najgrubsze w niewiedomości swój popelnia błędy. Tak nazywa on arcybiskupstwo gnieźnieńskie biskupstwem; potem mówi o dwóch biskupstwach w Pomeranii, z których jednym miało być biskupstwo szczecińskie, po lewej stronie Odry, a które nigdy nie egzystowało, a drugim pomorskie po prawej stronie tej rzeki; nadto wspomina on o biskupstwach, jakoby oddzielnych, kruszwickim i włocławskim, a które jak wiemy, jednym były biskupstwem. Jeżeli Barthold (II, 107) w czytelników swoich na seryo chce wmówić, że w Rzymie, i to w 10 lat po powrocie legata papieskiego z Polski, a w 3 lata przed wydaniem buli, w której jaknajdokładniej wyszczególnione są wszystkie dobra i posiadłości arcybiskupa gnieźnieńskiego (bula Innocentego II z r. 1136, Cod. dipl. major. Pol., I, 10 sq.), istotnie tak monstrualna panowała nieznanomość stosunków dyccezyi polskich: to mu tylko powiedzieć możemy: Credit

Niektórzy pisarze niemieccy bałamutnie gadają, jakoby list ten spowodowało było jakoweś upominanie się arcybiskupa magdeburckiego o rzekome owe prawa metropolitalne w ziemiach polskich. Dziwnym sposobem autor artykułu: „Krakowskie biskupstwo“ w Encyklopedyi kościelnej ¹⁾, przyznaje bałamuctwu temu słuszność, twierdząc, że listu tego nie można inaczej wytłumaczyć. Lecz już Naruszewicz występuje przeciw takiemu ²⁾ naciąganiu, którego przyczyna wcale nie trudną do odgadnięcia. Wszakżeż wiadomą jest dawnych niemieckich cesarzów chęć tak przywłaszczania sobie ziem słowiańskich, jak gospodarowania tamże wedle swój woli w politycznym i kościelnym względzie, w czym mu duchowieństwo niemieckie, nadużywając stanowiska swego duchownego, w interesie intryg politycznych, niegodnie asystowało. To też gdy te ziemie wymykały się z pod władzy i wpływu niemieckiego, wywoływało to niesmak, gadano o rzekomem pogwałceniu praw swoich, o wyrządzonych krzywdach, a niesprawiedliwości i arogancyi znamieniem napiętnowane lamentacye znajdowały godne echo w kronikarzach i innych pisarzach niemieckich. Co do metropolii gnieźnieńskiej Dytmar, nie mogąc jako pobożny biskup papieżowi, który ją potwierdził, wprost przyznać, z lekka tylko, z polityczną rezerwą, daje wyraz żalowi swemu, gdy mówi, iż się spodziewa, że prawnie ona ustanowioną została ³⁾; ale późniejszy jakiś mnich magdeburski, wypisując z Dytmara, bez ogródki od siebie dodaje, że nie prawnie się to stało ⁴⁾. Takowy więc nastrój, takowe asumpta, a nie bezstronny wzgląd na faktyczne położenie rzeczy, były owym niemieckim pisarzom pobudką do owego naciągania, które autor powyższy słusznem nazywa. W Rzymie bardzo dobrze wiedziano, że polskie dycezye mają swego metropolitę w Gnieźnie, i że dawniejsza władza metropolitalna arcybiskupów magdeburckich, jaką ona nad Kościołem polskim przed r. 1000 była, za przyzwoleniem Stolicy apostolskiej zniesioną została. To też inne całkiem powody dały pochop kurji rzymskiej do wysłania i listu owego, i legatów. Pierwszym zaś z nich powodem był chwiejący się w podstawach swoich stan hierarchii kościelnej w Polsce, gdzie nowy porządek stanowić było potrzeba. Wszakżeż to jeszcze nie minął był lat czwarty dziesiątek, jak podczas bezkrólewia straszny powstał w Polsce zamęt,

Judaeus Apella! Bula zatem ta, tak co do osnowy jak i redakcyi tyle wykazuje dotykalnych cech podrobienia, tyle posiada momentów wewnętrznego niepodobieństwa do prawdy, iż niepodobna inaczej, jak tylko wszelkiej jęj odmówić autentyczności. Osnutą na kłamstwie i rozmyślnym fałszu, przystrojona w pocieszne błędy fałszującego ignoranta, wyszła ona, jak tyle innych bul, z kancelaryi papieżkiej, przez przekupionych sfabrykowana urzędników.

1) XI, 360.

2) IV, 251.

3) „Ut spero legitime.“ IV, 28.

4) „Non legitime.“ Annal. Magdeb. Pertz, XVI, 159.

wywołany gwałtowną reakcją, skierowaną tak przeciw społeczno-politycznemu bytowi rzeczy, jak przeciw niedostatecznie jeszcze ustalonemu chrześcijaństwu. A krom tego i biskupi krajowi zamieszania i rozzerwania w hierarchii polskiej nie mało dawali powody. Aaron, z opata tynieckiego, biskup krakowski, postarał się u antypapy Benedykta IX-go, co świętokupstwem zasiadł na Stolicy apostolskiej, około r. 1046 o wyniesienie biskupstwa swego do godności metropolii, pod którą, jak się zdaje, zarządy metropolitalne, oddaném zostało biskupstwo wrocławskie. Prawdać, że po śmierci Aarona, następcy uznając nielegalność przywileju przez papieża, niewłaściwie danego, tytułu arcybiskupiego używać przestali ¹⁾. Ale skutki owego zamącenia jurydykcyi me-

¹⁾ Annales Capituli Cracoviens. ap. Pertz, in usum. schol.; str. 16. Annales Cracoviens. Compil.; tamże, str. 37. Annal. Polonor. I, tamże, str. 51. Długosz I, 228. Roepell (str. 641, 642) i autor artykułu: „Krakowskie Biskupstwo“ (Encykl. Kościeln. XI, 351 sequ.) liczą arcybiskupa Aarona i arcybiskupstwo krakowskie pomiędzy historyczne urojenia, a to z następujących przyczyn: 1-od brewe Benedykta IX (Bielow. M. P. H. I, 358, 359), jest falsyfikatem; 2-e niektóre roczniki, lub dawniejsze ich rękopisma mianują Aarona biskupem; 3-e Benedykt IX w r. 1045 złożywszy władzę papieżką nie mógł r. 1046 czynić Aarona metropolitą; 4-e Gallus mówiąc o dwóch metropoliach rozumiał przez nie gnieźnieńską i magdeburską. Argumenta jednakowoż te niewystarczające i niedowodne. Co do pierwszego przyznajemy, że brewe owo jest zniszczoném; ale to nie dowodzi, żeby papież ów nie miał mocą innego, autentycznego, ale zaginionego brewe utworzyć w mowie będącej metropolii. Jeżeli zaś ten i ów rocznikarz nie nazywa Aarona arcy- lecz tylko biskupem, to widać, że to większy skrupulant jak i inni rocznikarze, nie powazył się Aaronowi dawać tytułu, który jego następcy uznali być nielegalnym. Co do chronologicznej sprzeczności, wypada nadmienić, że brewe powyższe zaznacza się jako około r. 1046 wygotowane (Bielow. I, 358); i że chronologiczne normowanie rządów biskupów aż do wstąpienia Ś-go Stanisława na tron biskupi, jest niepewnym, wszakżeż Annal. Crac. Brev. (Pertz, in us. schol. str. 90) zapisują, że Aaron r. 1059 ordynowanym został, podczas gdy inne źródła r. 1046 podają: wolno zatem utrzymywać, że on już przed r. 1046 objął stolicę biskupią. Tak samo i czwarty argument jest nikły. Odnosne miejsce w Galusie (I, II) brzmi: „Suo tempore (Boleslai M.) Polonia duos metropolitanos cum suis suffraganeis continebat.“ W Polsce zatem, a nie po za jój granicami, szukać nam trzeba owych dwóch metropolitów, a przechodzi dozwoloną granicę krytycznej interpretacyi, jeżeli się utrzymuje, co Lelewel (Polska Wiek. Sred. II, 33, 455, 456) a za nim autor powyższy (Encykl. Kośc. XI, 35) czynią, że Gallus, pisząc o metropolitach w Polsce umieszczonych, przez jednego z nich rozumiał arcybiskupa magdeburskiego. Wyraz continere znaczy: zawierać, obejmować, mieścić w sobie. Polska zatem, mówi Gallus, mieści w sobie, w obrębie swoich granic, dwóch metropolitów, t. j. ich stolice i prowincyo kościelne. Autor powołany mówi wprawdzie (IX, 359): „Ogólny ten wyraz continebat, jakiego tu użył Gallus, nie może być brany w znaczeniu, jako-

tropolitalnej, zapewne jeszcze chmurzyły horyzont kościelny w Polsce. Czyżby czasem biskup wrocławski, wyjęty uprzednio z pod władzy metropolitalnej gnieźnieńskiej, a następnie pozbawiony metropolity krakowskiego, nie był owym biskupem, co to czynił, jakby niewiedział, „gdzie jest stolica metropolitalna,“ i który „wbrew przepisom Ojców ŚŚ. takowej nie podlegając, chciał być wolnym i niezależnym.“

Drugim powodem do skargi, i to zupełnie jasnym, była papieżowi niedostateczna liczba dyecezyi. Ważne to świadectwo! Najkompetentniejsza bowiem powaga skonstatowała, iż na wielkim obszarze kraju polskiego pomiędzy Tatrami a Bałtykiem, nie dosyć było biskupstw. W ciągu następnych siedmiu, względnie pięciu wieków rozkładały się na tym obszarze dyecezye: gnieźnieńska, poznańska, krakowska, wrocławska, włocławska, płocka i lubuska. Są to wszystkie te dyecezye,

by prowincye obu metropolitów całe w granicach Polski leżeć musiały.“ Pytamy, dlaczego? Na to nie dostajemy odpowiedzi. Zresztą na tém téż nie nie zależy. Chodzi tu bowiem głównie o to, gdzie stolica i przeważna część prowincyi metropolitalnej leży; to jedynie wskazuje, których metropolitów kraj jaki w sobie mieści; nie zaś, czy ten lub ów sufragana zagranicznemu poddany jest metropolicie, lub czy kilka parafii dyecezyi metropolitalnej w nim się znajduje. To teżby nikt nie powiedział, że Szląsk continet, mieści w sobie metropolitów pragskiego i olumieckiego, z powodu iż kilka oni tam parafii posiadają. Arcybiskup zaś magdeburgski ani jednej nawet nie miał parafii w Polsce. Autor twierdzi wprawdzie (tamże), że był „niewątpliwie czas, że w dzielnicach książąt polskich znajdowało się choćby kilka parafii należących do archidyecezyi magdeburgskiej. Lecz twierdzenie to nie tylko nie jest niewątpliwym, ale nawet z gruntu fałszywym. Bolesław Wielki, boć o nim tylko tu mowa być może, był panem tylko kraju aż po Czarną Halsztrę. Do Solawy, gdzie, jak Gallus pisze (I, 6), „metą żelazną krańce Polski zamknął,“ jako téż pod Magdeburg, dorywczco tylko w wojennych wyprawach i najazdach oręż jego sięgał; o stałym zaś władaniu mowy być nie może. Wykazał to Lelewel w gruntownej swój pracy: Zdobycze Bolesława W. (Polska Wiek. Śr. II, 125--211). Gdy więc Gallus, pisząc powyżej cytowane miejsca, o metropolicie magdeburgskim myśleć nie mógł; gdy dowodnym jest pewnikiem, iż za czasów Bolesława W. sam tylko gnieźnieński był w Polsce metropolitą: nie można inaczej, jak przez owego drugiego metropolitę, Aarona krakowskiego rozumieć; i pozostaje tylko wykazać, czém się stało, iż Gallus mógł pisać o dwóch metropolitach za owych czasów. Otóż domyślamy się, że Gallusowi opowiadali starcy, pamiętający jeszcze arcybiskupa Aarona i jego metropolią krakowską, tak o arcybiskupie jak i o metropolii. (Aaron umarł około r. 1059; Gallus pisał swoją kronikę około r. 1100). Nie zrozumiawszy ich jednakowoż dokładnie, pobiłdził, i egzystencją metropolii wstecz do czasu organizacyi prowincyi polskiej kościelnej posunął. Ze hipoteza Maciejowskiego, jakoby Bolesław W., zdobywszy Kraków, tutaj znalazł arcybiskupstwo słowiańskiego obrządku, które oddał łacińskim kapłanom, błahą jest, i jój na seryo brać nie trzeba, wykazał zupełnie dowodnie powyższy autor (XI, 357).

które wedle Bogułała już przed rokiem 1075 istnieć miały ¹⁾). Gdyby tak było, czyżby mógł papież mówić o niedostatecznej liczbie biskupstw, skoro ona następnie przez tyle wieków, gdzie ludność znacznie się pomnożyć musiała, wystarczała? Nie istniały zatem wtenczas jeszcze wszystkie dyecezye, ale tylko te; i to jeszcze z wyjątkiem biskupstwa kołobrzegskiego, w czasie bezkrólewia zatraconego ²⁾), które Bolesław W. fundował był, to jest: arcybiskupstwo gnieźnieńskie, biskupstwa krakowskie, poznańskie i wrocławskie.

Dla zaradzenia temu niedostatkowi, a zatem w celu powiększenia liczby biskupstw wysłani zostali legaci papieżcy do Polski, z upoważnieniem, by w porozumieniu z królem, któremu zalecono, żeby ich tak słu chał, jak samego papieża ³⁾), sprawy Kościoła dotyczące roztrząsali, a co do naprawienia było, żeby naprawili ⁴⁾). Czy ta nakazana naprawa t. j. ustanowienie nowych dyecezyj, miała miejsce, historya nie zapisuje. Że tak jednakowoż było, ulegać nie może wątpliwości. Przekonywa nas o tém tak względ na odnośne faktyczne stosunki i okoliczności, jako téż i przynależne ślady, których się w współczesnych źródłach dopatrzeć można. Gdy bowiem dyecezye, przed r. 1075 nie wystarczały, a z żadnego wiarogodnego źródła żadna wiarogodna nieda się zaczerpnąć wiadomość, żeby którekolwiek z trzech owych późniejszych biskupstw, wrocławskiego, płockiego i lubuskiego, po owym roku fundowanem zostało; a gdy w tymże roku papież wysłał legatów do króla, by wspólnie z nimi nowe erygował dyecezye: toć oczywisty z tego wypadu wniosek, że „nie kiedy indziej, tylko w r. 1075 wszystkie trzy owe dyecezye założone zostały.” Że tak rzeczywiście było, za tem przemawia téż świadectwo współczesnego kronikarza Lamberta, mnicha henefeldzkiego. Zapisuje on, w zwykłej kronikarzy niemieckich złości i zuchwałości maczając niewe swe pióro, iż r. 1076 w sam dzień Bożego Narodzenia Bolesław Śmiały, „pychą uniesiony, na hańbę królestwa teutońskiego, wbrew prawom przodków, bezzwłocznie sięgnąwszy po koronę królewską, takową na głowę swą włożył, a 15-tu biskupów go na króla poświęcił ⁵⁾). Chociaż Lelewel ową liczbę biskupów na seryo bierze,

1) II, 25.

2) Por. Maroński: O nawróceniu Pomorza; Warta, str. 297.

3) Eos ita, que sicut nos audite. List Grzegorza VII, Bielowski: Mon. Pol. Hist., I, 368.

4) Quatenus vobiscum pertractatis negotiis, quae ad ecclesiam curam... pertinere videntur, quae emendanda sunt... definitant. Tamże.

5) Dux Polonorum... repente in superbiam elatus... regiam dignitatem, regiumque nomen sibi usurpavit, diadema imposuit, atque ipso die natali Domini a 15 episcopis in regem est consecratus... in ignominiam regni Teutonici, contra leges et jura majorum, nomen regiumque diadema impudens affectasset. Pertz: Mon. Germ. Hist., p. VII, 255. Naruszewicz (V, 30) zaoczepia rok koronacyjny przez Lamberta podany, dając pierwszeństwo Długoszewi, który (I, 247) pisze, iż koronacya r. 1058, przy wstąpieniu na tron Bolesła-

i gwoli jęj skompletowania część arcy-pasterzy owych z Węgier przywołuje, a nawet i ruskich biskupów obrządku greckiego do Krakowa na koronacyą sprowadza ¹⁾: my na taką interpretacyą pisać się nie możemy, ale owszem uznajemy być rzeczą oczywistą, iż z przesadą mnicha mamy do czynienia. Aleć i mniejsza o ściłość owęj liczby; w każdym razie jest ona wyrazem przekonania i opinii, co już była dobiegła i do cel zakonników niemieckich, że Polska w tym właśnie czasie poważną miała liczbę swoich biskupów, tak że zarządzenie powyższemu niedostaktowi, na który się Grzegorz VII roku 1075 skarżył, pod koniec r. 1076 już faktem było dokonany.

Rezultatem naszych badań jest: że dopóki nie zostanie wykryte wiarogodne źródło, któreby inaczej świadczyło, za rzecz niewątpliwą uważamy, iż biskupstwo lubuskie, w r. 1075, wspólnie z biskupstwami wrocławskiem i kujawskiem z inicjatywy Grzegorza VII-go, za sprawą przysłanych legatów przez Bolesława Śmiałego założone zostało.

wa się odbyła. Zważywszy jednakowoż, że Lambert współczesnym jest świadkiem; że tak samo świadczą krajowi kronikarze (Annal. Crac. Vetust., Annal. Capit. Crac., Annal. Crac. Compil., Annal. Crac. brev., apud Pertz, in us. schol., str. 2, 17, 37, 90); zważywszy, że gdy Długosz biskupa dyecezyi chełmińskiej, jak wiemy, dopióro r. 1214 i 1243 fundowanęj, między biskupów będących przytomnymi koronacyi policza, znów z Długoszowym mamy do czynienia wymysłem: godzimy się na zdanie Roepella, który na str. 199 krytyce Naruszewicza wazelaką odmawia słuszność.

¹⁾ Polska wieków średnich, II, 90.

PRZYJAŹŃ I MIŁOŚĆ W ŻYCIU MICKIEWICZA.

(OKRES WILEŃSKI I KOWIEŃSKI).

NAPISAŁ

D-r Teofil Ziemba.

I.

Równocześnie z Mickiewiczem wstąpił w r. 1815 do uniwersytetu wileńskiego młodzieniec, który chociaż ubogi i z początku prawie nikomu nie znany, miał przecież w krótkim czasie stać się osobistością tak ważną, że niepodobna mówić o stosunkach wileńskich w owych latach, aby co chwila nie spotykać się z jego nazwiskiem.

Był to Tomasz Zan, urodzony w r. 1796 w okolicach Mińska, gdzie ojciec jego służył początkowo jako ekonom, a później przy pomocy księdza kanonika Zana, proboszcza w Połoneczce, nabył na własność mały folwarczek niedaleko miasteczka Mołodeczna, słynnego z pobytu Napoleona w r. 1812.

Ztąd też wrażenia wypadków ówczesnych zapisały się głęboko w umyśle piętnastoletniego Tomasza, który właśnie wtedy w Mołodecznie kończył gimnazyum.

Kilka miesięcy upłynęło od pamiętnego lata 1812 roku, gdy tą samą drogą powracały rozbitki napoleońskiej armii...

Wówczas sławny Eugeniusz Beauharnais, stanąwszy w ubogim domku babki Tomasza, spożywał z wielkim apetytem skromny obiadek, przeznaczony dla powracających ze szkoły wnuków...

Tak więc miał Zan już w poranku swego życia sposobność widzenia nadzwyczajnych wypadków dziejowych, które nie pozostały bez wpływu na wyrobienie w nim wczesnej dojrzałości umysłu i niezwykłej mocy charakteru.

Obdarzony wielkimi zdolnościami, celował Tomasz w naukach już w szkole mołodeczańskiej, gdzie zawsze do „złotej księgi“ był wpisywany.

Po ukończeniu tamtejszego gimnazjum, zawiózł go ojciec do Wilna, gdzie spotkawszy się z dawnym swym znajomym, a wówczas burgrabią w pałacu Ogińskich, wymógł na nim obietnicę, że Tomasz pomieści u siebie przez czas jakiś, dopóki się sam o własne utrzymanie nie postara. Zrobiwszy to, uściskał swego syna, pobłogosławił i odjechał stary Zan napowrót na swoje niewielkie gospodarstwo. Odtąd wypadło już Tomaszowi samemu myśleć o dalszym swoim losie. Nie uzyskawszy miejsca na rządowym funduszu, o które ubiegał się wraz z Mickiewiczem, skazany był na mozolną pracę prywatnego udzielania nauki. Na szczęście wszakże znalazł niebawem życzliwych na tém polu protektorów, a pierwszym, który mu tu pomocną podał rękę, był adjunkt uniwersyteckiej biblioteki, zacny Kazimierz Kontrym, który ofiarował mu u siebie stół i mieszkanie za udzielanie lekcyi swojemu synowcowi. Wkrótce atoli rozeszła się szeroko sława Zana, jako wybornego nauczyciela, tak że później wielu zamożniejszych obywateli powierzyło mu opiekę nad swoimi synami. Prócz tego i wszystkie wileńskie pensyonaty ubiegać się poczęły o niego, tak dalece, że Zan, nie mając już godzin wolnych, którego z kolegów natomiast zwykle zalecał. Jednak nietylko pracowitością i nauką odznaczał się Tomasz w gronie młodzieży wileńskiego uniwersytetu, znano go także i ceniono z powodu pięknego ze wszech miar charakteru. Wszak pamiętamy owo pierwsze jego poznanie się z Mickiewiczem, tak pięknie opisane przez Odyńca, a świadczące tak wymownie o szlachetném sercu, wolném od wszelkiego uczucia zazdrości lub niechęci. Jakoż od owiej chwili obaj młodzieńcy w serdecznej pozostawali przyjaźni, która z dniem każdym stawała się jeszcze tém ściślejszą, że obaj poetyczne mieli usposobienie, a Zan, choć oddany naukom przyrodniczym, nawet jeszcze przed Mickiewiczem zaczął, jako autor ballad, się swych doświadczać. Wszakże nietylko sam Mickiewicz umiał ocenić wartość takiego jak Tomasz kolegi i przyjaciela. Poznali bowiem i ukochali wszyscy to, według Odyńca „serafickie usposobienie serca, które kochało wszystko i wszystkich, we wszystkiém i we wszystkich szukało tylko i widziało dobro, a każdém miłém wrażeniem rade było ze wszystkimi się podzielić.” Nie dziwimy się zatem, że młodzieniec obdarzony tak niezwykłemi darami serca, zarówno jak zdolnościami umysłu, stał się wkrótce moralnym całej młodzieży wileńskiej przewodnikiem.

II.

Wiadoma to rzecz, że lata, o których piszemy, były epoką rozmaitych związków, które pod różnemi hasłami tworzyły się w całej Europie. Oddawna też istniała w samém Wilnie loża wolnomularska, do której należeli nawet tak poważni jak Grodek, profesorowie uniwersyteccy. Powszechny w uniwersytetach niemieckich zwyczaj zawiązywania między młodzieżą rozmaitych „burszowskich“ kółek, przy-

bierał na szczęście między młodzieżą wileńską szlachetniejszy, bo przedewszystkiē naukowy charakter. Ztąd tēż jeszcze w roku 1805 zawiązało się w Wilnie „Towarzystwo doskonalącēj się młodzi w naukach,“ które później, to jest od roku 1808 nazwało się Towarzystwem filomatycznē. Honorowym prezesem tego związku, który był jawny i za wiedzā ówczesnego rektora Strojnowskiego utworzony, był najpierw ks. Józef Mickiewicz, stryj poety, a później Stefan Stubielewicz, profesor fizyki w uniwersytecie wileńskim. Członkami zaś byli: Joachim Lelewel, Leon Borowski, Mikołaj Mianowski, Jan Bärhman i wielu innych, którzy zobowiązali się pracować usilnie w obranym kierunku naukowym a przytēm na zbierających się od czasu do czasu zgromadzeniach prace swe odczytywać.

Wiadomość o pracach Towarzystwa wychodziła niekiedy nawet w drukowanēm sprawozdaniu, czego dowodem jest ogłoszone w roku 1806 pisemko p. t.: „Posiedzenie publiczne Towarzystwa doskonalącēj się młodzi w naukach i umiejētnościach pod prezydencją Stefana Stubielewicza,“ gdzie między innymi znajdujemy wzmiankę, iż na owēm posiedzeniu czytał Borowski ustępy przekładu Molierowskiego „Skapca.“ Towarzystwo to istniało nie długo, bo ze zmianą stosunków w położeniu pierwszych jego założycieli i najgorliwszych członków, z których jedni wyjechali dla dalszych studyów zagranicę, drudzy zaś, jak Lelewel i Borowski, na posady profesorskie (do Krzemieńca i Świśłoczy) samo przez się istnieć przestało. Mimo to wszakże, utrzymywała się w uniwersytecie tradycja tego Towarzystwa i była jeszcze dosyć żywą wówczas, gdy do Wilna przybyli Zan i Mickiewicz. Prócz tego był jeszcze i zkadınąd przykład świeżo zawiązanego stowarzyszenia, które pomimo humorystycznego sztandaru, miało na oku piękne moralne cele. Było to zwłaszcza zawiązane w r. 1816 towarzystwo „Szubrawców,“ którzy w wydawanych przez siebie „Wiadomościach brukowych“ występowali ostro przeciw rozmaitego rodzaju wadom lub wybrykom. Towarzystwo to miało swego prezesa, sekretarza i kilku „witajników,“ których zadaniem było witać stosowną przemową nowo wstępujących członków. Podajemy tu ustęp z takiego wierszowanego przemówienia, które zarazem i cele Towarzystwa dostatecznie określa:

Lecz są potężniejszo wrog,
 Z którymi walczyć wypada,
 Duma, podłość, chciwość, zdrada!
 Natrzeszcie na nie bez trwogi?
 Powieszcie w przybytku pychy,
 Depcąc z pogardą po zlocie:
 Wolę stan szubrawca lichy,
 Niżli wziętość przy niecnocie?

Gdy taki myślenia sposób
 Ciebie tu do nas przywodzi,
 Pomieścić się tobie godzi
 W gronie tylu zacnych osób.

III.

Pod wpływem niewygasłej tradycji o istniejącem jeszcze nie dawno Towarzystwie filomatyczném a oraz za przykładem świeżo zawiązanego związku Szubrawców, powstała wkrótce, bo już w roku 1817 myśl zawiązania nowego między uniwersytecką młodzieżą towarzystwa. Autorem pomysłu i właściwym twórcą związku był Tomasz Zan, który zarazem był i duchowym jego przewodnikiem, jakkolwiek kto inny, to jest Józef Jeżowski, był jego prezesem, a Onufry Pietraszkiewicz sekretarzem.

Prócz wymienionych, składało się to pierwsze grono jeszcze z trzech innych członków, którymi byli Franciszek Malewski, syn rektora, Jan Czczot i Adam Mickiewicz.

Grono to przyjęło nazwę Filomatów, czyli miłośników nauki, a jak sama nazwa wskazuje, nie stawiało sobie żadnych politycznych celów, lecz zobowiązało się dobrym przykładem wpływać na kolegów, zachęcając ich do pracy i gruntownej nauki. Członkowie tego grona zbiegali się od czasu do czasu dla zdawania sprawy z rozpoczętych czynności i odczytywania swoich prac naukowych. Jeżeli zaś głową tego grona był Tomasz Zan, to duszą, albo raczej sercem jego był Mickiewicz, który je już w pierwszych czasach istnienia pieśniami swemi w wysokim stopniu umiał ożywiać. Członkowie grona, zawiązanego w imię nauki i cnoty, nie spieszyli się wcale z pomnożeniem swęj liczby, a przynajmniej zachowywali w tém pewną ostrożność. Upatrzawszy bowiem młodzieńca, którego zdolności umysłowe, a co ważniejsza jeszcze, przymioty charakteru, rokowały dobre dla rozwoju towarzystwa widoki, pozyskiwali go najczęściej w ten sposób, że kilku z nich układało wprzód z nim plan i statuta jakby mającego się dopiero zawiązać towarzystwa. Potém dopiero wprowadzano go na zebranie grona, gdzie miał się niespodziewanie dowiedzieć, że Towarzystwo z takimi celami i statutami istnieje już oddawna między młodzieżą.

W ten sposób postępując, przyjęli filomaci wkrótce do swego grona Teodora Łozińskiego, Jana Sobolewskiego i Józefa Kowalewskiego. Nie długo po nich wstąpił jeszcze do ich liczby Maryan Piasecki wyborny prawnik i Wincenty Budrowicz, dobry matematyk a przytém powszechnie kochany oryginał, z którego nazwiskiem łączy się ballada Mickiewicza o trzech Budrysach. W następującym dopiero roku (1818) weszli do grona filomatów jeszcze czterej członkowie, to jest ks. Chlewiński, Stanisław Kozakiewicz, Adam Suzin i Ignacy Domejko. Ostatniemu z wymienionych, a dziś już tylko jednemu, który żyje dotąd z tego grona, zawdzięczamy powyższe szczegóły, opisane nader zajmująco w liście do Bohdana Zaleskiego ¹⁾. Są one niewąt-

¹⁾ Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu. Rok 1870—1872.

pliwie prawdziwe, czego dowodzi i zgodność z niemi wydanego w Paryżu „Pamiętnika o filomatach i filaretach.“

Okazuje się zatem, że wszystkich filomatów nie było więcej nad 14, a chociaż w gronie ich byli ludzie rozmaitych usposobień i zawodów, przecież wszyscy tworzyli koło tak jednolite i duchem takiej jedności tchnące, że według słów Mickiewicza byli oni prawdziwie „braterstwa ogniemw spięci“ i tworzyli według Domejki jakby jedną kochającą się rodzinę. Ależbo grono to pełne „myśli i chęci świętych“, ożywione jakimś głęboko rzec można mistycznie religijnym duchem, składało się z młodzieży, jaśniejącej czystością ducha i niezwykłą siłą charakteru. Ktokolwiek tedy zbliżył się do nich lub wszedł do nielicznego ich kółka, mógł doznać wrażenia, zawartego w słowach wielkiego poety, które on może i pod wpływem wspomnień z owych czasów napisał:

Świętym jest na ziemi,
Kto umiał przyjaźń zawrzeć ze świętymi.“

Między poezjami naszego poety, znajduje się wiersz mało znany, bo dopiero w tomie V dzieł jego w r. 1880 zamieszczony, a pierwój jeszcze w „Pamiętniku o filomatach i filaretach“ ogłoszony, który jest w najściślejszym związku z Towarzystwem filomatów. Napisał go Mickiewicz jeszcze 14 września 1818 roku. Utwór ten odznacza się prawdziwie klasyczną wytwornością dykcji, przypominającej pióro Trembeckiego, którego jak wiadomo, Mickiewicz tak wysoko cenił, że wierszy jego uczył się sam na pamięć i wszystkim innym to samo czynić zalecał.

Odsyłając czytelnika do całkowitego wydania dzieł poety, przytoczymy tu tylko ustępy, określające charakter i dążenia filomatów:

Wszakże własne żądanie do związku nas wiodło,
Wszak praca nasze bóstwo, przyjaźń nasze godło.
Oby kiedyś świat cały zgodne wiążąc dłonie,
Nasze wziął godło, naszym bóstwom sypał wonie.

Ale z takich początków wniósłby chyba tępy,
Że trzeba wszystkim wolne zrobić do nas wstępy.
Bo nie długo postoi gmach wolny od skazy,
Jeśli doń budowniczy kładł bez braku głazy.
I nam, jeśli nie miło podjąć pracę marną,
Sprawmy, niechaj się tylko godni do nas garną.

Żeby tak pożyteczne dokonać zamysły,
Najpewniejszym sposobem będzie wybór ścisły.
Ów Samijczyk w mądrościach natury ćwiczony,
Gdy prawdzie długo nagiej narzuciał zasłony,
I tajne berło cnoty rozciągnął nad światem,
Nie każdemu z swych uczniów dozwolił być bratem!

Oto zasady, któremi w przybieraniu nowych do swego grona członków kierowali się filomaci. Wszakże chcąc rozpocząć skuteczne w obranym kierunku działanie, zmierzające do zwrócenia wszystkich kolegów na drogę nauki i cnoty, aby ztąd i dla kraju urósł kiedyś pożytek, trzeba było obmyśleć sposób liczniejszych a przecież ustawami niezabronionych zgromadzeń. Sposób taki podał Zan, a niedługo potem, bo już na wiosnę 1819 roku wprowadzono go w życie.

IV.

W pomieszkaniu ogólnie uwielbianego Zana zgromadzała się już od pewnego czasu liczniejsza młodzież, gdzie zostawała pod urokiem jego miłego śpiewu i porywającej jego wymowy. Skutkiem tego rozpowszechniło się wkrótce mniemanie, że kiedy Zan przemawia w gronie młodzieży, wówczas z oczu i czoła jego wytryskają promienie, które trafiają do duszy wszystkich, zdolnych przejąć się uczuciem prawdziwego dobra i piękna. W związku z tém była i owa teoria o „promionkach,” którą Zan nie tylko wymyślił, lecz i w życiu zastosowywał. Teoria ta polegała, według świadectwa Odyńca, na zdaniu, że dusza ludzka rozmaitemi promieniami wytryska nazewnątrz człowieka. Ale między temi są trzy promienie najszlachetniejsze, świadczące najwięcej o boskim jéj początku, to jest piękność, czułość i niewinność. One to właśnie, jeżeli są czyste i nieskalane, tworzą około duszy ludzkiej „pewien rodzaj atmosfery, czyli raczej aureoli świetlanej, a ta zetknąwszy się z drugą podobną, zlewa się wzajem w jedną wspólną tęczę, która i dla serc obu świat ten opromienia i jak mitologiczna Iris obie dusze powołuje ku niebu.“ Tęcza ta utworzona przez dusze osób téj saméj płci, zowie się przyjaźnią, w przeciwnym zaś razie niewiną, czystą, platoniczną miłością. Zdaje się, że teorią tę podzielali przedewszystkiémi filomaci, a sam jéj autor stosował ją z jednej strony do kolegów swoich, z drugiej do wielu znajomych sobie panienek, z których każdéj przypisywał jakiś szczególny „promionek“ doskonałości.

W poezyach Mickiewicza, a zwłaszcza w pierwszej części „Dziadów,” jest nawet ustęp napisany widocznie pod wpływem téjże saméj teoryi:

W przyrodzeniu, powszechnéj ciał i dusz ojczyźnie,
 Wszystkie stworzenia mają swe istoty bliżnie:
 Każdy promień, głos każdy z podobnym spojony,
 Harmonię ogłasza przez farby i tony;
 Pylek nawet błędzący wśród istot ogromu,
 Padnie w końcu na serce bliźniego atomu:
 A tylko serce czule z dozgonną tęsknotą
 W rodzinie tworów jedną ma zostać sierotą..?
 Jest i musi być kędyś choć na krańcach świata,
 Ktoś, co do mnie myślami wzajemnymi wzlata.

Piękna tedy i poetyczna teoria „o promionkach“ miała już między młodzieżą bliżej z Zanem żyjącą, wielu wyznawców a nawet z tego powodu ci wszyscy, którzy byli przyjaciołmi jego, przyjęli nazwę „Promienistych,“ to znaczy, miłością jego promienionych.

Otóż na wniosek Zana, na wiosnę 1819 roku urządzili Promieniści majówkę, czyli wycieczkę na Popławy o milę od Wilna, gdzie znajdował się folwark zwany Markucie, słynny z obfitości fijołków i mnóstwa słowików. W tej wycieczce prócz najbliższych Zana wzięła udział znaczna liczba młodzieży uniwersyteckiej, która już przed wschodem słońca różnemi drogami udała się na miejsce wskazane. Tam na wzgórzu, z którego widać było Ponary, Bekieszową górę i całe Wilno, przy skromnej uczcie, składającej się z ciast i mleka, rozpoczęła się zabawa, urozmaicona mowami, toastami i wesołemi pieśniami, między którymi kilkakrotnie odśpiewano znaną zwrotkę:

Pochlebstwo, chytryść i zbytek
Niech każdy przed progiem miota,
Bo tu mają swój przybytek:
Ojczyzna, nauka, cnota.

Całą zabawą kierowali Filomaci, o których tajemnym związku nawet nie wiedziała reszta młodzieży, głównym zaś przywódcą był Tomasz Zan, który przemówieniami swemi i pięknym śpiewem wszystkich czarował. Przed godziną 10-tą wrócili wszyscy do miasta, a że to była niedziela, udali się wprost do akademickiego kościoła na nabożeństwo. Taką była ta pierwsza majówka, na której wszakże Filomaci starali się już poznać bliżej usposobienia i zamiłowania kolegów, których ku wyższemu celom postanowili poprowadzić. Były zaś zabawy takie niewątpliwie dobrą do tego sposobnością, bo serca odsłaniały się wówczas w całej otwartości i dawały poznawać człowieka, który, jak wiadomo, nieraz spełnia obowiązek tylko tak, jak musi; ale bawi się zawsze tak, jak lubi i zabawę pojmuje. Wycieczki takie, których w maju tegoż samego roku jeszcze kilka odbyto, miały zawsze ten sam charakter niewinnej wesołości, której nikt nie mógł młodzieży zabronić, ani za złe poczytać. Mieszkańcy Wilna, zarówno jak i profesorowie, wiedzieli o tych wycieczkach, a nawet i nazwa „Promienistych“ nie była tajną, choć sobie ją niekiedy w inny sposób tłumaczono. I tak np. ks. Jundziłł wyprowadzał ją od tego, że „Promieniści“ zgromadzali się przy pierwszych promieniach budzącego się słońca ¹⁾. Wkrótce też i dobroczynny wpływ takich szlachetnych usiłowań zaczął się w swych skutkach objawiać. Sam bowiem Zan złożył następujący „raport“ na zgromadzeniu Filomatów:

¹⁾ „Promienistymi“ się nazwali, iż wychodzą rano, wspólnie przechadzki, obrady swe, pod otwartym niebem i niby pod wpływem wschodzącego słońca odprawiali” (Tyg. wielkop. z r. 1872, str. 673).

Dnia 6 maja r. b. (1819) otworzyliśmy zabawy majowe młodzieży, które promienistemi nazwano. Przedmiotem tego związku są zabawy, składające się z ćwiczeń ciała, z czytania własnych robótek w jakimkolwiek rodzaju, lub deklamowania miejsc piękniejszych z autorów polskich. Zabawy zowią się majówkami, których trzy w maju odbyto. Wstęp każdemu młodzieńcowi do związku wolny, sposób przyjmowania łatwy. Każdy przychodzący, mając sobie wyłożony cel Promienistych, cel zabawy, przyjemny i pożyteczny, ustnie obiecywał znajomość i przyjaźń, wspólną pomoc każdemu w naukach i potrzebach, wypełnienie obowiązków stanu, nabywanie cnót, które młodzieńca w oczach wszystkich czynią szacownym i miłym; po obietnicy imię swoje zapisywał w seksternie i już miał prawo mówić otwarcie i szczerze i słuchać przestrog. To przywróciło porządek między młodzieżą akademicką, zaczęli pilniej chodzić na lekcye i skromnie się na nich znajdować, do kościoła uczęszczać, uczyć się i egzamina zdawać.

Na jednej z takich majówek w roku następnym (1820) ułożono z pobudki Zana prawidła na wzór obyczajowej dla młodzieży książeczki Galateusza, które wszyscy Promieniści zobowiązali się zachować i w życiu swém ściśle wypełniać. Niedługo postanowiono je nawet przedłożyć ówczesnemu rektorowi Malewskiemu i prosić o ich zatwierdzenie. Aby wszakże niedość określona nazwa „Promienistych” nie stała temu na przeszkodzie, podano nazwisko „Przyjaciół pożytecznej zabawy,” którego zresztą poza obrębem majówek często Promieniści używali. Nie przytaczamy tu wszystkich owych „Prawideł,” które czytelnikowi zkaźdinąd mogą być znane; zwracamy tylko uwagę na sposób, jak według nich pojęte było zadanie młodego wieku. Oto np. co orzeka pierwsze prawidło: „Każdego poranku, zaraz po ocknieniu się ze snu, powiedz do siebie: młody jestem, mam więc jeszcze porę do nabycia nauki, cnoty, do zabawy, a ztąd do zapewnienia sobie szczęścia. Ale czas szybko i bez powrotu ubiega, nuż tedy coprędzaj na to wszystko dobro moje pracować.” Kilka następnych prawideł określa wybornie cel, wartość i granice prawdziwej i pożytecznej nauki, która wtenczas tylko dobre wydaje owoce, jeżeli gruntuje się na skromności i połączona jest z cnotą. W takimto właśnie duchu napisane jest prawidło VI i VII, z których zwłaszcza pierwsze zaleca skromność w następujących słowach: „Im skromniejszy coraz będziesz się stawał w twoich rozmowach, zdaniach, opiniach, tém większego coraz postępu w doskonaleniu się twojem będziesz miał dowody. Jeśliby zaś w jakiej twojej sprawie przebiła się pycha, lub wysokie o sobie rozumienie, natenczas uderz w piersi i zawołaj: Zgubiony jestem! Bież co rychlej do umiarkowańszego od siebie, użyj jego rady, albo innych sposobów do odkrycia twoich niedoskonałości.”

Rektor Malewski zatwierdził te prawidła „w nadziei dobrych skutków,” zezwalając oraz na zawiązanie się owego towarzystwa „Przyjaciół pożytecznej zabawy.” Wszakże niedługo potem nastąpiły wypadki, które skłoniły rektora do cofnięcia danego pozwolenia. Stało

się to w połowie maja r. 1821, a skutkiem tego rozwiązał się związek Promienistych. Jednak na jego miejsce zawiązało się wkrótce inne towarzystwo, które przybrało nazwę „Filaretów,” czyli „Przyjaciół cnoty.”

Tak sprawę tę opowiada w swych „Pamiętnikach” znany z owych lat profesor i oraz prefekt pedagogicznego seminarium, ks. Stanisław Jundziłł. Podobnie przedstawia ją także Karol Kaczkowski, ówczesny uczeń uniwersytetu, a przytém należący do „Promienistych” od października 1819 r. Nakoniec i „Pamiętnik o Filaretach i Filomatach” podaje rok 1821, jako datę rozwiązania „Promienistych,” a równocześnie utworzenia nowego związku, który nazwano „Filaretami.”

V.

Wszakże pomimo tych kilku świadectw, wolimy raczej pójść za opisem Domejki, według którego towarzystwo Filaretów istniało już przed r. 1821. Założyli je bowiem Filomaci prawdopodobnie już w pierwszym roku istnienia Promienistych, mając zwłaszcza na owych zabawach i wycieczkach dobrą sposobność do poznania charakterów, któreby celom towarzystwa zdołały odpowiedzieć. Nazwisko zaś Filaretów miało powstać na wniosek Jeżowskiego, który był z zawodu filologiem. Według tego w istocie bardzo wiarogodnego świadectwa wypada rzecz tak rozumieć, że owe trzy związki stanowiły jakby trzy koła dośrodkowe i rozwijały się w taki sposób, iż istniejący najpierw Filomaci, którzy stanowili kołko najmniejsze, utworzyli jawne i liczne koło Promienistych, z którego wybierali członków do mniej licznego koła Filaretów. Z filareckiego dopiero grona po dłuższem i dokładniejszém wypróbowaniu zasiłało się grono Filomatów nowymi w miarę potrzeby członkami, co wszakże działo się w takiej tajemnicy, że nawet nie wszyscy Filareci wiedzieli o istnieniu Filomatów.

Zarówno jak Filomaci i Promieniści, nie mieli i Filareci żadnych celów politycznych na oku, a ile razy jaki wysłaniec tajemnych spisków przybywał do Wilna, aby pośród młodzieży pozyskać zwolenników, rozwijali właśnie Filomaci i Filareci wielką przezorność i czynność, aby młodzież od podobnych niebezpieczeństw uchronić. Jak bowiem wskazuje sama nazwa Filaretów, czyli „miłośników cnoty,” było zadaniem ich przedewszystkiem moralne doskonalenie charakteru, gruntowne kształcenie się w naukach, w czém jedni nad drugimi obowiązali się czuć i wzajemnie sobie dopomagać. Towarzystwo całe, które w przeciągu trzech lat liczyło już około 200 członków, rozmaitym oddających się zawodom, podzieliło się na siedm gron rozmaitych, jakby na siedm promieni, lub tyleż barw tęczyowych. W ten sposób ów, w „raporcie” Zana wspomniany podział na sześć województw uległ z czasem takiemu przeobrażeniu, aż do owych już tam wspomnianych sześciu gron dodano jeszcze siódme. Ze źródeł, z których czerpiemy wiadomości dotyczące tej sprawy, nie możemy na pewno oznaczyć, jakiej bar-

wy używali członkowie różnych zawodów. Tak np. powiada Jundziłł, że literaci, czyli poeci, stanowili grono różowe, gdy przeciwnie, niewątpliwie wiarogodniejszy Odyniec mówi o sobie we „Wspomnieniach” swoich, że jako poeta, do grona błękitnego należał.

Prawnicy mieli tworzyć grono fioletowe ¹⁾, medycy ²⁾ granatowe, przyrodnicy zielone, matematycy amarantowe. Barwy te służyły szczególnie do odróżnienia gron na majówkach i w ogólności wycieczkach za miasto, gdzie dla porządku każde z nich zgromadzało się pod namiotem, a raczej dużym parasolem właściwego sobie koloru.

Na owych wycieczkach często odzywały się pieśni, układane przez Zana, Czeczota, lub Mickiewicza, a malujące wybornie nastrój i kierunek panującego wśród Filaretów ducha. Oto np. jedna z takich, którą ułożył Czeczot:

Bodaj-to złote wieki,
Kiedy miodem i mlekiem,
Słodkie płynęły rzeki,
A człek był słodkim człkiem!

Serce słodkie, jak z miodu,
Dusza jak mléko biała,
Czarnych zbrodni zarodu,
Ni gorzkich trosk nie znała.

Tak my kiedyś wzdychali
Za złotymi wiekami,
Pókiśmy nie zostali
Braćmi Filaretami.

Dziś dla nas wiek złoty
Blyszał w braterskiém gronie,
Gdzie czystym ogniem cnoty
Serce każdego płonie.

Słodka przyjaźń i zgoda
Pokrzepia wiek nasz młody,
Myśli, uczuć swoboda,
To złotych wieków miody!...

Tenże sam Czeczot ułożył także inną pieśń filarecką, w której między innymi w ten sposób określił Filaretów:

¹⁾ Według „Pamiętnika o Filomatach i Filaretach” — różowe.

²⁾ Według „Pamiętnika o Filomatach i Filaretach,” medycy, jako najliczniejsi, tworzyli dwa grona.

Są oni i pracowici,
I cnotami znamienici,
Słowem, szanowni Lechici.

Lubią nauki i cnoty,
Piszą co kwartał roboty,
I dają co miesiąc — złoty!

Ostatnia zwłaszcza zwrotka wypowiada to, do czego się istotnie każdy Filaret zobowiązywał. Wspomniane tu „roboty,” czyli rozprawy naukowe, lub w ogólności próby literackie, odczytywano na zebraniach, które każde grono odbywało co dwa tygodnie. Na tych posiedzeniach przewodniczył zwykle jeden z koła filomackiego, który, jako najczynniejszy, wybierany był na to przez samych Filaretów. Na zebraniu każdego grona znajdowali się z obowiązku delegaci gron innych, kolejno w tym celu wybierani, którzy potem na posiedzeniach swoich oddziałów zdawali sprawę z rozpraw słyszanych, aby w ten sposób i inne grona dowiadywały się o postępach pracy każdego kółka. Każdy należący do grona miał prawo projektowania nowego członka, którego wszakże przyjmowano do towarzystwa dopiero po dokładnej poprzedniej próbie. Ze „Wspomnień” A. E. Odyńca wnosić wypada, że moralność, a przedewszystkiem religijność kandydata odgrywała ważną w tej próbie rolę. Było to bowiem 15 października 1820 r., gdy Odyniec wśród księżycowej nocy poszedł pod „Ostrą Bramę” i jako w dzień imienin swojej matki, gorąco modlił się do Boga. Zdarzyło się tedy, że Czeczot, wracając od Malewskich, przechodził właśnie tamtędy. Spostrzegłszy Odyńca, nie przerwał mu modlitwy; ale odtąd utwierdził się w przekonaniu, że ma do czynienia z „dobrym i religijnym chłopcem.” Aby się wszakże „Beniaminek,” bo tak wówczas Odyńca nazywano, w jakich złych towarzystwach nie popsuł, powziął myśl zapisania go do związku „Miłośników cnoty.” I w rzeczy samej, niedługo potem, po odbytej wprzód na tę intencją spowiedzi, przyjęty został Odyniec do błękitnego, czyli literackiego grona Filaretów.

To wszystko, cośmy dotąd o Filomatach i Filaretach powiedzieli, dać już może dostateczne wyobrażenie o dążnościach owęj zacnej młodzieży wileńskiej, w której gronie i Mickiewicz przepędził swe lata młodociane. To też przypominając sobie później te piękne czasy, mógł poeta żałować za niemi, jak się to okazuje z owych słów tak prostych, a tak głęboko rzewnych:

Polaly się me lzy czyste — rześisto
Na me dzieciństwo sielskie — anielskie,
Na moję młodość górną — i chmurną!...

Zanim wszakże i tę drugą stronę młodości jego poznamy, wypada nam okazać, o ile się jego talent już w tym czasie rozwijał i dojrzewał.

VI.

Przyjaźń łącząca naszego poetę z tak idealną, jak Filomaci i Filareci młodzieżą, to niewątpliwie wielce ważna pobudka dla drzemającego w nim talentu. Dlategoż zanim opowiemy dalsze życia jego wypadki, zatrzymamy się tu na chwilę, aby rozpatrzyć się w tém, co o ile nam wiadomo napisał poeta już w owych uniwersyteckich latach. Jestto rzeczą powszechnie wiadomą, że na rozbudzenie wrodzonych człowiekowi zdolności, wielce rozmaite mogą działać czynniki.

Do takich zaś w sferze literackiej należy zaliczyć ogólny w pewném miejscu ruch piśmienniczy, objawiający się w czasopismach lub książkach wydawanych, wreszcie powszechne interesowanie się nauką i literaturą pomiędzy ludźmi starszymi, za których przykładem i młodzież nabiera w tym samym kierunku upodobania. Otóż w latach, kiedy nasz poeta był uczniem uniwersytetu, Wilno pod każdym z wymienionych względów było niewątpliwie w całej Polsce najwyższém stojącym miastem. Nie dosyć bowiem, że znajdował się tam najlepszy w owych czasach uniwersytet, zaopatrzony w pierwszorzędne w każdym kierunku znakomitości, ale prócz tego wychodziły tam i wcale dobre na owe czasy publiczne pisma literackie. Między temi zaś na pierwszym miejscu należy postawić „Dziennik Wileński,” którego wydawnictwo już w r. 1805 rozpoczęte, po upływie roku wszakże przerwane dopiero po 10 latach t. j. w r. 1815 do nowego obudziło się życia.

Równocześnie wychodził w tychże latach t. j. od r. 1815 i „Tygodnik Wileński,” także pismo literackie i naukowe, choć nie mające już tak poważnego jak „Dziennik” charakteru. Obok wydawanych przez Szubrawców „Wiadomości brukowych,” wychodziły jeszcze peryodycznie pod redakcją Kontryma „Dzieje dobroczynności,” i wreszcie samym tylko wiadomościom politycznym poświęcony „Kurier Wileński.” Wszystko to świadczy, że był naówczas w Wilnie dosyć ożywiony ruch literacki, a przypadał on właśnie na te czasy, kiedy Mickiewicz tam przebywał.

Prócz tego była wszakże i inna jeszcze dla młodych talentów pobudka. Wychodziła ona zaś tym razem od samego uniwersytetu, którego profesorowie nie tylko pisma wymienione a głównie „Dziennik Wileński” pracami swemi zasilali, ale nadto odbywali corocznie sześć „posiedzeń akademickich,” i dwa „publiczne” zwłaszcza z początkiem i końcem każdego roku. Na takich posiedzeniach odczytywano w różnych przedmiotach rozprawy naukowe, których słuchała młodzież akademicka, a cała publiczność mogła powziąć o nich wiadomość ze sprawozdań podawanych w „Dzienniku Wileńskim.”

Skutkiem tego ruchu naukowego i piśmienniczego, który głównie profesorowie uniwersytetu rozbudzić zdołali, cała światlejsza publiczność żywo zaczęła się literaturą zajmować. Stąd też i towarzystwo „Szubrawców” liczyło oprócz ludzi zajmujących się z zawodu nauką,

także i wielu obywateli wiejskich, którzy jako tak zwani „rusticani“ czyli „wiejscy“ pisywali do „Wiadomości brukowych“ artykuły i jak np. Puttkamer zawsze umyślnie na posiedzenie towarzystwa do Wilna przyjeżdżali. Dodajmy do tego jeszcze Towarzystwo Filomatów i Filaretów, którego członkowie jak wiemy już z podanej wyżej pieśni filareckiej „mieli pisać co kwartał roboty“ a przyznać nam koniecznie wypadnie, że wszystko to razem wzięte, mogło temu, który już w Nowogródku zaczął wierszować dostarczać wiele do próbowania talentu, pobudek.

Z opowiadania Odyńca o profesorze Borowskim wiadomo, że już pierwsze podane mu przez Mickiewicza prace miał on publicznie pochwalić. Nie umiemy wszakże powiedzieć, które to były, zarówno jak nie wiadomo nam, który utwór spowodował Borowskiego do owego znanego wykrzyknika, zapowiadającego zjawienie się geniuszu w naszym kraju. Według Odyńca pisał nasz poeta w pierwszych dwóch latach swego pobytu w uniwersytecie bajki na wzór Trembeckiego. Być tedy może, że owe pochwały Borowskiego, odnosiły się właśnie do tych pierwszych próbek talentu, do których wszakże sam poeta nie wielką przywiązywał wagę. Stósownie bowiem do zdania jakiegoś fizjologa, który dowodził, że mózg dziecka podobnym jest kolejno do mózgu ryby, ptaka, zwierzęcia ssącego, aż się wreszcie na mózg ludzki wyrobi, utrzymywał Mickiewicz, że i w rozwoju moralnym i artystycznym kształceniu człowiek takie stopnie przechodzi. Stąd też mówił kiedyś Odyńcowi, że jak w Nowogródku był w stanie ryby, tak w pierwszych latach pobytu w Wilnie czuł się zwierzęciem wobec poezji t. j. „pisał takie wiersze i miał takie wyobrażenie o sztuce, jak tego wymagali ówcześni recenzenci warszawscy.“ Jednak już w owych latach nosił się poeta z myślą pisania poematu heroikomicznego pod tytułem „Kartofla“ a nawet plan jego „był ułożony a nawet znaczna część miała być wykończoną.“ Podobno rękopis tego utworu znajdował się w posiadaniu Aleksandra Mickiewicza, brata poety i być może, że kiedyś podany on będzie do wiadomości publicznej. Zanim to wszakże nastąpi, możemy o nim mówić tylko na podstawie wiadomości podanych przez Odyńca, któremu autor sam kiedyś w Wilnie ustępy tego utworu odczytywał, a nawet i darował kilka ustępów własną przepisanych ręką ¹⁾. Poemat miał się składać z dwóch części, z których pierwsza (prawie skończona) zaczynała się opisem wyprawy Kolumba, ściganego straszną burzą na nieprzejrzanych falach oceanu. Cała załoga doznaje strasznej trwogi z wyjątkiem Kolumba, pełnego wiary w swoje śmiałe przedsięwzięcie. Burza zaś owa była dziełem szatana, który w ten sposób nie chciał dopuścić rozszerzenia chrześcijaństwa i innych dobrych skutków z odkrycia nowego świata. Gdy tedy Kolumb walczy w ten sposób i z szatanem i z żywiołami i z własnymi ludźmi, odbywa się w niebie rada, czy zezwolić na odkrycie nowego świata, czy też odro-

¹⁾ „Listy z podróży,“ tom I.

czyć je do dalszych czasów? Archanioł Michał staje po stronie Kolumba i w długiej mowie przedstawia wszystkie korzyści, mogące wyniknąć z dobrego skutku jego wyprawy. Ale przeciw temu powstaje archanioł Gabriel, który przepowiada wszystkie nadużycia, a nawet zbrodnie Hiszpanów, które będą plamą ludzkości. Z powodu tych przemówień szala wyroków chwieje się, aż wreszcie, staje w równowadze. Wówczas dopiero archanioł Michał jako ostatni argument rzuca na nią kartofel. Szala przechyla się na stronę Kolumba, a sam archanioł Gabriel ustępuje przed pożytkiem, jaki kartofle mogą przynieść ludzkości. Teraz spieszy archanioł Michał na pomoc Kolumbowi, szatan pierzcha — burza ustaje: Ameryka odkryta. Druga część miała opisywać uprawę kartofli na Litwie i praktyczny z nich użytek, przy którejto sposobności zamierzał poeta skreślić obrazy wiejskiego życia i obyczajów krajowych.

Jakkolwiek z takiego streszczenia trudno utwór ten sądzić, niepodobna mu przecież wielkiej w pomyśle głównym odmówić oryginalności, chociażby nawet niektóre szczegóły mogły przypominać właściwy Miltonowi sposób. Poeta nasz bowiem, zanim się zabrał do pisania tego utworu, czytał wprzód i studyował pilnie rozmaite epeje, jakie tylko literatura powszechna mogła wykazać. Studya te miały mu się niebawem przydać do innej dosyć obszernej, wszakże nie poetycznej pracy.

Zmarły w r. 1880 Cyprynus a właściwie Józef Przeclawski, niegdyś kolega wileński Mickiewicza, mówi ¹⁾, że tenże pierwsze swoje utwory drukowane w „Dzienniku wileńskim“ podpisywał przydomkiem swoim „Rymwid.“ Pomimo starannego przejrzenia pism wileńskich z owego czasu, nie znaleźliśmy żadnego wiersza z takim podpisem. Jest wprawdzie w wymienionym „Dzienniku“ za rok 1818 (w zeszyście lipcowym) krótki wierszyk pod tytułem: „Matematyk i poeta,“ podpisany przez Adama R..... ale jakkolwiek liczba położonych obok R kropki odpowiadałaby owemu przydomkowi, przecież nie odważylibyśmy wiersza tego przypisać Mickiewiczowi, lecz raczej Adamowi Rogalskiemu, bratu znanego pisarza Leona. Pozostaje tedy jako rzecz niewątpliwa, że pierwszym drukowanym utworem poety był wiersz „Zima miejska,“ zamieszczony w „Tygodniku wileńskim“ z r. 1818 (Październik) z podpisem A. N. Mickiewicz. Wszelako wcześniej jeszcze, bo już 14 września 1818 napisany był wiersz, ogłoszony dopiero przed kilku laty pod napisem: „Już się z pogodnych niebios,“ z którego wyjątki podaliśmy wyżej, mówiąc o Towarzystwie filomatów. Na ten sam rok nareszcie przypada napisanie rozprawy krytycznej p. t.: „Uwagi nad Jagiellonidą Dyzmasa Bończy Tomaszewskiego. Gdy jeszcze przed ogłoszeniem tego poematu zamieścił dziennik wileński, wyjątki wraz ze

¹⁾ „Ruskij Archiw“ z roku 1872, tudzież „Polonica“ Antoniego J., Kraków, 1880.

zbyt wielkimi zachwaleniami, które napisał Styczyński, przeto autor nasz, nie spodziewając się, aby jego rozprawa mogła być w tém samym piśmie umieszczoną, postanowił starać się o ogłoszenie jój w Warszawie i w tym celu do bawiącego tam Lelewela napisał list następujący i wogóle najdawniejszy z jego listów, jakie znachodzimy w jego „Korespondencyi.“

Wilno, 9 listopada 1818 roku ¹⁾.

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Z imienia tylko znajomy Wielmożnemu Panu Dobrodziejowi, ale uczeń słuchający niegdyś lekcyi Jego w uniwersytecie Wileńskim, nigdybym się nieodważył udawać z prośbami mojemi, gdyby mnie nie ośmieliła dobroć Wielmożnego Pana Dobrodzieja i nie zmuszały okoliczności. Pismo, które Wielmożny pan odbierzesz, zawiera krótkie nad Jagiellonidą Tomaszewskiego uwagi: chciałbym je ogłosić w któremkolwiek piśmie peryodyczném, gdyż mnie na tém wiele zależy. W Wilnie, ponieważ jeden z dyrygujących autorami, dziełami i całą tutejszą peryodyczną literaturą, umyślił pisać kiedyś podobne uwagi, ogłoszenie zatem moich byłoby wstrzymane a praca zniweczona: przymuszony więc jestem szukać dla niej miejsca w Warszawie, gdzie nie mam nikogo, kto by się mną chciał zająć. Gdyby wartość lub błahość pisma stanowiła o jego przyjęciu i odrzuceniu, nie naprzykrzając się nikomu prośbami, czekałbym co się stanie; lecz kiedy w literackim zawodzie, wyższym nawet talentom prostą drogą, to jest: bez zabiegów i protekcyi dokonać coś trudno; tém słuszniej powinienbym się lękać o pomysły moich zamiarów skutek; śmiem więc upraszać Wielmożnego Pana Dobrodzieja, ażebyś (jeżeli to pismo wyda mu się godném ogłoszenia) raczył przemówić za niem słów kilka do Wielmożnego redaktora „Pamiętnika Warszawskiego;“ za co Wielmożnemu Panu Dobrodziejowi dozgonnie wdzięcznym będziecie

Wielmożnego Pana Dobrodzieja najniższy sługa i obowiązany uczeń

A. N. Mickiewicz.

W odpowiedzi na ten list wspomina Lelewel o „odgłosie pięknie rozwijających się talentów” Mickiewicza. Odgłos ten „podniecał” jego ciekawość i zachęcił do przeczytania owój rozprawy, wreszcie, że spotkawszy się zaraz z Bentkowskim redaktorem „Pamiętnika Warszawskiego,” wręczył mu ją bezwłocznie, a już po kilku dniach słyszał od niego iż „pismo to znajdujemy łatwém do czytania i piękném.” Dlatego wyraża Lelewel nadzieję, że praca ta znajdzie miejsce w „Pamię-

¹⁾ Data 1817, podana w 4-tém wydaniu korespondencyi jest oczywiście fałszywą, bo naprzód Lelewel w tym roku był jeszcze w Wilnie, a powtórne Jagiellonida wyszła dopiero w r. 1818.

tniku." W rzeczy samej nie długo czekał młody autor na przyjemność ujrzenia w druku swój pierwszej obszerniejszej pracy. Już bowiem w styczniu 1819 roku zamieścił „Pamiętnik Warszawski” jego rozprawę i tym razem z podpisem: Adam N. Mickiewicz.

Ktokolwiek w Warszawie czytał wówczas tę rozprawę, nie mógł się zapewne domyślić, że owym erudytem był tak młodociany, bo zaledwie 19 lat liczący autor. Jest też w istocie rozprawa ta bardzo wymownym dowodem, że poeta nasz już w owych latach wiele przeczytał i przestudował. Przytacza on bowiem najgłośniejsze w literaturze powszechnej eposy, a czyni to w taki sposób, iż widać, że je znał nie tylko z samego o nich słyszenia, lecz z dokładnego obeznania się z nimi.

W „Tygodniku Wileńskim” z r. 1819, 28 lutego pojawiła się bezimienna krótka powiastka z dziejów litewskich p. t. „Żywila” przy czem redakcja dodała nawiasową uwagę, że jest to wyjątek ze starożytnych rękopismów polskich, udzielonych redakcyi przez P. S. F. Ż. Pan Estrejcher zwrócił pierwszy uwagę na nią i wskazał ją jako utwór Mickiewicza. Jakoż w istocie nie pomylił się zasłużony bibliograf, gdyż i ogłoszony w czwartym wydaniu „Korespondencyi” list Fr. Malewskiego widocznie za tém przemawia ¹⁾.

W maju 1819 roku pojawiła się także bezimienna powiastka p. t. „Karylla.” Nazwisko zbliżone dźwiękiem do Maryli zarówno jak i osnowa tej powiastki, zawierająca miłość ubogiego pasterza ku wżajemnej sobie Karylli, gdy jej bracia niechętni tej miłości zabijają podstępnie nieszczęśliwego kochanka, skłoniły zapewne p. Estreichera do wniosku, że i ta zresztą bardzo piękna a nadto kilka rymowanych zwrotek zawierająca powiastka jest utworem Mickiewicza. Za tą hipotezą przemawia jeszcze i zakończenie powiastki. Czytamy bowiem tamże, że pamiątka opisanego w tej powiastce zdarzenia zachowała się w litewskiej ludu prostego pieśni, zaczynającej się od wyrazów:

„Karylla piękna, Narskich łąk królowa.”

A właśnie to zakończenie przypomina czytającemu rytm i poetyczną melodyą inną piosenki naszego poety:

„Wilija naszych strumieni rodzica...”

Do tej epoki wreszcie odnoszą się pierwsze ballady. Z tego co opowiada Odynieć i co hr. Wiktor Baworowski słyszał z ust samego Mickie-

¹⁾ List z Odessy r. 1825 „Korespondencya,” wydanie 4-e, tom III, str. 12; Maryan (Piasecki) niech mi przyśle ze cztery egzemplarze wiersza do Ielewela... Była w „Tygodniku” kiedyś powieść „Żywila,” proszę o Tygodnik albo o przepisanie... Czy się nie znalazł akt tłumaczony Don Karlosa, Oda do młodości...?

wicza, dowiadujemy się, że pobudką do pisania ballad była następująca okoliczność. Czerniawski, kolega Mickiewicza, a syn profesora literatury rosyjskiej w uniwersytecie wileńskim, wpadł raz z rozpromienionymi oczyma do pomieszkania Tomasza Zana w chwili, gdy tam znajdował się Mickiewicz i kilku innych towarzyszy. Czerniawski odczytał im z zapamiętaniem świeżo wydaną balladę rosyjskiego poety Żukowskiego p. t.: „Ludmiła,” która była przerobiona ze znaniej „Lenory” Bürgera. Wszyscy zachwycali się tym utworem, a ktoś zapytał Mickiewicza ¹⁾ dlaczego i on w podobnym rodzaju sił swych nie próbuje. To zapytanie, jak sam poeta opowiadał, sprawiło mu noc bezsenną, lecz talent ocknęło. Zaraz nazajutrz, jak mówi Odyniec, napisał Tomasz Zan ²⁾ balladę „Nerys,” a w parę dni potem drugą p. t.: „Świtez,” do której przedmiotu dostarczyło jezioro, i przez Mickiewicza później opiewane. W tym samym czasie i Mickiewicz napisał swoją najpierwszą balladę, osnutą na ludowej piosnce, a tą były „Lilie.”

Okazuje się zatem z tego wszystkiego, że poeta nasz w owych latach uniwersyteckich napisał wprawdzie jak na studenta dosyć, ale przecież jak na utalentowanego poetę, niezbyt wiele. Łatwo odgadnąć dlaczego tak było, zwłaszcza gdy się ma w pamięci, że jako kandydat stanu nauczycielskiego i uczeń pedagogicznego seminaryum, obowiązany był składać co pół roku egzamin, a więc nie miał nawet tak wiele swobodnego do autorstwa czasu. Prócz tego uczył się języków obcych, czytał i studyował najsłynniejsze epeopee, co także nie mało zajęło mu czasu.

Obudzona w nim iskra poezji miała niebawem wielkim wybuchnąć płomieniem, ale stało się to dopiero pod wpływem gorącego uczucia, które silnie wstrząsnęło całą jego istotą; uczucie, o którym przecież sam poeta później powiedział:

Podobnie na twe serce o poeto młody,
 Namiętność często groźne wzburza niepogody,
 Lecz gdy podniesiesz bardon, ona bez twój szkody
 Ucieka w zapomnienia pogrążyć się toni,
 I nieśmiertelne pieśni za sobą uroni,
 Z których wieki uplotą ozdobę twych skroni.

¹⁾ „Nowiny” lwowskie z r. 1856, str. 341; (artykuł hr. Wiktora Barorowskiego).

²⁾ Poezycy Tomasza Zana może kiedyś doczekają się zebrania i ogłoszenia. W książce: „Żywot i korespondencye Tomasza Zana” (Kraków, 1863) znajdują się ważne do tego wskazówki, a szczególnie na str. 50, sam Zan podaje spis swoich utworów: oto tytuły dawnych moich poematów, których większa część poprzedziła sławę moich przyjaciół i uczniów; ballady: „Naresza,” „Twardowski,” „Noris,” „Świtez,” „Cyganka,” etc.

VII.

W przeslicznej okolicy Nowogrodzkiego powiatu znajduje się jezioro Świtez, otoczone odwiecznymi sosnami i jodłami, które wyobrażenia ludu ubrała w szatę pełnego poezji podania. Z takiejto właśnie „wieści gminnej, tej arki przymierza, w której lud składa swych myśli przędę i swych uczuć kwiaty” skorzystał sam Mickiewicz, pisząc utwory znane, jak „Świtez,” „Świtezianka” i „Rybka,” gdzie nazwisko Świtezi niejednokrotnie się powtarza, a samo nawet jezioro tak pięknie jest opisane:

Ktokolwiek będziesz w Nowogrodzkiej stronie,
Do Płuzyn ciemnego boru
Wjehawszy, pomnij zatrzymać twe konie,
Byś się przypatrzył jezioru.

Świtez tam jasne rozprzestrzenia łona,
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszczą oczerniona,
A gładka, jak szyba lodu.

Niedaleko od tego pięknego jeziora leży wieś Tuhanowicze, od księżąt Tuhanów wyprowadzająca swe nazwisko. Na miejscu bowiem dzisiejszego jeziora, miało być według tradycyi ludu, kiedyś przed wiekami miasto, jak o tém i poeta wspomina:

Na miejscach, które dziś piaskiem zaniósł,
Gdzie car i trzcina zarasta,
Po których teraz wasze biega wiosło,
Stał okrąg pięknego miasta.

Świtez i w sławne orężem ramiona
I w kraśne twarze bogata,
Niegdyś od księżąt Tuhanów rządzona,
Kwitnęła przez długie lata.

Po owych wszakże Tuhanach nie zostało nic prócz wspomnienia, a majątność z ich nazwiskiem złączona, nadaną została za Zygmunta I jednemu z rodu Massalskich, od którego pochodząca gałąź do rodowego nazwiska jeszcze przydomek Tuhanowskich przybrała. Tuhanowicze wszakże, będące dziś znowu w rękach rodziny Tuhanowskich, były z końcem XVIII i na początku XIX wieku w posiadaniu Wereszczaków. Stary Wereszczaka wodził niegdyś rej na zjazdach i sejmikach, miał dom otwarty dla szlachty całego powiatu Nowogrodzkiego, którego był oraz marszałkiem. Zupełnie téż do niego odnoszą się słowa w balladzie Mickiewicza „To lubię:”

Owego czasu żyłam ja na świecie,
Marylą zwana przed laty;

Ojciec mój, pierwszy urzędnik w powiecie,
Możny, poczciwy, bogaty.

Ale w czasach, do których się nasze opowiadanie odnosi, nie żył już pan marszałek. Pozostał tylko brat jego, wówczas podkomorzy nowogrodzki, typ szanowanego powszechnie obywatela, który może dostarczyć rysów do znanéj z „Pana Tadeusza” postaci podkomorzego.

Właścicielką Tuhanowicz była zatem wdowa po marszałku, zająca, bogobojna i rozumna matrona, odznaczająca się nadto według świadectwa jéj siostrzeńca, Ignacego Domejki ¹⁾, nadzwyczajną słodyczą charakteru. Dom p. marszałkowej, gościnny, serdeczny i jak za życia starego marszałka, zawsze dla wszystkich otwarty, tém więcéj stawał się teraz pełnym ruchu i życia, że dwaj synowie, t. j. starszy Michał i młodszy Józef przyczyniali się nie mało do jego ożywienia. Obaj bowiem miłośnicy literatury i w ogóle ludzie wykształceni, lubili także wesołe towarzystwo a przytem słynęli z zamiłowania do myślistwa i pięknych koni, któremi mogła się pochlubić stajnia tuhanowicka. Z tego téż powodu właśnie w latach między rokiem 1816 a 1820 bywały w Tuhanowiczach często wesołe zjazdy, zabawy i polowania, tém bardziéj, że wielkie lasy w Płużynach dobrą do tego nastęrczały sposobność. Ale prócz tego, miały Tuhanowicze dla okolicznej młodzieży obywatelskiéj także inną, a niewątpliwie więcéj jeszcze przyciągającą ponętę. Była nią siostra młodych Wereszczaków Marya, późniéj tak wstawiona i zapewne nigdy niezapomniana Maryla. Któżby nie pragnął wiedziéć, jakim był ten ideał największego poety naszego, a przedewszystkiem czy była to piękność pierwszorzędna? Wielu biografów poety pisało już o tém rozmaite rzeczy, ale na wiarę największą zasługują zapewne tylko ci, którzy ją widzieli własnemi oczyma a nawet znali osobiście. Do takich zaś naocznych świadków należą przedewszystkiem Ignacy Domejko i Antoni Edward Odyniec. Pierwszy z tych, bliżki jéj krewny, bo nawet brat cioteczny, znał ją jeżeli nie lepiéj, to przynajmniej dawniéj niż Odyniec, który ją poznał dopiéro jako zamężną kobietę. Pomimo to, świadectwa ich zgadzają się ze sobą, ażeby zaś z tych portretów żadnego rysu nie urobić, przytaczamy je tu w dosłowném brzmieniu; oto co pisze Ignacy Domejko:

„Téjże saméj duszy i serca co jéj matka, miała Marya téż samą prostotę i słodycz w obejściu się, téż samą czułość, cierpliwość i politowanie dla biédnych, tylko łączyla do tego staranne nowsze wychowanie, znajomość muzyki, języków, jakotéż literatury ojczystéj, włoskiéj i francuzkiéj.

Nie była piękną w znaczeniu, jakie do tego wyrazu pospolici ludzie przywiązują: nie wysoka, okrągłéj twarzy, dużych błękitnych oczu i światlych włosów, miała szczególniejszy urok w ustach i spoj-

¹⁾ List do Bohdana Zaleskiego podany w „Przeglądzie lwowskim“ za rok 1873.

zeniu; to ostatnie okazywało w niej żywą imaginacją, pewien charakter duszy i głębokie uczucie. Jój piękność nie była w formie, ale w duchu; przywiódłaby téż zapewne do rozpaczyny najlepszego malarza, któryby chciał oddać to, co było w niej istotną pięknoscia. Całym téż niebem różniła się od owych sentymentalnych kobiet, co uczuciują (sic) z ksiązek i romansów, a popisują się jakimbądź, chociaźby udaném uniesieniem i liczą na efekt."

Do powyższego wizerunku winniśmy dodać to, co Odyniec mówi w swoich zajmujących „Wspomnieniach."

„Jako świadek naoczny powiadam, że nie znałem drugiej osoby, coby się tak kwalifikowała jak ona, na przedmiot poetycznego kochania, i to zwłaszcza ze strony poety-studenta i adepta „promionkowej“ teoryi miłości. Nie mogła ona nazwać się piękną we właściwém tego słowa znaczeniu; ale miała ten wdzięk i powab, który stanowi istotę i główny urok piękności. Kibić kształtna, wzrost średni, twarz pogodna i miła, oczy niebieskie, spojrzenie wyraziste i czułe, uśmiech naiwny i figlarny zarazem; wierny obraz umysłowego i uczuciowego nastroju jój ducha. Oczytana, egzaltowana, marząca więcej niż myśląca, nigdy ona nie wyszła sama w sobie na jasno z tęczowej mgły swj wyobraźni, ale sama ta mgła właśnie sprawiała, że téż dla oczu patrzących nie wydała się nigdy zwyczajną, pospolitą istotą i dosyć było spojrzeć przez pryzmat miłości, aby w niej dojrzyć niezemskie, Ossyanowsko-obłoczne zjawisko."

Taką więc była Marya według świadectw najlepszych, z któremi w zupełnej zgodzie są i własne słowa Mickiewicza („Do przyjaciół"):

Kto pragnie pędzlem swe rozślawić imię,
Niech jój maluje portrety;
Wieszcz w nieśmiertelnym niech opiewa rymie
Serca, rozumu zalety.

Niezaprzeczona téż była trudność jaką pokonać musiał malarz chcący dobrze uchwycić duchowy wyraz tego oblicza. Dowodem tego jest, zwłaszcza opowiadanie Niewiarowicza, który sam jako malarz podjął się miniaturę, będącą w posiadaniu Mickiewicza a niezadowolniająca go wcale, według wskazówek poety poprawić i uzupełnić. Mickiewicz miał być z tych poprawek dość zadowolony i być może, że portrecik ów, zapewne ten sam, o którym wspomina Gustaw w „Dziadach" da się kiedyś odszukać. Niewiarowicz zrobił sobie kopią owę miniatury, którą przechowuje jako drogocenną pamiątkę.

VIII.

W jaki sposób i kiedy zobaczył poeta poraz pierwszy Maryą? Oto pytanie, na które rozmaita znaleźć można odpowiedź u pisarzy, zajmujących się tym okresem życia naszego poety. Tak np. Ignacy

Domejko opowiada Bohdanowi Zaleskiemu, że Mickiewicz, przyjeżdżając jako student na wakacje do matki swojej, nieraz jeździł do Tuhanowicz, gdzie wesoło i przyjemnie czas przepędzał. Wierzymy temu najzupełniej, zwłaszcza, że z Zaosia i Nowogródka wcale niedaleko do Płuzyn i do Tuhanowicz. Pan Karol Estreicher w rozprawce swój o Putkammerze mówi znowu, że poznanie się z Maryą nastąpiło u Siemiradzkich, rodziców sławnego malarza. Najbardziej zaś szczegółowo, a do tego na podstawie opowiadania samego Mickiewicza, opisał tę chwilę Odyńiec w „Listach z podróży.” Sądzymy téż, że opowiadanie Odyńca pozostaje w zupełnej zgodzie z listem Domejki, a różni się tém tylko, że sam związek znajomości nawet co do czasu dokładnie określa.

Według Odyńca tedy, pośrednikiem w téj ważnej dla naszego poety sprawie miał być znowu ten sam człowiek, który, jak już dotąd widzieliśmy, tak wielką rolę odgrywa w tym okresie życia Mickiewicza, t. j. Tomasz Zan. Być może, że jako guwerner jednego z młodych Wereszczaków, lub tylko tytułem koleżeństwa, spędzał Zan już w roku 1817 wakacje w Tuhanowiczach. Wówczas poznawszy Maryą, zachwycał się niezwykłemi jej umysłu i serca przymiotami, które on, twórca „teorii promionkowej,” zapewne doskonale zdołał rozpoznać i ocenić. Jakoż już wtedy powziął on dla Maryi pełen uwielbienia szacunek i kolegom swoim wileńskim tak samo, jak później Odyńiec, przedstawiał ją jako ideał poetycznej miłości. Znał już tedy i Mickiewicz Maryą z opowiadania swego przyjaciela wprzód jeszcze, nim ją własnymi ujrzał oczyma. Cóż więc dziwnego, że pragnął przyśpieszenia téj chwili, w której miał ją poraz pierwszy zobaczyć. Nadarzyła się zaś do tego dobra sposobność, gdy na wakacje w r. 1818 wybierał się Zan znowu do Wereszczaków i tym razem zabrał ze sobą na kilka dni Adama, co tém naturalniejszą było rzeczą, że brat Maryi, Michał, był także i Mickiewicza dobrym znajomym, a nawet przyjacielem. Przyjechali tedy obaj do Tuhanowicz nad wieczorem w sobotę, a zatém właśnie w dzień Maryi Panny, co dla nich, pełnych mistycznej prawie religijności, może nie było bez jakiegoś dobrze wróżącego znaczenia. Chwila tego pierwszorazowego do Tuhanowicz przybycia zachowała się głęboko w pamięci poety i nie dziw, bo takie chwile nie zapominają się nigdy. Wówczas nawet, gdy po kilkunastu latach opisywał powrót Tadeusza do Soplicowa, miał niewątpliwie ową chwilę na myśli. Wjechali tedy młodzi podróżni w bramę, która:

Na wciąż otwarta przechodniom ogłasza,
 Że gościnną, i wszystkich w gościnę zaprasza.

I trzebaż było, że oto znowu, jak wówczas w Soplicowie, nie było państwa w domu.

Młodzież poszła do lasu bawić się strzelbami,
 A starzy i kobiety żniwo oglądają
 Pod lasem, i tam pewnie na młodzież czekają.

Zan korzystał z tego i zaprowadził przyjaciela do pokoiku, który zajmował przeszłych wakacyi. Ale i tym razem było prawie zupełnie tak, jak w Panu Tadeuszu:

Wchodzi, cofnął się, toczył zdumione źrenice
Po ścianach: w téj komnacie mieszkanie kobiece.

.....
Tuż i sukienka biała, świeżo z kołka zdjeta,
Do ubrania, na krzesła poręczu rozpięta.

Prócz tego na poręczach dwóch krzeseł leżała deska do prasowania, a na niej pełno chusteczek i kołnierzyków. W pokoiku nie było nikogo; ale domyślić się było łatwo, że służąca wyszła, aby tylko odmienić duszę żelazka. Widok ten sprawił dziwne wrażenie na podróżnych, a szczególnie na Adamie, który, jak później napół żartem Zan opowiadał, zakochał się już w owój na niedzielę przysposobionej sukience. Po chwili wyszli obaj młodzieńcy naprzeciw powracającego z przechadzki gospodarstwa i w połowie drogi spotkali się z niemi. Jakże zaś było to pierwsze spotkanie i jakiego doznał poeta wrażenia, nie potrzebujemy mówić, bo wszakże on sam je tak pięknie odmalował:

Ledwie cię zobaczył, jużem się zapłonił,
W nieznaném oku dawnéj znajomości pytał,
I z twych jagód wzajemny rumieniec wykwitał,
Jak z róży, której piersi zaranek odsłonił.

Wesoło i przyjemnie upływał tedy ów pierwszy w Tuhanowiczach wieczór. Pani marszałkowa, pełna słodyczy i uprzejmości, rada była przybyłym gościom, zarówno jak pp. Michał i Józef, którzy ucieszyli się przyjazdem rówieśników. Jednak do uprzyjemnienia wieczoru może najbardziej przyczynił się śpiew Maryi, o której muzykalnym talentcie wiemy już z opowiadania Domejki i Odyńca. Mickiewicz, wielki zawsze miłośnik muzyki, tym razem jeszcze większego doznał wrażenia:

Ledwieś piosnkę zaczęła, jużem łzy uronił,
Twój głos wnikał do serca i za duszę chwycił;
Zdało się, że ją anioł po imieniu witał,
I w zegar niebios chwilę zbawienia zadzwonił.

Silne było zatem wrażenie, jakiego od pierwszej chwili doznał poeta. A jednak i on, jak wszyscy, którzy widzieli Maryą, poznał w niej co innego, niż piękność w zwyczajném znaczeniu, bo zgodnie z prawdą rzeczywistą mówi ksiądz w IV części Dziadów:

...piękność, za którą twój rozum się błąka,
Nic z saméj tylko powabna urody,

bo na większe uwielbienie zasługiwało co innego, t. j.:

Myślenia i uczucia niebiańskięj istoty;
Zbrodniarz ją kochający wróciłby do cnoty!

Marya (według Domejki) była wówczas tegoż samego, co Adam, wieku, a co najwięcej, o rok od niego młodsza. Była zatem już panną na wydaniu, kiedy poeta nasz jeszcze uniwersytetu nie ukończył. Jakież tedy nadzieje mógł mieć młodzieniec marzący i zakochany. Wprawdzie matka Maryi i jęj bracia lubili go bardzo, a jak powiada brat ich cioteczny, Domejko, nawet miłość Maryi ku niemu nie była tajną. Ona bowiem przeczuła w nim wielki talent i większą jeszcze przepowiadała mu sławę. Gdy Adam znajdował się w towarzystwie, zdawała się tylko w niego wpatrywać i chciwie chwytac każde jego słowo. Razu nawet pewnego, gdy grała z nim w szachy, dolatywały ją z boku żartobliwe uwagi, pochodzące zapewne z ust zazdrośników, że Adam jest owym szczęśliwym, w którego się ona nieustannie wpatruje.

— A tak jest rzeczywiście—zawołała zwracając się do niego—pocóż mamy prawdę przykrywać szachami? Nie zmieniaj pan miejsca, abym mogła się lepiej i ciągle panu przypatrywać.

Tak opowiada Niewiarowicz, który spisał wspomnienia swe na podstawie zwierzeń samego Mickiewicza. Nie mamy zaś powodu opowiadaniu temu nie wierzyć, témbardziej, że sam poeta o owych rozrywkach szachowych wspomina w wierszu: „Warcaby,“ gdzie naturalnie skromność nie pozwalała schlebiać samemu sobie. Dlatego też napisał wtedy:

Nie dziw, zem toczył zawsze mniej szczęśliwo boje:
Tys patrzyła w warcaby, ja w oblicze twoje.

Zatem po jednęj i po drugięj stronie rozwinęło się uczucie takie, którego nie można określić inaczej, jak tylko wyrazem miłości. Ale pomimo to nie było w wyrokach Opatrzności, aby miłość ta, chociaż tak silna i gorąca, wiekuistym uwieńczyła się ślubem. Poeta kochał się zapamiętale, ale nigdy podobno, a przynajmniej w owych latach, gdy Marya panną była, nie wyznał jęj tego uczucia otwarcie, chociaż zdradzał się z nięm mimo swęj woli aż nadto często. Gdyby inaczej było, nie byby sam napisał:

O ty! dla której wiecznie tajne me zapaly,
Ktoręj imię pomyśléó staje się zaśmiały!

.
Ból w sercu, w licach bladeó, ogień miałem w oku,
Alem się nadaremny nie zdradził zapalęm,
Westchnienia zatłumiłem, słówka polykałem:
Bo los wynosząc ciebie między jasno rody,
Z samą nadzieją wiecznie przykazał rozwody!

IX.

Kto inny zatem miał zostać mężem Maryi, czyli, jak ją poeta nazywał, Maryli. Tym szczęśliwym był hr. Wawrzyniec Puttkamer, z którym, jak zapewnia Odyniec, zaręczoną była ona wprzódki jeszcze, nim poznała Mickiewicza.

Wolelibyśmy wprawdzie dla dobra obojga, żeby tak nie było; ale nie mamy powodu powątpiewać o tém, co mówi przyjaciel wielkiego poety, jakkolwiek nawet list ciotecznego brata Maryli mógłby poniekać być do tego pobudką. Oto bowiem co pisze Domejko:

„Oceń natenczas dobrze, kim był Adam, Marya tylko mogła; kim on był w przyszłości, ona tylko w swém sercu przeczuła. Ludzie mówili: Pan Adam przystojny, z dobrej rodziny, dobrze wychowany, grzeczny, dowcipny i coś ma w istocie szczególnego w sobie, co go odróżnia od naszej młodzieży i co mu bardzo do twarzy; widać zaraz, że akademik, uczony, wyjdzie pewnie na znakomitego człowieka; ale cóż z tego, że się kochają? czyż dlatego już się mają żenić? na tysiąc młodzieży w akademii wileńskiej najmniej 500 chodzi zakochanych, a czyż który pomyśli o żonie? Tak ludzie mówili. A tymczasem panna codzień smutniejsza. Przyjeżdżali konkurenci i jak przystało na uczciwość domu, hojnie ich przyjmowano. Między nimi ukazał się młody, wysoki, wesoły hrabia Puttkamer, którego ojciec miał dobra w Lidzkiem, na pograniczu gubernii wileńskiej, a jego bliscy krewni, dość zamożni, żyli w sąsiedztwie i w wielkiej przyjaźni z rodziną Wereszczaków.”

Dzięki wizerunkom, skreślonym przez takich wiarogodnych pisarzy, jak Michał Baliński, Ignacy Domejko, Edward Odyniec, a w końcu nawet osobnej, wyłącznie o nim przez p. Karola Estreichera napisanej rozprawie, wiemy dziś już dokładnie, kto był p. Wawrzyniec Puttkamer. Urodzony w r. 1794, zatem o nie całe cztery lata starszy od Mickiewicza, potomek pochodzącej zapewne z Prus, ale od XVIII-go wieku już na Litwie zamieszkałej rodziny, był p. Wawrzyniec według zapewnienia Michała Balińskiego nader miłym i pełnym zalet człowiekiem.

„Niegdyś wojak i piękny ułan (są słowa Balińskiego), uczestniczył w szeregach wojska narodowego, w bitwach pod Lützen i Bautzen. Był to zupełnie inny człowiek od tego, jakim go opisują, za jakiego mieć go chcą biografowie Mickiewicza. Żaden arystokrata, nietylko zaś nie bogaty, ale bardzo niedostatni; odziedziczywszy ojcowiznę odłożoną i zniszczoną, utrzymywał się rzadką czynnością i przemysłem z założonych zakładów fabrycznych. Lecz obok tego niepospolity ten obywatel posiadał przymioty serca i umysłu tak wielkie, że nietylko w Litwie, ale i w całym świecie rzadko się z takimi spotkać można. Pracowity, oświecony, miłośnik ludu wiejskiego i dlatego też kochany i uwielbiany od swoich włościan, których poddaństwem się brzydził i których rzadkie przywiązanie do panów synowi, jako najmilszą spu-

ściznę zostawił; przyjaciel wierny i poświęcony dla tych, których kochał z zapomnieniem nawet o sobie; przytém wesoły pomimo ciągłej walki z potrzebami życia i chleba powszedniego, bardzo dowcipny, istny skarbiec chodzący anegdot i przygód pociesznych, lubiący w chwilach swobodnych książki i polowanie. Takim to był nasz sąsiad ukochany przez nas... I nie jest to żaden panegiryk, ani przesadzony jego wizerunek, ale najsumienniejsza prawda.“

Podobnie i według Odyńca był Puttkamer w owych latach nie tylko z powierzchownej urody i wewnętrznego nastroju ducha, ale i z całego przebiegu życia „najpoetyczniejszym typem naszego obywatelskiego młodzieńca.“

Z tego, co się o jego powierzchowności dowiadujemy, wolno nam się domyślać, że następujące wiersze w Panu Tadeuszu są może właśnie jego portretem:

W istocie był to piękny pan, słusznój urody,
Twarz miał pociągłą, blade, lecz świeże jagody,
Oczy modre, łagodne, włos długi, białywy.

I w rzeczy samej opisuje go Odyniec (we Wspomnieniach) jako dorodnego, pięknego młodzieńca: „z włosem koloru blond, wijącym się w pierścienie.“

Był tedy pan Wawrzyniec bardzo przystojnym młodzieńcem, a nadto jako żołnierz z niedawnych wojen napoleońskich, miał urok rycerza i bohatera, który w imię idei pięknej gotów był poświęcić swoje życie. Dodajmy do tego wielce miłe, pełne światowej elegancji usposobienie i przyjemny humor, tysiące zabawnych anegdot mający na swoje rozkazy, a będziemy mieli wizerunek człowieka, który mógł się podobać każdemu. Jakoż istotnie wszyscy, którzy go bliżej znali, podobnie jak Baliński, nie znajdują dość słów na jego wychwalenie. Ale pan Puttkamer, uczestnik wielkich wypadków ówczesnych, które dziś jakby jaki poemat przedstawiają się oczom naszym, nie tylko był miłośnikiem poezji, ale nawet sam sił swoich na tém polu doświadczał. To téż gdy w r. 1817, za zezwoleniem cesarza Aleksandra I, obchodzono i na Litwie po różnych miastach i miasteczkach żałobne uroczystości z powodu zgonu Tadeusza Kościuszki, wówczas obchodem takim w Nowogródku zajmował się właśnie Puttkamer, gdzie téż odczytał po mowie marszałka Wojniłowicza, według słów społecznego sprawozdawcy: „elegię czułą, przez siebie napisaną, młody kawaler Puttkamer, którego rozwijające się zdolności w tak ważnym przedmiocie okazały się z całą mocą czułego serca i pięknych wyrazów“¹⁾.

Do wymienionych już wyżej zalet wypada jeszcze dodać tytuł hrabiowski, niewątpliwie szanowny, chociaż przez Puttkamera podobno mało ceniony, przytém wówczas jeszcze i znacznieszą, niż w później-

¹⁾ Zbiór mów w różnych miejscach mianych. Wilno, 1818.—Rozprawa Karola Estreichera p. t.: „Wawrzyniec Puttkamer,” we Lwowie, 1880.

szych czasach, fortunę, t. j. wydzielony mu w Nowogrodzkiem Unichów, co wszystko razem zebrane, skłonić mogło matkę i braci Maryli do przechylenia szali na stronę takiego konkurenta.

Sama zaś Marya, przynajmniej jak jej brat cioteczny, Domejko, opowiada, zimną była dla niego; ale zakochany pretendent tkómaczył to sobie jako skutek naturalnej jej skromności. Nie obeszło się oczywiście i bez roztropnych rad matki, i bez „dobitniejszych uwag“ braci, których panna spokojnie i z cierpliwością słuchała.

Czy więc, według Domejki, dopiero po upływie jakiegoś czasu z Puttkamerem nastąpiły zaręczyny, czyli, jak pisze Odynec, stało się to jeszcze nawet przed pierwszą wizytą Adama, dość, że panna Marya była odtąd smutną i zamyśloną i może już wówczas nuciła sobie nieraz tę ruską piosenkę, którą i później często lubiła śpiewać:

Nie dan mnie Boh,
Nie dan mnie Boh,
Kaho ja chaciała!...

(Dok. nast.).

CZTEROLECIE RZĄDÓW Hr. TAAFFEGO.

(„Die Reichsrathswahlen vom Jahre 1879 in Oesterreich“ von Dr. F. X. von Neumann-Spallart, k. k. Regierungsraths u. Professor. Stuttgart, 1880. „Das System Taaffe.“ Wien, 1882. „Das Schwinden des Deutschthums in Oesterreich“ von Dr. Ledersteger,“ Leipzig, 1882. „Beiträge zur prager Universitätsfrage“ von prof. J. Kvičala, Prag, 1881. „Die chronische Finanznoth in Oesterreich“ v. G. v. Pacher. „Stenograph. Protocoll, Hauss d. Abgeordn. IX Session,“ 1879—1883. „Bericht des Sprachenausschusses, Wiedeń 1883).

W ostatnim okresie nadzwyczaj długich, jak na stosunki austriackie, rządów księcia Adolfa Auersperga (od listop. r. 1871 do lutego r. 1879), parlamentaryzmowi w Austrii zagrażało jedno z największych niebezpieczeństw: powszechne zubożenie. Dwuletnie rozprawy nad odnowieniem handlowej ugody z królestwem węgierskiem, niemięj znużyły posłów, jak publiczność. Nierozsądne zachowanie się większości centralistycznej wobec poruszanej w r. 1875 kwestyi wschodniej, gdy jedni z przywódców centralistycznych, jak dr. Herbst, Demel i t. d., żądali bezwzględnej neutralności i nieczynności, inni jak dr. Kuranda czynnego poparcia Turcyi, inni znowu, jak dr. Giskra zabrania półwyspu bałkańskiego aż do morza Egejskiego, zraziło wszystkich i zaledwo rozprawy nad traktatem berlińskim, dzięki pierwszej świetnej mowie posła Ottona Hausnera (5 listop. r. 1878), zdołały obudzić żywszy interes. Powszechnie jednak przeczuwano, że z upływem 6-letniej kadencji wybranej w r. 1873 izby poselskiej, skończy się dawna pierwszorzędna rola lewicy centralistycznej, która nie umiała skorzystać w sposób praktyczny, roztropny i szlachetny z ogromnej większości, jaką przy zrzeczeniu pomocy ministra spraw wewnętrznych, barona Lassera, była uzyskała w pierwszych tak zwanych bezpośrednich wyborach.

Od chwili, kiedy hr. Edward Taaffe objął urząd ministra spraw wewnętrznych (18 lutego 1879 r.) w opinii publicznej w Austrii zaszła stanowcza zmiana. Zubożenie, apatya, wstręt do spraw parlamentarnych znikły, nastąpiła walka w parlamencie, w prasie, w stowarzyszeniach, ta walka, będąca objawem i niezbędnym warunkiem zdrowego

życia konstytucyjnego i budząca powszechny interes nie tylko w Austrii samej, lecz także poza granicami monarchii habsbursko-lotaryńskiej. Dowodu tego nadzwyczajnego zajęcia, jakie wywołał system, albo jak się wyraża złośliwie opozycja, „eksperyment” hr. Taaffego, dostarcza wzmagająca się liczba broszur i studyów, poświęconych tej kwestyi. Z mnóstwa odnośnych publikacji wybraliśmy kilka, które nam dostarczą sposobności do rozważania trzech głównych stron tej kwestyi: najprzód przyczyn, które spowodowały gabinet hr. Taaffego, ustawy wyborczej, na mocy której powstała przychylna temu gabinetowi większość autonomistyczna, tudzież częściowej reformy tej ustawy; powtórę losu, jakiego doznały w parlamencie zabiegi hr. Taaffego, zmierzające do utworzenia, względnie utrzymania gabinetu koalicyjnego; nakoniec sporów językowych, czyli ściślej mówiąc, walki o przewagę języka niemieckiego z jednej, a o równouprawnienie języków z drugiej strony.

I.

Jedną z przyczyn, choć nie jedyną, które spowodowały zamianowanie hr. Taaffego ministrem, był opór głównej części dawniejszej większości centralistycznej przeciwko okupacji Bośni i Hercegowiny a właściwie przeciwko wszelkiej samodzielnej i czynnej polityce zewnętrznej. W wymienionej w tytule broszurze, należący do tej frakcyi poseł Pacher tak tę kwestyą wyjaśnia: „Od czterech lat pokonanemu stronnictwu niemieckiemu w Austrii śpiewają taką piosnkę: Postanowienie, zająć i trwale z mieczem w rękę utrzymać pod władzą domu habsburskiego Bośni, Hercegowiny i przyległych krajów (?), stoi tak silnie, jak gwiazdy na niebie; tego Wy, kochani panowie z stronnictwa wiernokonstytucyjnego, waszym krnąbrnym oporem tak samo nie zmienicie, jak go nie zmieni żadne inne stronnictwo w Austrii i Węgrzech, ani żaden inny mąż stanu, któryby mógł być powołany do kierowania polityką zagraniczną monarchii. Pocóż więc ta nieużyteczna, dziecinna walka przeciwko woli, przed którą wasza wola upada, jak się rozprysnie garść słomy, rzuconej o skałę? Na co układać szumne programy i naiwne umowy i z każdym dniem więcej tracić na powadze i znaczeniu w walce z czynem dokonany, którego zmienić nie jest w waszej mocy? Przypatrzcie się, kochani panowie, z dawniejszej liberalnej większości rady państwa, przypatrzcie się dojrzałym i tyle od was wyższym Węgrom! Ini wszystkim, a może najwięcej hr. Andrassemu, polityka okupacyjna była więcej kością w gardle, aniżeli wam, jednakże pojęli odrazu sytuacyę. Postawieni pomiędzy wyborem: okupacja z nami, okupacja bez nas;—wybrali pierwsze i pozostali stronnictwem panującym w Węgrzech. Pomiarkujcie się więc, wy liberałowie austriaccy, pożegnajcie się z utrudnym ideałem uporządkowania skarbowości; trzecia czy czwarta część waszego obozu i tak was opuściła w chwili rozstrzygającej (przy głosowaniu nad ustawą wojskową na lat 10); powiedzcie, żeście się namyślili; wicie wieńce owęj wielkodusznej, dalekowiedzą-

cój, godnej wielkiego mocarstwa polityce wschodniej, przeciwko której dotąd walczyliście z kramarskiej jednostronności, z nierycerskich względów na budżet, na podatki i na przyszłość skarbową. Bądźcie praktycznymi, praktycznymi, praktycznymi!... Aby odpowiedzieć na takie głosy, nie ze stanowiska facyjnej, to znaczy zaślepionej względami stronnictwami opozycji, lecz ze stanowiska gorącego i wiernego patriotyzmu, równie dalekiego od uległości dworaczów, jako też od parlamentarnego frymarstwa, ogłaszam niniejsze dziełko!" Następnie autor przedstawia finansowe położenie monarchii w najciemniejszych barwach, aby ztąd wyprowadzić wniosek, że monarchia austriacko-węgierska nie może i nie powinna kusić się o politykę czynną zagraniczną.

Na takich względach opierał się improwizowany przeciwko traktatowi berlińskiemu adres lewicy w listopadzie r. 1878. Wówczas mówcom lewicy, pomiędzy którymi odznaczył się werwą tenże poseł Pacher, odpowiedział marszałek koła polskiego dr. Kazimierz Grocholski: „Nie przeczę, że i ten czysto finansowy względ, zwłaszcza w naszych stosunkach jest uprawniony. Niepodobna jednak sądzić polityki zagranicznej wyłącznie z tego stanowiska. Każda czynność wojenna naraża państwa na ofiary pieniężne. Ale z złem tém trzeba się pogodzić, skoro nie chcemy skazać państwa na abdykację i na niewolnicze poddanie się wszelkim centralnościom ¹⁾." Były zaś prezes gabinetu federalistycznego z r. 1871 a marszałek klubu „prawego środka“ hr. Karol Hohenwart dodał: „Zawsze zalecaliśmy oszczędność, a gdybyście panowie byli rad naszych słuchali, byłibyśmy oszczędzili sporo milionów; ale, oszczędność gdy naraża na szwank najważniejsze interesa państwa, nie jest na swém miejscu, a sądzę, że owo stronnictwo, które tak ochoczo uchwalało miliony na wyposażenie zbankrutowanych spółek kolejowych a nawet upadających firm kupieckich (po „krachu“ r. 1873), najmniej powołane do kazań o potrzebie oszczędności, gdy chodzi o utrzymanie starożytnego świetnego domu austriackiego i jego firmy wielkiego mocarstwa... Gdyby finanse nasze znajdowały się rzeczywiście w tak opłakanym stanie, czemu stanowczo zaprzeczam, wtedy nie zawiniła tego okupacja Bośni i Hercegowiny, lecz zawinił nieład lat ostatnich. I wtedy musiałbym przedewszystkiem zapytać: cóż więc działał nasz wydział budżetowy? Od sześciu lat zasiadają w nim prawie wyłącznie posłowie lewicy, czyż ci panowie jedni w całej Europie nie mieli najmniejszego przecucia, że mogą nadejść czasy, a nawet są bardzo bliskie, w których Austria będzie zmuszona użyć swęj potęgi na zewnątrz, i że należało zawczasu na to się przygotować? Wzywam tych panów, aby dziś usprawiedliwili się, że szafując dawniej hojnie milionami, nie zaniechali przygotować zapasów na złe czasy i że Austria posiada dostateczne siły, aby każdemu, któryby śmiał ją wyzwać, do walki, odpowiedzieć: „Guai a chi la tocca ²⁾!“

¹⁾ „Stenographisches Protocoll“, 8 Session, str. 13,033

²⁾ Ibidem.

Powtarzamy jednak, opór głównego obozu centralistów przeciwko okupacyi, choć jeden z tych panów, poseł Demel, posunął się aż do oświadczenia, że monarchia austryacko-węgierska nie jest wielkiem mocarstwem, lecz związkiem dwóch państw średnich, nie stanowił jedyne go powodu upadku tego stronnictwa. Ostatecznie bowiem można było przeciwko okupacyi przytoczyć inne jeszcze ważne, moralne, nie zaczerpnięte wyłącznie z względów skarbowych argumenta, które np. przytoczył wówczas poseł Otton Hausner. Tymczasem także na polu polityki wewnętrznej ówczesna większość centralistyczna popełniła szereg błędów, niebezpieczniejszych od improwizowanój, a zresztą bezskutecznej i nieszkodliwej demonstracyi przeciwko okupacyi. Odnowienie handlowej ugody z Węgrami, które miało przyjść do skutku w r. 1877 po nieskończonych i jęczących rozprawach nastąpiło dopiero pod koniec r. 1878 i to tylko za pomocą głosów polskich, a zatem opozycyi. Nieustanne spory pomiędzy większością a rządem doprowadziły do tego, że minister spraw wewnętrznych baron Lasser nazwał ławę ministrów „ławą męki“ (marterbank), minister zaś mówca dr. Unger raz po raz przypominał, że tuż obok kapitolu stała skała tarpejska. Nakoniec systematyczne zamachy na prawa i konstytucyjne swobody innych narodów monarchii, ponawiane coraz częściej w miarę, jak się rozprzęgąta większość i pogarszał się jój stosunek do rządu, zmianę systemu czyniły konieczną. „Jednej rzeczy, oświadczył hr. Hohenwart w wymienionój już mowie z 4 listopada r. 1878, koniecznie nam trzeba: musi ustać zazdrość i zawiść pomiędzy ludami monarchii. Zamiast trwonić siły w walce przeciwko sobie, podajmy sobie dłoń, pracujmy wspólnie nad jednym wielkim celem, wystawmy złoty most dla tych, którzy stronią dotąd od parlamentu (Czesi), wtedy panowie będziemy pewni, że nas patriotyzm całej ludności silnie wesprze do najcięższych ofiar.“

Oto powody, które zmianę rządu czyniły konieczną. Dnia 18 lutego książe Auersperg i dr. Unger otrzymali zażądaną już po raz trzeci dymisyą, prezesem gabinetu został dotychczasowy minister oświaty dr. Stremayr, inni ministrowie pozostali na swych urządach, ale zamianowanie hr. Taaffego ministrem spraw wewnętrznych, rekonstrukcyi gabinetu nadawało wyraźne znamię prowizoryum, o którego dalszych losach miały rozstrzygnąć powszechne wybory.

Osobistość hr. Edwarda Taaffego ze wszech miar odpowiadała sytuacji. Urodzony 24 lutego r. 1833 w Pradze z rodziny pochodzenia irlandzkiego, jak hr. Clam-Martinić i hr. Coronini, był on jednym z towarzyszy młodocianych ówczesnego arcyksięcia a późniejszego cesarza Franciszka Józefa i umiał sobie zachować osobistą przyjaźń monarchy. W państwie nietylko konstytucyjnym, lecz także parlamentarnym (aby przypomnieć dystynkcyą księcia Bismarcka), w państwie więc, w którym ministeryum wychodzi wyłącznie z łona większości parlamentarnej, osobista przyjaźń monarchy nie stanowi warunku, aby otrzymać tekę ministra. Ilużto po prostu wstępnym sobie ministrów byli zmuszeni zamianować królowie anglicy z dynastyi hanowerskiej! Bądź

jak bądź, zaufanie monarchy nigdy i nigdzie nie szkodzi ministrowi. Powtóre, hr. Taaffe rodzinnymi związkami i przekonaniem politycznym był dostatecznie zbliżony do kół madziarskich, aby jako minister nie obudzać podejrzeń w Peszcie, to też hr. Andrassy chętnie przystał na tę nominację. W chwili, kiedy hr. Taaffe wstępował do odnowionego gabinetu centralistycznego, w radzie państwa istniała jeszcze, przynajmniej pozornie, większość centralistyczna. Większość taka byłaby przyjęła z oburzeniem i z różnymi demonstracjami nominację wybitnych federalistów, jak hr. Hohenwart lub hr. Belcredi, nie miała zaś powodu ani pretekstu wystąpić odrazu przeciwko hr. Taaffemu, który w tak zwanym „Burgerministerium“ (od r. 1867) był ministrem obrony krajowej, a nawet po ustąpieniu księcia Karola Auersperga szefem gabinetu. Nakoniec opozycja ówczesna, autonomiści witali hr. Taaffego z zaufaniem, bo to on wespół z hr. Alfredem Potockim i d-r'em Bergerem (ministrem mówcą, Sprechminister) był podpisał pod koniec roku 1869 memoriał, domagający się ugody z autonomistami a następnie był ministrem spraw wewnętrznych w ugodowym gabinecie hr. Alfreda Potockiego (1870). Dodajmy formy pojednawcze i pozory serdeczności, nawet jowialności, które nie wykluczają myśli poważnej u hr. Taaffego, ale którymi szczęśliwie się różni od chłodnej sztywności hr. Hohenwarta, od husarsko-gburowatego tonu księcia Adolfa Auersperga, od patosu krasomówczego d-ra Herbsta i t. d., a którymi nawet śród najzawziętszej walki umie żartobliwem słowem rozbroić przeciwników: a pojmiemy, jak szczęśliwym był wybór monarchy, gdy hr. Taaffe powołał do steru rządu.

Chodziło o to, aby ugodowemu programowi hrabiego Taaffego przygotować odpowiedni grunt parlamentarny. Dnia 17 maja roku 1879 cesarz zamknął sześcioletnią kadencją rady państwa, dnia 22 maja pojawiły się patenta, dotyczące wyborów powszechnych. Niema dziś w żadnym innym państwie konstytucyjnym ustawy wyborczej równie sztucznej i skomplikowanej, jak austriacka, opartej na wyborczych ordynacjach krajowych, narzuconych przez Schmerlinga w roku 1861, zastosowanych zaś bezpośrednio do wyboru posłów do rady państwa tak zwaną reformą z r. 1873 („bezpośrednie wybory“). Posługując się nadzwyczaj sumienną pracą prof. Neumanna („die Reichsrathswahlen“), załączamy przedewszystkiem tabelę, wyjaśniającą dokładnie główne zasady ustawy wyborczej, na mocy której odbyły się powszechne wybory w lecie r. 1879:

K r a j	a) Wielcy właściciele			b) Izby handlowe i przemysł.		
	liczba wyborców	liczba posłów	1 poseł przypada na wybor.	liczba wyborców	liczba posłów	1 poseł przypada na wybor.
Niższa Austrya	190	8	24	46	2	23
Wyższa Austr.	126	3	42	30	1	30
Salzburg.....	143	1	143	—	—	—
Styrya.....	160	4	40	50	2	25
Karyntya.....	92	1	92	26	1	26
Kraina.....	112	2	56	—	—	—
Tryest.....	—	—	—	33	1	33
Gorycyja.....	315	1	315	—	—	—
Istrya.....	112	1	112	—	—	—
Tyrol.....	232	5	46	—	—	—
Voralberg....	—	—	—	—	—	—
Czechy.....	448	23	19	168	7	24
Morawia.....	167	9	18	72	3	24
Szląsk.....	54	3	18	—	—	—
Galicja.....	1932	20	96	74	3	24
Bukowina.....	133	3	44	16	1	16
Dalmacya....	552	1	552	—	—	—
	4768	85	50	515	21	24

K r a j	M i a s t a			G m i n y w i e j s k i e		
	lu- dność	liczba posłów	1 poseł przypada na mieszk.	lu- dność	liczba posłów	1 poseł przypada na mieszk.
Niższa Austrya	758,807	17	44,636	1,195,208	10	119,521
Wyższa Austr.	186,514	6	31,085	544,909	7	77,844
Salzburg.....	48,630	2	24,315	102,637	2	51,319
Styrya.....	239,030	8	29,878	892,069	9	99,119
Karyntya.....	73,814	3	24,605	262,468	4	65,617
Kraina.....	60,697	3	20,232	402,464	5	80,493
Tryest.....	123,065	3	41,033	—	—	—
Gorycyja.....	36,854	1	36,854	166,907	2	83,454
Istrya.....	80,044	1	80,044	174,749	2	87,375
Tyrol.....	138,022	5	27,604	638,029	8	79,753
Voralberg....	17,528	1	17,528	85,096	2	42,548
Czechy.....	1,088,447	32	34,014	4,017,006	30	133,900
Morawia.....	438,101	13	33,700	1,592,109	11	144,737
Szląsk.....	107,584	4	26,896	371,391	3	123,797
Galicja.....	384,128	13	29,548	5,031,882	27	186,366
Bukowina.....	56,827	2	28,414	454,988	3	151,662
Dalmacya....	42,526	2	21,263	399,718	6	66,619
	3,880,618	116	33,454	16,331,630	131	124,669

Trzeba nam dołączyć jeszcze drugą tabelę, wyjaśniającą stosunek posłów do ludności pojedynczych prowincyi:

K r a j	liczba posłów	ludność	1 poseł przypada na dusz
1. Salzburg.	5	154,986	30,997
2. Voralberg....	3	103,920	34,640
3. Tryest.	4	140,117	36,529
4. Karyntya....	9	339,366	37,707
5. Górna Austria.	17	750,301	44,135
6. Tyrol.....	18	796,577	44,254
7. Kraina.....	10	471,936	47,194
8. Styrya.....	23	1,191,782	51,816
9. Dalmacya....	9	474,854	52,761
10. Gorycya.....	4	219,215	54,803
11. Szląsk.....	10	572,281	57,228
12. Morawia....	36	2,103,847	58,440
13. Czechy.....	92	5,436,814	59,095
14. Niższa Austria	37	2,201,428	59,498
15. Bukowina....	9	559,434	62,159
16. Istrya.....	4	275,793	68,948
17. Galicya.....	63	6,177,998	98,063
	353	21,970,649	62,239

Spojrzawszy na te tabele, wystarcza, aby pojąć, że pod względem sztuczności austriacka ustawa wyborcza stanowi dziś konstytucyjne unicum. W Anglii według starożytnego prawa, przed reformą r. 1829, 75 zapadłych zaścianków (rotten borough), z których żaden nie liczył 50 mieszkańców, wysyłało do parlamentu przeszło 100 posłów. W dwóch takich zaściankach Old Sarum (z którego sławny William Pitt starszy wszedł do parlamentu) i Gathonie, od dawna sterczały już tylko gołe ściany dwóch domów, naprawiane od czasu do czasu, aby utrzymać przywilej wyborczy, gdy tymczasem wielkie, ale nowe miasta, jak Sheffield, Birmingham, Manchester nie posiadały wcale prawa wyborczego. Trzeba myślał sięgnąć aż w te czasy angielskie, aby znaleźć analogią do sztuczności naszej ustawy wyborczej. I tak w gminach wiejskich przecięciowo przypada 1 poseł na 124,669 mieszkańców, w izbach handlowych zaś na 24 wyborców. Największy okręg wyborczy gmin wiejskich: stanisławowski, liczy 254,656 mieszkańców, gdy izba handlowa czerńowiecka, licząca 16 członków, wybiera także posła; 4,768 wielkich właścicieli wysyła do izby poselskiej 85 reprezentantów, 16,331,630 ludności wiejskiej wysyła ich 131. W przecięciu w Austrii na 62,239 mieszkańców przypada poseł (w Norwegii przypada poseł już na 16,386 mieszkańców, w Belgii na 40,932, w Anglii na 51,517, we Francyi na 70,163, w cesarstwie niemieckim na 107,625); w praktyce jednak rzeczy mają się inaczej. I tak w niemieckim Salzburgu przypada poseł już na 30,997 mieszkańców, w Galicyi dopiero na 98,063. Czechy z ludnością 5,436,814 mają w izbie poselskiej 92 reprezentantów, Galicya

z ludnością 6,177,998 tylko 63, a powinna mieć ich przeszło 100 i t. d. Z licznych anomalii, które szpecą ustawę wyborczą austryacką, jedna głównie przy wyborach w r. 1879 zaprzętała powszechną uwagę, a według twierdzenia opozycji centralistycznej stała się tym punktem archimedesowym, o który hr. Taaffe oparł swój system, ostatecznie zaś uległa reformie, uchwalonej przez radę państwa: mówimy o grupie wielkich właścicieli czeskich.

Twórca krajowych ustaw wyborczych, na których opiera się ustawa z roku 1873, pan Schmerling był przekonany, że we wszystkich grupach wielkich właścicieli, wyjąwszy Galicyą, żywioł niemiecki zawsze będzie przeważał. Wiedział doskonale, że w grupie blisko 2,000 wielkich właścicieli galicyjskich, gdyby głosowała w jedném gronie, czyli według systemu scrutin de liste, nigdy tam nie przejdzie kandydat niemiecki. Podzielił więc tę grupę na kilkanaście okręgów wyborczych, przypuszczając, że choć w jednym okręgu z czasem przejdzie kandydat niemiecki. Do izby poselskiej wielcy właściciele galicyjscy wybierają obecnie w 10 okręgach terytoryalnych po 2-ch postów, w innych zaś prowincjach tworzą wszędzie jedną tylko grupę wyborczą. I tak 448 wielkich właścicieli czeskich tworzyło jedno ciało wyborcze, które mianowało 23 reprezentantów do izby poselskiej. Większość 225 wyborców rozporządzała wszystkimi mandatami poselskimi, mniejszość, choćby jej niedostawało tylko 2-ch głosów do większości, bywała pozabawioną wszelkiej reprezentacji parlamentarnej. Śród wielkich właścicieli Czech (i innych prowincyi) żywioł niemiecki miał w r. 1861 i ma dziś jeszcze przewagę. Wprawdzie obecnie w tej grupie przeważa stronnictwo konserwatywne hrabiego Clam-Martinitica; lecz gdyby jednak kwestyą postawiono tu tak: Czech czy Niemiec? natenczas w grupie wielkich właścicieli królestwa czeskiego, Czesi stanowią szczupłą mniejszość. System więc wyboru z jedynéj grupy zapewniał niemcom kilkadziesiąt mandatów.

W r. 1879 nie chodziło jedynie o kwestyą, czy te 23 mandatów, któremi rozporządza grupa wielkich właścicieli czeskich, przypadnie centralistom czy konserwatystom? lecz nadto od wyniku wyborów w tej grupie zależało wstąpienie posłów czeskich do rady państwa? Gdyby bowiem hr. Clam-Martinitic, ksiązę Schwarzenberg i t. d. nie byli uzyskali mandatu poselskiego w grupie, o której mowa, byłiby niezawodnie użyli swego wielkiego wpływu, aby powstrzymać czeskich posłów z miast i gmin wiejskich od wstąpienia do izby poselskiej, jak im się to udało w r. 1870 za rządów hrabiego Potockiego i w r. 1871 za rządów hrabiego Hohenwarta. Tymczasem zwłaszcza od r. 1872 („Chabrus“) centralistyczna frakcja księcia Karola Auersperga posiadała znaczną większość w owéj grupie. Otóż hr. Taaffe złożył dowód niepospolitéj zręczności, gdy skłonił księcia Auersperga do zawarcia kompromisu, na mocy którego grupa ta miała wybrać i wybrała téż jednomyślnie 13-tu centralistów i 10-ciu konserwatystów czyli autonomistów. Warunek kompromisu po stronie konserwatystów stanowiło przyrzeczenie wstą-

pienia do izby poselskiej, ewentualnie złożenia mandatów, gdyby się nie zdecydowali, obesać radę państwa. Ze zaś z początku nowa większość prawicy liczyła tylko około 10 głosów, przeto niepoprawni i niezdolni poznać swych licznych popełnionych błędów, centraliści dotąd twierdzą, że jedynie „marnotrawstwo“ księcia Auersperga, który niebaczenie 10 mandatów „darował“ autonomistom, tudzież przebiegłość hr. Taaffe-go, który umiał ks. Anersperga wyprowadzić w pole, zawiniły tak fatalny dla nich przewrót stosunków parlamentarnych.

Ogólny wynik dokonanych 12 lipca wyborów przedstawiał się tak:

K r a j	Gminy wiejskie		miasta		Izby handlowe		grupa wielk. właścicieli		Razem		
	centraliści	autonomiści	centraliści	autonomiści	centraliści	Polacy	centraliści	autonomiści	centraliści	autonomiści	
Czechy.....	12	18	16	16	7	—	13	10	48	44	92
Dalmacya.....	—	6	—	2	—	—	1	—	1	8	9
Galicja.....	3	24	1	12	1	2	—	20	5	58	63
Nizsza Austrya...	8	2	17	—	2	—	6	2	33	4	37
Górna Austrya...	—	7	5	1	1	—	3	—	9	8	17
Salzburg.....	—	2	2	—	—	—	—	1	2	3	5
Styrya.....	1	8	8	—	2	—	4	—	15	8	23
Karantya.....	3	1	3	—	1	—	1	—	8	1	9
Kraina.....	—	5	—	3	—	—	2	—	2	8	10
Dukowina.....	2	1	2	—	1	—	1	2	6	3	9
Morawia.....	3	8	11	2	3	—	—	9	17	19	36
Szlazk.....	3	—	4	—	—	—	3	—	10	—	10
Tyrol.....	2	6	3	2	—	—	4	1	9	9	18
Voralberg.....	—	2	1	—	—	—	—	—	1	2	3
Istrya.....	1	1	1	—	—	—	1	—	3	1	4
Gorycja.....	1	1	1	—	—	—	1	—	3	1	4
Tryest.....	—	—	2	1	1	—	—	—	3	1	4
	39	92	77	39	19	2	40	45	175	178	353

Aczkolwiek dokładne obliczenie stronnictw, zwłaszcza przy wielkiej liczbie nowych posłów, którzy poraz pierwszy wstępowali do rady państwa, było trudne, powyższa tabela niebawem okazała się jako dość wierna. Generalną próbę stanowił wybór marszałka i wice-marszałków izby poselskiej dnia 14 października. Na marszałka hr. Taaffe zaproponował byłego pułkownika, hr. Coroniego, wybranego w Gorycyi, który dawniej należał do stronnictwa centralnego, złożonego z wielkich właścicieli, później utworzył klub postępowy, nakoniec w czasie obrad nad traktatem berlińskim przerzucił się śmiało na stronę rządu i podnosił potrzebę ugody z nie-niemieckimi narodowościami. Lewica zgodziła się na propozycyą hr. Taaffego, a zatem hr. Coronini 338 głosami, czyli jednomyślnie (bo kilku posłów było nieobecnych, kilku złożyło mandat) był wybrany na marszałka. Walka rozpoczęła się dopiero przy wyborze wice-prezydenta. Prawica proponowała d-ra Franciszka Smolkę; lewica, niezadowolona wyborem hr. Coroniego na marszałka, żądała posady pierwszego wice-prezesa także dla siebie i wystąpiła z kandydaturą posła Klier; pierwszy otrzymał 180 głosów, drugi 156 głosów, nadto oddano kilka białych kart. Przy wyborze drugiego wice-marszałka, baron Gödel-Lannoy (z prawicy) otrzymał 174, dr. Klier 154 głosów. Większość więc prawicy była niewątpliwa. Fakt ten potwierdził się ponownie przy głosowaniu nad adresem 31 października 1879 r., gdyż adres prawicy był uchwalony większością 176 przeciwko 162 głosom.

Wyprzedzając chronologiczny porządek wypadków, zastanowimy się już teraz nad wnioskami, dotyczącymi reformy ustawy wyborczej, tudzież nad dokonaną częściową reformą (w r. 1882), będącą pono zapowiedzią dalszych zmian. Najradykalniej wziął się do dzieła znany przywódca tak zwanój frakcyi niemiecko-narodowej, poseł Schönerer, który na posiedzeniu izby poselskiej dnia 28 stycznia r. 1881 uzasadniał wniosek reformy, domagając się wprowadzenia powszechnego głosowania, suffrage universel. Z prawicy nikt w tych rozprawach nie zabrał głosu, natomiast mówcy lewicy wytykali wnioskodawcy rażącą niekonsekwencyą, którą popełnia, żądając w interesie narodowości niemieckiej powszechnego głosowania, choć na mocy takiej ustawy wyborczej w parlamencie powstałaby niechybnie większość słowiańska. Jakkż teraz Galicya wybiera 63 posłów, na mocy zaś powszechnego głosowania wybierałaby przeszło stu. Z tém wszystkiem, niekonsekwencya p. Schönerera jest raczej pozorna, aniżeli rzeczywista. Mowę, w której zalecał swój wniosek, dnia 28 stycznia r. 1881, p. Schönerer zakończył bowiem słowami: „Wprowadzenie powszechnego głosowania dla nas, Niemców, jest równie niezbędnem, jak nadanie Galicyi zupełnego samorządu, a żądania te, choć chwilowo usunięte z porządku dziennego, zawsze ponawiane będą przez obywateli prowincyi niemiecko-austriackich, które należały do Rzeszy niemieckiej”¹⁾. Według

¹⁾ „Stenografisches Protocoll,” IX Session, str. 3773.

tego programu „narodowo-niemieckiego” nie tylko Galicya, lecz także Dalmacya, mają być wykluczone z organizmu cislitawskiego; druga ma być wcielona do „królestwa trójjedynego,” pierwsza ma otrzymać samorząd na wzór Chorwacyi, poczem posłowie galicyjscy albo zupełnie byliby usunięci z izby poselskiej wiedeńskiej, albo też, jak posłowie chorwaccy w sejmie węgierskim, braliby udział tylko w rozprawach rady państwa nad niektórymi wspólnymi sprawami, jak: finanse, handel, obrona krajowa i t. d. Po wykluczeniu zaś posłów galicyjskich z rady państwa, ustawa wyborcza, oparta na zasadzie suffrage universel, istotnie zapewniałaby przewagę Niemcom. To też, jak zapowiedział pan Schönenerer, odnośne wnioski niewątpliwie ponowią się. Nateraz jednak tylko czterej posłowie skrajnej lewicy (Fux, Kronawetter, Steudel, Löblich) przemawiali za wnioskiem p. Schönenerera, który następnie był odrzucony niemal jednomyślnie.

Już dnia 18 lutego kwestya reformy ustawy wyborczej znowu stanęła na porządku dziennym izby poselskiej. Równocześnie bowiem wystąpili z odpowiedniami wnioskami: poseł Lienbacher z prawicy i poseł Kronawetter z skrajnej lewicy. Pierwszy proponował nadać w grupie miast prawo wyborcze tym wszystkim, którzy opłacają 5 florenów podatku (dotąd prawo wyborcze w miastach zawisło od opłaty 10 fl. podatku); drugi wnosił, aby opłata jakiegokolwiek, choćby niższego podatku, nadawała prawo wyborcze. Oba wnioski odesłano do wybranego w tym celu wydziału. Nakoniec 20 maja 1881 r. poseł Zeithamer (Czech) wystąpił z wnioskiem, aby jedyną grupę wyborczą wielkich właścicieli czeskich rozłożyć na sześć ciał wyborczych. Z tych różnych wniosków wynikła reforma ustawy wyborczej, uchwalona w izbie poselskiej 20 marca r. 1882 większością 178 głosów przeciwko 118, następnie 24 maja, mimo namiętnego oporu księcia Karola Auerperga, przyjęta w izbie panów, a 4 października sankcyonowana przez cesarza i króla.

Odtąd w miastach wystarcza opłata 5 fl. podatku, aby posiadać prawo wyborcze. Według dawniejszej ustawy, w miastach było 196,993 wyborców; odtąd będzie ich około 350,000, czyli liczba wyborców w miastach będzie niemal podwojona. Stronnictwo p. Lienbachera, to znaczy stronnictwo niemieckich konserwatystów, po tej reformie spodziewa się znacznych zdobyczy przy przyszłych wyborach miejskich i w tym też celu, aby zjednać sobie obdarzonych świeżo prawem wyborczém rzemieślników, przeprowadziło zmianę ustawy rzemieślniczej, ograniczając wolność konkurencyi (w listopadzie r. 1882). Co do nas, przewidujemy wprawdzie, że stronnictwo p. Herbsta, czyli tak zwana „zjednoczona lewica,” złożona z reprezentantów wyższych warstw burżoazyi, wskutek rozszerzenia prawa wyborczego straci kilka mandatów poselskich, które jednak prawdopodobnie dostaną się nie konserwatywom niemieckim, lecz demokratom à la Kronawetter, a może zręcznym wielko-niemieckim, anti-semickim i socjalistycznym agitatorom à la Schönenerer.

Stosownie do wniosku p. Zeithamera, wielcy właściciele Czech odtąd wybierać będą zamiast w jednym, w sześciu gronach wyborczych. Pierwsze, któremu przyznano 5 posłów, tworzą właściciele majoratów. Reszta wielkich właścicieli Czech wybierać będzie swych posłów w pięciu okręgach terytoryalnych (jak w Galicyi): pierwszy, obejmujący wielkich właścicieli środkowych Czech, wybiera w Pradze 3 posłów, drugi w Budziejowicach 4 posłów, trzeci w Chebie (Eger) 4 posłów, czwarty w Libercu (Reichenberg) 3 posłów, piąty w Chrudimie 4 posłów¹⁾. Centraliści twierdzą, że na mocy tej ustawy wyborczej autonomiści mają zapewnione 16 mandatów, gdy stronnictwu ks. Auersperga pozostanie tylko 7 (t. j. okręg chebski i liberecki). Tak ściśle niepodobna zgóry obliczyć przyszłego wyniku wyborów, bo niepodobna przewidzieć wszystkich moralnych pobudek, które w danej chwili kierować będą sumieniem wyborców. To pewna, że odtąd 23 mandatów grupy wielkich właścicieli czeskich nie dostąpi jedno stronnictwo z zupełnym pominięciem drugiego. Choćby autonomiści zwyciężyli nietylko w trzech, lecz nawet w czterech z pomiędzy nowych gron wyborczych, to przynajmniej dwa okręgi powierzą mandaty Niemcom, względnie centralistom i vice versa. Reforma ta stanowi więc w każdym razie ciekawy przyczynek do kwestyi zabezpieczenia mniejszości wyborców, która to kwestya oddawna zaprzęta najpoważniejsze umysły, jak Johna Stuart-Milla, świeżo zaś była też uwzględniona w reformie wyborczej włoskiej.

Prawda jednak, co podnosili mówcy lewicy w odośnych rozprawach w marcu r. 1882, że taki podział kuryi wielkich właścicieli czeskich na nową grupę właścicieli majoratów, wybierających 5-ciu posłów w jednym gronie, i na drugą grupę właścicieli, wybierających w 5-ciu okręgach, nie uprościł, lecz na nowo skomplikował i tak już aż nadto sztuczną ustawę wyborczą. Powtóre: nie trudno przewidzieć, że odtąd lewica oswoi się zupełnie z myślą zniesienia kuryi wielkich właścicieli. Myśl tę poruszył już w r. 1870 poseł Rechbauer; w obradach nad wprowadzeniem bezpośrednich wyborów (r. 1873) liczne głosy z lewicy odezwały się przeciwko zachowaniu tej kuryi. Przed wyborami r. 1879 oba kluby „postępowe“: klub Herbsta i klub Koppa, wystąpiły 9 maja z manifestem, w którym się domagano zwiększenia liczby posłów miejskich, a zmniejszenia liczby posłów kuryi wielkich właścicieli. Właśnie te groźby i „zamachy“ na reprezentacyą wielkiej własności głównie skłoniły księcia Auersperga, jak oświadczył w odezwie z 24 czerwca, przystać na kompromis, proponowany przez hr. Taaffego. Ostatecznie umiarkowane żywioły w obozie centralistycznym umiały powściągnąć zawsze gorętszych, wskazując na wielkie korzyści, jakie centralistom zapewniała kurya wielkich właścicieli, zwłaszcza grupa czeska, dostarczająca lewicy od razu 23 posłów. Argument ten wskutek reformy stracił wszelką doniosłość. To też w rozprawach nad reformą

¹⁾ „Reichs Gesetz-blatt“ z 11 października 1882 r.

ustawy wyborczej, liczni mówcy z lewicy zapowiadali blizki upadek kurii wielkich właścicieli. Nawet hr. Coronini, były marszałek izby, oświadczył, iż tylko dlatego będzie głosował za wnioskami prawicy, ponieważ uzyskane w ten sposób rozszerzenie prawa wyborczego będzie na każdy przypadek trwałe, natomiast grupa wyborcza czeskich właścicieli majoratów łatwo ulegnie zmianie.

Przy dzisiejszym jednak składzie rady państwa, w której żadne stronnictwo nie posiada niezbędnej do zasadniczych zmian konstytucyj większości dwóch trzecich części głosów, i za rządów hr. Taaffego radykalnych zmian ani w jednym, ani w drugim kierunku obawiać się nie potrzeba.

II.

Kiedy powstał w Anglii koalicyjny gabinet księcia Newcastle i Foksa, ambitny William Pitt w słynnej mowie 13 listop. r. 1756 złośliwie oświadczył: „Przypominam sobie, było to w Lugdunie, pokazywano mi miejsce, gdzie spływa Saona z Rodanem. Jedna z tych rzek jest łagodna, słaba, gnuśna, ale przy swój cichości nie rwie brzegów. Druga spada gwałtownie z gór, pieni się, ale pomimo wszelkich różnic łączą się. Oby długo wytrwały w tém połączeniu, ku własnej uldze i czci i na sławę i pożytek narodu.“ Rzeczywiście w państwie konstytucyjnym, w którym rządzi większość parlamentarna, gabinety koalicyjne stanowią poniekąd anomalią. Jednak nawet w Anglii trzeba było niekiedy uciekać się do tego środka albo wybiegu. W Austrii aż do r. 1879 mieliśmy zawsze gabinety stronnice. Gabinet hr. Agenora Gołuchowskiego w r. 1860 opierał się na federalistach, gabinet kawalera Schmerlinga od r. 1860 do 1865 na centralistach, gabinet hr. Ryszarda Belcrediego od 1865—1866 na federalistach, gabinet księcia Karola Auersperga czyli tak zwane „Bürgerministerium“ od r. 1867—1870 na centralistach, gabinet hr. Alfreda Potockiego w r. 1870 i gabinet hr. Hohenwarta w r. 1871 na federalistach, a znowu gabinet księcia Adolfa Auersperga 1871 do 1879 przyznawał się do skrajnie centralistycznych zasad. Przy odrębnych i właściwych stosunkach austriackich, które sprawiają, że walka polityczna wyradza się bardzo łatwo w walkę narodowości i wtedy z walki konstytucyjnej przeciwko chwilowemu rządowi zmienia się w walkę przeciwko samemu państwu, czysto parlamentarne rządy stronnictw mogą się stać niebezpieczne! Panowanie bowiem stronnictwa centralistycznego, t. j. niemieckiego, zraża Słowian; panowanie zaś systemu federalistycznego czy autonomistycznego, opierającego się głównie na narodach nieniemieckich, może zrazić Niemców. Z tego względu i po niefortunnych doświadczeniach, jakie zrobiono z rządami stronnictwami, musiała logicznie z kolei nastąpić próba z rządem koalicyjnym, nie ubiegającym się o to, aby jednych zupełnie zadowolnić kosztem drugich, lecz aby pogodzić, jeżeli nie stronnictwa

i frakcye parlamentarne, to przecież narody monarchii. Oto zadanie, zakreślone hr. Taaffemu przez cesarza.

„System hrabiego Taaffego, zauważa autor wymienionj w tytule broszury: „Das System Taaffe,“ zasada się na tém, aby państwo postawić wyżej niż stronnictwa i interesom państwa przyznać większe znaczenie, aniżeli życzeniom pojedynczych narodowości, a co dopiero osobników. Niemcy głównie w tém zblądzili, że nie uwzględnili dostatecznie zmian, które sprowadził rok 1866. Dopóki Austrii w związku niemieckim przysługiwał urząd prezydialny, można było żądać dla Niemców austriackich przewagi, aby uzasadnić pierwszorządne miejsce Austrii w związku niemieckim. Marząc o zjeździe władców (niemieckich); p. Schmerling mógł uciskać Węgry i lekceważyć opozycją Galicyan i Czechów. Ze względu na Niemcy trzeba było utrzymać fikcją niemieckiej Austrii. W tym celu posłów niemieckich, którzy w bardzo ścieśnionj radzie państwa odgrywali komedią pełnego parlamentu, nazwano korpusem wybranym (Elitecorps), mieszczącym w sobie wielką inteligencją, którą rozporządzała monarchia. Mniejsza o to, że Madziarzy protestowali, Czesi opuścili radę państwa, Polacy nie głosowali za budżetem, byle tylko istniał w Wiedniu parlament niemiecki. Ztąd tradycya, że Niemcy w Austrii umieją wszystko i że tylko oni umieją. Po roku 1866 przejrzeni o tyle, że zrozumieli konieczność ugody z Węgrami; za to w Austrii chcieli panować wyłącznie. Z tą żądzą panowania, interes swój narodowy coraz wyraźniej stawiali wyżej od interesu państwowego, aż pomiędzy jednym a drugim powstała wyraźna sprzeczność. Oni jedni uważali się za proroków rządów konstytucyjnych, a gdyby nie szło po ich woli, państwo traciło racją bytu. Ta wyłączność stronnictwa (narodowa) musiała wkońcu pozbawić centralistów władzy.

„Jednakże rząd, złożony wyłącznie z reprezentantów prawicy, nie odpowiadałby także potrzebom państwa. Wprawdzie komitet wykonawczy prawicy składa ciągle dowody rzadkiej wytrawności politycznej i umie dzielnie utrzymywać karność w swych różnorodnych szeregach; mimo to, łatwo się domyśleć, że Czesi po 20-letniej abstynencyi mogliby okazać zbyt wielki apetyt, a przywódcy ich, choćby się obawiali niebezpiecznych skutków niestrawności, mogliby przez lud być popchnięci zbyt daleko. Nadzwyczajny głód wymaga poważnych pretekstów, to też wystąpiłyby znowu na porządek dzienny stare dzieje praw korony czeskiej, któreby nas zawiodły aż w czasy XVII stulecia. Prawica rozpadłaby się tego dnia, któregooby była powołana do objęcia steru rządu, a wobec poządlliwości pojedynczych frakcyi nie mogłaby się odwoływać na rząd, stojący ponad stronnictwami. Wszystko to wykazuje konieczność rządów hr. Taaffego. Tylko mąż stanu, który interes państwa stawia wyżej od własnego interesu, jako téż od wymagań stronnictw, które go popierają, zdolny rządzić. Tylko minister, stojący pomiędzy albo nad stronnictwami, jak hr. Taaffe, który w walce stronnictw pozostaje neutralnym i stara się każdemu wyrządzić słuszną, który tém samém

piórem podpisuje nominacją znakomitego reprezentanta Niemców d-ra Ungera (na prezesa trybunału państwowego) i najznakomitszego (?) mówcy prawnicy, hrabiego Ryszarda Belcredego (na prezesa trybunału administracyjnego, Verwaltungs-gerichtshof), tylko taki minister sprzymierzeńcowi naszemu (cesarstwu niemieckiemu) może zapewnić sojusz całej Austrii“ i t. d. ¹⁾.

Przypatrzmy się teraz nieco bliżej różnym fazom koalicyjnych zabiegów hr. Taaffego. Drogoskazem w tej pracy będą nam liczne przesilenia i rekonstrukcje gabinetu 12 sierpnia r. 1879, 17 lutego r. 1880, 27 czerwca tegoż roku, 14 stycznia r. 1881 i nakoniec ważna mowa hr. Coroniniego, wygłoszona wśród ostatnich rozpraw nad budżetem w marcu r. b.

Wspomnieliśmy wyżej o nominacji hr. Taaffego ministrem spraw wewnętrznych w dawnym gabinecie, z wyjątkiem d-ra Ziemiałkowskiego, który w ostatnich latach, według własnego oświadczenia, mógł tam tylko rozwijać czynność obronną, złożonym wyłącznie z skrajnych centralistów, jak baron Depretis (finanse), Chlumecki (handel), hr. Mansfeld, szwagier księcia Auersperga (rolnictwo) i t. d. Prezesem gabinetu został najumiarkowańszy z tych panów, dr. Stremayer, który jako minister oświaty i wyznań, pomimo dość ostrych ustaw konfesyjnych, uchwalonych w r. 1874 na wzór pruskich, umiał zręcznie uniknąć „walki kultury“ à la Falk. Nowy prezes gabinetu dnia 18 lutego odczytał w izbie poselskiej deklarację tej treści:

„W skutek kilkokrotnych żądań dotychczasowego gabinetu o dymisję, w ciągu roku ostatniego czyniły się zabiegi o utworzenie nowego gabinetu. Usiłowania te spełzły na niczem nie tylko z powodu ogólnej sytuacji, lecz także ze względu na bliski koniec 6-letniej kadencji parlamentu. Dzisiejszy rząd nie może przeto wygłaszać programu, lecz starać się tylko o to, aby prace parlamentarne nie doznały przerwy i normalnie przeszły na nowy parlament, tudzież sumiennie i obiektywnie kierować administracją państwa. Stosunki monarchii do Wschodu w traktacie berlińskim otrzymały wyraźną i ściśle określoną podstawę. Rząd przeto wspierać będzie ministeryum wspólne w przeprowadzeniu przyjętych na kongresie berlińskim obowiązków, ale też nie omieszka uwzględnić potrzeby oszczędności w wydatkach na ten cel czynionych. Odzywamy się do waszjej mądrości i do patriotyzmu, który w tym gmachu i po za nim wszystkie narody i stronnictwa powołuje do wspólnej, użytecznej pracy.“

Wobec wyborów, rozpisanych 22 maja, rząd przyrzekł zachować ścisłą neutralność. Pozostającemu pod dozorem swych kolegów centralistycznych w gabinecie hr. Taaffemu, wobec biurokracyi, przesiąkniętej zasadami barona Lassera, było też niemożliwem wywrzeć na wybory taki stanowczy wpływ, jaki wywierał np. baron Lasser w r. 1873. Osobista interwencya hr. Taaffego ograniczała się na przeprowadzeniu

¹⁾ Str. 35.

do skutku wymienionego już kompromisu w grupie wielkich właścicieli czeskich. Wprawdzie centraliści dziś oskarżają też hr. Taaffego, że swym wpływem 12 dawniejszych posłów rusińskich w Galicyi pozbawił mandatów. Insynuacja ta okaże się jednak niesłuszną, gdy zważymy, że już przy ostatnich wyborach sejmowych, dokonanych w r. 1878 za rządów ks. Auersperga, gminy wiejskie galicyjskie odwróciły się od swych posłów centralistycznych, a wybrały przeważnie posłów autonomistycznych. Bądź jak bądź, rezultat wyborów był taki, że centraliści utracili przeszło 40 mandatów (w Galicyi 12, w Czechach 10, w Morawie 6, w Krainie 5 i t. d.) i że oba stronnictwa, centraliści i autonomiści powracali do parlamentu mniej więcej o równych siłach. Choćby nawet system koalicji, ugody, nie był zakreślony hr. Taaffemu z góry, taki skład nowój izby, w której żadne z dwóch stronnictw nie posiadało znacznej większości, czyniło go koniecznym. Ku temu hr. Taaffe, zamianowany prezesem gabinetu, dnia 12 sierpnia złożył go w sposób następujący! Hr. Taaffe, prezes gabinetu i tymczasowo minister spraw wewnętrznych, dr. Stremayer minister sprawiedliwości i tymczasowo oświaty, pułkownik Horst minister obrony krajowej, Ziemiałkowski minister dla Galicyi, hr. Julian Falkenhayn minister rolnictwa, baron Korb-Weidenheim minister handlu, dr. Prażak minister bez portefelu, szef sekcji Chertek zawiadowca wydziałem finansów. Stronnictwo centralistyczne w owym gabinecie było reprezentowane przez ministrów Stremayr'a, barona Korba, pułkownika Horsta tudzież p. Chertka; stronnictwo autonomistyczne przez pp. Ziemiałkowskiego (koło polskie), Prażaka (frakcyja czeska), hr. Falkenhayna (klub prawego środka). Było to więc w najlepszym znaczeniu wyrazu ministeryum koalicyjne. Chodziło o to, jak wobec tej kombinacji zachowają się stronnictwa?

Centraliści natychmiast rozpoczęli namiętną walkę przeciwko gabinetowi. Już przy wyborach, dwaj ministrowie centralistyczni Stremayr i Horst ulegli (w Styryi i Górnój Austryi) kandydatom niemiecko-narodowym, dopiero później hrabia Taaffe wystarał się dla nich o dwa opróżnione mandaty w Bukowinie. Prasa centralistyczna wystąpiła namiętnie przeciwko gabinetowi koalicyjnemu. Nakoniec na zjeździe, który się odbywał dnia 30 i 31 sierpnia w Linzu, posłowie centralistyczni pod przewodnictwem niezmordowanego w opozycji p. Herbsta, uchwalili rezolucyą téj treści: „Wobec położenia, jakie powstało wskutek wyborów, wobec zagrożonych przez dotychczasową czynność i nowy skład gabinetu zasad konstytucyjnych i liberalnych, tudzież interesów Niemców austriackich, zgromadzeni w Lincu posłowie wienokonstytucyjni oświadczają: „prawno polityczne podstawy państwa i konstytucyjne swobody muszą pozostać nienaruszone, tylko w tych ramach można zaspokoić zadania narodowościowe; celem uporządkowania finansów potrzeba zniżenia wydatków na sprawy wojskowe” i t. d. Nadto zgromadzeni w Lincu posłowie zobowiązali się słowem honoru, nie przyjąć udziału w gabinecie hr. Taaffego (który miał jeszcze do rozkania teki spraw wewnętrznych, oświaty i finansów).

W kilka dni potém zebrał się zaproszeni przez hr. Hohenwarta do Wiednia przywódcy autonomistów, Kazimierz Grocholski i ksiązę Jerzy Czartoryski, dr. Rieger i hr. Henryk Clam-Martinic. Na tych naradach (16-go września) stanął zarys przyszłej, znakomitej organizacyi prawicy autonomistycznej.

Powstały więc dwa obozy stronnice, nie zdradzające wielkiej skłonności do zgody. Pomimo tego, mowa, którą cesarz, 8 października 1879 r. zagał obrady nowowybranego parlamentu, zaznaczyła dobitnie program ugodowy. Rędyzie cesarskie witały z radością postów czeskich, wstępujących do rady państwa. Fakt ten mógł istotnie zadowolnić uczciwe koła wiernokonstytucyjne, którym zależało na tém, aby żądania narodowościowe uwzględniono—tylko, jak się wyrażał manifest liniecki, „w ramach konstytucyi.“ Szczerze wiernokonstytucyjne żywioły powinny więc być poczuwać się do wdzięczności dla hr. Taafego, któremu udało się skłonić Czechów do uznania konstytucyi, czego dawniej nie mogli dokazać ani ministrowie ugodowi (Belcredi, Potocki, Hohenwart), ani centralistyczni (Schmerling, ksiązę Karol i ksiązę Adolf Auersperg). Rzeczywiście, konstytucya grudniowa odniosła wielki tryumf, gdy reprezentanci pięciomilionowego narodu czeskiego zaniechali oporu biernego. Wprawdzie mowa cesarska kończyła się słowami: „Wierna swemu dziejowemu posłannictwu Austria, będzie przystąpiła dla praw niepodzielnie połączonych swych krajów i ludów, trwałym przybytkiem prawa i prawdziwej wolności,” które to słowa wywołały huczne oklaski po stronie autonomistów; ależ także konstytucya grudniowa tych praw wyraźnie nie znosi, a nawet w artykule 19-tym bezwzględnie zabezpiecza zupełną równość dla wszystkich narodowości, a zatem stronnictwo wiernokonstytucyjne nie miało powodu zrażać się owém wyraźnie tylko ponowioném przyrzeczeniem cesarskiém. Trzeba było silnego apriorystycznego usposobienia opozycyjnego, aby rzucić się naoslep w wir namiętnej walki, jak to się stało niebawem w rozprawach nad adresem.

Zanim przystąpimy do tego ważnego epizodu, wypada objaśnić ugrupowanie klubów parlamentarnych, utworzonych wkrótce po otwarciu izby poselskiej. (Patrz tabelę na następnej stronie).

Trzy kluby prawicy, koło polskie, które ponownie wybrało marszałkiem d-ra Grocholskiego, frakcyja hr. Hohenwarta, czyli tak zwany klub prawego środka, obejmujący niemieckich konserwatystów, oraz postów słoweńskich, dalmackich i bukowińskich, tudzież klub czeski, który na marszałka wybrał d-ra Riegera, weszły natychmiast w ścisły sojusz za pomocą „komisji parlamentarniej,” złożonej z 15-tu członków, po 5-ciu z każdego klubu. Do komisji weszli: dr. Grocholski, baron Baum, ks. Jerzy Czartoryski, dr. Franciszek Smolka i dr. Dunajewski; dalej dr. Rieger, hr. Clam Martinic, dr. Szrom, Zeithamer i dr. Trojan; nareszcie hr. Hohenwart, dr. Lienbacher, dr. Klaietz, ks. Liechtenstein i br. Giovanelli. Jakkolwiek co do osób zaszły w ciągu czterech lat niektóre zmiany: jakoż w miejsce Smolki, wybranego później

K r a j e	Klub liberalny	Klub postępowy	Klub praw. środ.	Klub czeski	Koło polskie	nie należący do żadnej frakcyi
Czechy.....	31	14	—	44	—	3
Morawia.....	6	11	—	10	—	9
Szlązk.....	5	2	—	—	—	3
Dolna Austria ..	19	12	4	—	—	2
Górna Austria ...	3	6	7	—	—	1
Salzburg.....	—	2	3	—	—	—
Styrya.....	4	6	8	—	—	5
Karyntya.....	7	1	—	—	—	1
Kraina.....	2	—	8	—	—	—
Tryest.....	4	—	—	—	—	4
Tyrol.....	5	—	10	—	—	3
Voralberg.....	1	—	2	—	—	—
Galicja.....	1	—	—	—	57	5
Bukowina.....	3	—	3	—	—	3
Istrya.....	—	—	4	—	—	—
Dalmacja.....	—	—	8	—	—	1
	91	54	57	54	57	40

marszałkiem izby, wstąpił Smarzewski; w miejsce Dunajewskiego, zamianowanego ministrem, dr. Euzebiusz Czerkawski; w miejsce świeżo zmarłego barona Bauma p. Jaworski; organizacya, utworzona w paźdz. r. 1879, zwycięzko wyszła z najtrudniejszych prób i zapewniła prawicy tę sprężystość i solidarność, której z początku mało kto się spodziewał, a która zasłużyła sobie czasem na nazwę „żelaznej obręczy,” aby użyć wyrażenia znakomitego mówcy, księdza Greutera.

W zwartych szeregach, dnia 29 października 1879 r., oba stronnictwa stanęły do boju o adres. Projekt większości wydziału, spisany przez hr. Hohenwarta, był parafrazą mowy korony, podnosił potrzebę ugody, decentralizacji zarządu i równouprawnienia narodowości. Centralistyczna mniejszość wydziału wystąpiła z kontrprojektem, który zastrzegał się przeciwko wszelkim zmianom konstytucyi ku zadowoleniu żądań narodowościowych. Ponieważ jednak projekt większości nie domagał się takich zmian, owszem, uznawał konstytucyą grudnia, przeto zastrzeżenie mniejszości wydziału było zbytecznym, albo raczej uczynionem jedynie w celu zaznaczenia i zaostrenia antagonizmu.

W tych pierwszych (i jedynych dotąd) rozprawach nad adresem w nowowybranjej izbie poselskiej, mówcy lewicy: Edward Suess, profesor geologii przy wszechnicy wiedeńskiej, baron Scharschmidt (z Czech), prof. Lustkandl, radzca legacyjny Plener młodszy, Herbst i Sturm, dowiedli wyższości lewicy pod względem krasomówczym. Nic dziwnego,

bo panowie ci przemawiają w języku ojczystym, a nadto posiadają wielką rutynę parlamentarną, gdy mówcy prawicy po większej części przemawiają w obcym sobie języku, a nadto, wyjąwszy postów polskich, znacznemu zastępowi prawicy niedostawało rutyny parlamentarnej. Zdolności krasomówcze stanowią wprawdzie ozdobę stronnictw parlamentarnych, nie wynika ztąd przecież, aby te zdolności same wystarczały. W jednej z swych wielkich mów książę Bismarck (w kwietniu r. 1881) oświadczył: „Znakomity mówca nie zawsze jest najwytrawniejszym sędzią spraw politycznych. Aby być dzielnym mówcą, trzeba posiadać żyłkę poetyczną i świetny dar improwizacji, to też zdolny mówca nie zawsze trzyma się z matematyczną ścisłością prawdy, rzadko będzie tęgim graczem w szachy, a rzadziej jeszcze wytrawnym mężem stanu” i t. d. To spostrzeżenie ks. Bismarcka sprawdziło się wtedy na znakomitych mówcach lewicy centralistycznej. Chłodne rozważenie stosunków, przedewszystkiem niemożliwość utworzenia gabinetu centralistycznego, następnie fakt, że w gabinecie hr. Taaffego zasiadało kilku znakomitych reprezentantów lewicy, nakoniec pojednawcze głosy mówców prawicy, a zwłaszcza przemowa prezesa gabinetu, to wszystko nakazywało lewicy przystać na program koalicyjny i w ten sposób utrzymać wpływową pozycyą w rządzie i zapewnić ją sobie w parlamencie. Tymczasem namiętność, sentymentalna tęsknota za utraconą władzą, talent improwizacyjny, goniący za świetnemi antytezami i paradoksami, popchnęły lewicę na fałszywe i zgubne tory.

Mówcy prawicy budowali centralistom złote mosty. Dr. Dunajewski w imieniu koła polskiego oświadczył, że jakkolwiek konstytucyi grudniowej niepodobna uważać jako absolutnie niezmienną, prawica nie zdąża do zmian konstytucyi ¹⁾; hr. Clam Martinic podnosił, że jakkolwiek Czesi zastrzegli sobie prawa historyczne kraju, sumiennie i szczerze wypełnią swoją powinność w parlamencie; ks. Jerzy Czartoryski wobec insynuacji lewicy, jakoby prawica zmierzała do ukrócenia swobód obywatelskich, wykazywał, że samorząd krajów koronnych nie wyklucza wolności, lecz owszem, jest jej uzupełnieniem; a gdy p. Rieger wystąpił z nieco ostreimi wymówkami przeciwko dawnym rządóm centralistycznym, tak hr. Taaffe, jak hr. Hohenwart, pośpieszyli złągodzić wrazenie tej mowy. Hr. Taaffe nadto oświadczył: „Ministryum, obejmując rządy, nietylko zastało trudne zadania, lecz także zakreśliło sobie trudną misyą pogodzenia żywiołów, które, mimo równych, patryotycznych uczuć, wskutek długiej i zaciętej walki stały się sobie obcemi. Rola pośrednika zawsze jest niewdzięczną, ale w danym razie jest zaiste patryotyczną. Nie jesteśmy rządem stronnictwym i nim być nie możemy, bo wtedy nie moglibyśmy stanąć p o n a d stronnictwami i p o m i ę d z y niemi, aby zapośredniczyć“ i t. d. Oświadczenie hr. Taaffego nie odwiodło mówców lewicy od skrzytnego wyszukiwania punktów spornych z prawicą i rządem; natomiast prawica, naznaczwszy uniar-

¹⁾ Stenogr. Protocoll, str. 145 i nast.

kowanie i pojednawczość w swym projekcie adresowym, złożyła nowy dowód wytrwałości i zręczności politycznej, gdy przez usta swego sprawozdawcy, hr. Hohenwarta, oświadczyła: „Nie biorąc na siebie zgóry odpowiedzialności za wszystkie czyny rządu, będziemy jednak otwarcie i lojalnie wspierać ministeryum terażniejsze, dopóki pozostanie wierném swój *raison d'être*, dopóki więc starać się będzie o pogodzenie i pojednanie wszystkich.“ Rozprawy skończyły się 31 października przyjęciem adresu prawicy większością 176 przeciwko 162 głosom. Zapraszana przez rząd i prawicę do gościnnego i nakrytego dla wszystkich stołu, lewica wówczas śmiało przekroczyła Rubikon, stała się opozycją systematyczną, w końcu „fakcyjną.“ Napoleon I w Erfurcie do Goethego powiedział: „La politique est la fatalité.“ Na dziejach lewicy centralistycznej w parlamencie wiedeńskim zdanie to ciągle się sprawdza. Pierwszy błąd, który popełniła, pociągał za sobą coraz nowe. (D. n.).

Eugeniusz Lipnicki.

W BECZCE DYOGENESA.

K O M E D Y A W J E D N Y M A K C I E.

Jaroslawa Vrchlickiego *).

PRZEŁOŻYŁ Z CZESKIEGO

M I R I A M.

OSOBY.

Aleksander Wielki.

Parmenion, jego wódz i przyjaciel.

Dyogenes.

Eutychides.

Melissa.

Wojownicy z orszaku Aleksandra.

Rzecz dzieje się w Koryncie w r. 329 przed Chr.

Scena przedstawia wielki gościniec za Koryntem.—Na lewo rozrzucone wille w bujnej zieloności, na prawo puste wybrzeże, w głębi morze.—Z boku, przy gościńcu, oparta o wielkie drzewo gliniana beczka Dyogenesa.—Ostatnie odblaski zachodu; później światło księżyca.

*) Emil Bohusz Frieda, pisujący pod pseudonimem Jaroslawa Vrchlickiego, zajmuje pomiędzy młodszymi poetami czeskimi wybitne nader stanowisko, które potrafił sobie zdobyć przez dzieła liczne i różnorodne w młodym stosunkowo wieku; liczy bowiem dopiero trzydziesty rok życia. Oprócz przekładów z Dantego, Hafiza, Leopardiego, Wiktora Hugo, wydał dotychczas kilkanaście większych utworów poetycznych, z pomiędzy których utwór p. n. „Duch i świat“ zasłużył sobie na powszechne uznanie nie tylko krytyki czeskiej ale i zagranicznej. B. Frieda próbował także z równym powodzeniem i poezji dramatycznej, czego dowodzą tragedye jego: „Drahomira“ i „Śmierć Odysseja,“ niemniej i komedy „W beczce Dyogenesa,“ cieszące się stałym powodzeniem na scenie prazkiej. Obok tak żywego interesowania się Czechów literaturą polską, uważamy za rzecz pożyteczną zwracać także uwagę społeczeństwa polskiego na duchowy rozwój i znakomity postęp umysłowy pobratymczego narodu.

Red.

SCENA 1.

Wchodzi *Aleksander*, za nim *Parmenion*.

Aleksander (przy podniesieniu zasłony głośno ziewa).

Parmenion. Dwa dni dopiero jesteś w Koryncie i już się nudzisz. Jednak nuda jest największym zdobywcą w świecie. Aleksander przemógł świat, ale nuda przemogła i Aleksandra.

Aleksander. Ale nie przemogła gaduły Parmeniona. Ach, Korynt! Grecya! Niech mi kto powie, po co tu przybyłem. Miałem iść prosto na Indyę. Tak zabijam czas. Tam przynajmniej walczyłem; tu...

Parmenion. Masz się bawić.

Aleksander. Tak, mam; cóż, kiedy się nie bawię. Grecya starzeje się, kochany przyjacielu (siada na kamieniu pod drzewem).

Parmenion. Mylisz się. Grecya nie starzeje się i nie zestarzeje nigdy. To bachantka, wiecznie upajająca się słońcem, młodością i wdziękiem Gracyi! To perła świata, to uosobienie życia! Ze łzami w oczach ucałowałem jęj świętą ziemię, a jedyném mém hasłem jest: Niech żyje ta wielka bachantka! świat małym jest dla jęj objęcia!

Aleksander. Bachantka—to niezłe porównanie. Tak, Grecya jest bachantką, ale nieco przekwitła.

Parmenion. Jesteś zniechęcony, kochany przyjacielu, struty powietrzem Azji. Miłość, którą tam pałałeś, to kwiat upajającej woini, po którym w głowie szum, a w sercu nuda. Tyś chory, przyjacielu!

Aleksander. Być może; ale znam i lekarstwo na swoją chorobę. Pomaga z pewnością, lecz zawsze długo nie mogę się nań zdecydować, a te chwile wahania są najgorsze.

Parmenion. Zaiste, miłość jest najlepszym lekarstwem.

Aleksander (wstając). Mylisz się. Jest to praca, praca gorączkowa, walki, długie pochody, wszystko, co tak ci zajmuje czas, że nie słyszysz pędu Hor nad głową. Aby tylko zdecydować się na to! Nie powinienem był jeździć do Grecyi, a zwłaszcza do Koryntu. Zresztą jest nieco prawdy w twych słowach. Kochałem wiele w Azji i dostrzegłem tam, że w kobiecie przedewszystkiém odzywa się—zwierzę!

Parmenion (z zapalem). A przecież, jaki to czar boski, gdy cię ukołysze do snu płomienny hymn Safony, a przebudzi swawolna pieśń Anakreonta!

Aleksander. Jakto? jużes tego spróbował przez te dwa dni, jak jesteśmy w Koryncie?

Parmenion (w pomieszeniu). Ja? Nie.

Aleksander. Ba, ty się kochasz.

Parmenion. Hm. Patrzaj, znaleźliśmy się znowu przy beczce filozofa; odwiedziłeś go wczoraj: jakże ci się podobał?

Aleksander (*zdziwiony*). Jak mi się spodobał? Czyż nie ty jeden towarzyszyłeś mi do niego? czyż nie rozmawiałeś z nim tak, jak i ja? Niezręcznego użyłeś wybiegu, chcąc się wykręcić od odpowiedzi na moje pytanie. Wszak piłeś równie dobrze, jak i ja, z jego czary i z ręki podług jego sposobu. Teraz widzę jasno, żeś zakochany. To i dobrze; przynajmniej coś mnie tu zabawi.

Parmenion (*do siebie*). Ale co prawda, mógłby się ztąd ruszyć. (*Głośno*). No, tak, byłem z tobą, aleśmy jeszcze nie mówili o nim. Mnie, prawdę powiedziawszy, wcale się nie podoba.

Aleksander. Nic dziwnego, jeżeli właśnie przypadło ci do serca jakie niewinne dziecko Afrodyty, że ci się nie podoba ten brudny filozof. A jednak w wielu razach prawda jest po jego stronie. Ale, pytam się, dlaczego ją światu podaje w brudnej skorupie? czyliż prawda nie zasługuje na amforę z najszlachetniejszego złota? Tém obraża w mnie Greka. I chętniej, widzi Zeus, zakosztuje słodkiej obłudy Arystypa, już dlatego samego, że mi ją w złoconej podaje misce, niż prawdy z brudnych rąk Dyogenesa. Teraz wierzę już we wszystko, co o cyniku tym opowiadają, w to nawet, że raz ofiarował podobno owady ze swęj głowy wielkiej Palladzie

Parmenion. No, zresztą był to niezły dowcip. Bogini niczem inném nie obdarzyła go w życiu. Dał, co miał.

Aleksander (*z rosnącym gniewem*). Jakby ci, którzy szukają prawdy, nie mieli już dlatego czasu dbać o swą powierzchowność. I Sokrates grzeszył pod tym względem. Czyliż słońce prawdy, w którego oblicze patrzą, jest tak olśniewającego blasku, że nic już potem nie widzą, co się koło nich dzieje, co na nich jest?

Parmenion. Teraz Azya mówi przez ciebie, przyjacielu!

Aleksander. Nieprawda, Parmenionie! Jak gdyby wzorem życia greckiego był ten filozof! Nie znałeś nauczyciela mego, Arystotelesa. Dyogenes jest tylko najskrajniejszym odrostkiem swego kierunku. Jeżeli podniesiemy z prochu soczyste jabłko, to czyż lepiej ma nam ono smakować, gdy zjemy je wraz z pokrywającym je pyłem?

Parmenion. Koniec końców, i Dyogenes nie podniósł jeszcze tego jabłka prawdy. Myśli, że ma w ręku jabłko granatu, a zamiast tego podaje ludziom gorzkawe prawdy nieszpuki ¹⁾. Zresztą, co się tyczy filozofów, to poeci zawsze byli najbliżsi prawdy, a potem zakochani! (*Do siebie*). No, ale teraz już mógłby iść sobie.

Aleksander. I ty więc, Parmenionie! (*Śmieje się*). Dyogenesie, stary brachu, zbierz swe manatki, przepasz biodra i idź dalej, a beczkę swą przekaz Parmenionowi, bo on teraz trzyma prawdę w dzierzawie; bo on kocha! Ja (*ironicznie*) już zostanę głupcem, kochany przyjacielu, i pójdę dalej, z Homerem pod poduszką, zdobywac

¹⁾ Nieszpuł v. Mespul, Niesplik v. Mesplik, jest to owoc mały, jako jabłuszko, używany w starożytności jako przysmaczek, przypominał gnite gruszkowe. Zob. Kluk, Dyk. Marcina Siennika herbarz. *Red.*

świat. Ale Parmenion kocha! Słyszysz to, Koryncie! i ty, Grecy! Parmenion od dwóch dni w Koryncie i już kocha; wie, co jest prawda, dlatego, że kocha!

Parmenion (*podrażniony*). A ciebie to bawi, zdobywco świata? Nie Kocham nikogo.

Aleksander. Więc chcesz, żebym się nudził.

Parmenion. Dlaczegoż, dajmy na to, miłość moja ma być przedmiotem zabawy?

Aleksander. No, przecież to nie pierwszy raz bawilibyśmy się wzajemnie swoją miłością. A więc nie kochasz. Dobrze.

Parmenion (*żywo*). Co zamyślasz?

Aleksander. Przed wschodem słońca opuścimy Korynt.

Parmenion (*przelęknięty*). Korynt opuścimy? dlaczego?

Aleksander. Cóż tu robić? Co cię wiąże do Koryntu, jeżeli tu nikogo nie kochasz? Mnie tu nic więcej nie zatrzymuje. Dyogenesa widziałeś, możemy więc jechać. Mądrzejszym nie stałeś się; ja przynajmniej nie. A więc dalej, w pochód do Indyi. Jutro zaraz przed wschodem słońca. Znasz mnie, nie lubię odkładać!

Parmenion. Cóż... ale... żeby przecież jakoś...

Aleksander. Czy chcesz zostać uczniem Dyogenesa? On mieszka w beczce, wygrzeb sobie obok niego norę; ale co mówię, toć powiedziałeś przed chwilą, że ci się ten filozof wcale nie podoba.

Parmenion (*ciagle z pomieszaniem*). Tak, filozof mi się nie podoba. Ale miasto warto przecież, aby w niem pobyć dłużej.

Aleksander. Biédaku! pierwszy raz tu jesteś! No, masz jeszcze całą noc, obejrzyj sobie budowy i ulice, (*stanowczo*) ale jutro przed wschodem słońca odjeżdżamy. Tak być musi.

Parmenion. Ale, ja tak prędko nie mogę. (*Do siebie*). Wszystko napróżno, nie rusza się, schadzka na nic.

Aleksander. Nie możesz?

Parmenion. Jestem chory.

Aleksander. Ty, ty jesteś chory?! Chyba ci to teraz przyszło! Czyż straciłem oczy i uszy? Czyliż nie rozprawiałeś przed chwilą z największym ogniem młodzieńczego zapału o wiecznym kwiecie Hellady? Czyż chorzy mówią o miłości z takim ogniem jak ty? (*Parodyjuje go*). A przecież, jaki to czar boski, gdy cię ukołysze do snu płomienny hymn Safony, a przebudzi swawolna pieśń Anakreonta! Biédny Parmenionie! Wypiłeś jeszcze przed chwilą, niech Dyonyz osi błogosławi—trzy amfory wina, i to czystego, bez wody! Chcesz może się przespać? Pójdź, połóżysz się u mnie, sam cię będę doglądał. (*Z ulaną wściekłością*). Zabiję każdego, kto zechce dostać się do ciebie, choćby to był najlepszy mój przyjaciel! Ale w istocie, ty się chwiejesz, twarz twoja rozpalona!

Parmenion (*napróżno tłumiac niechęć*). Pozwól mi odejść, przyjacielu! W imię naszej przyjaźni, pozwól mi odejść! (*Na stronie*). Nie

może mnie tu z nią widzieć; on się nie rusza, więc ja pójdę. (*Głośno*).
Bądź zdrow, przyjacielu!

Aleksander (*szydersko*). Uciekaj! Spóźnisz się na schadzkę. Czy masz pieniądze, przyjacielu? Może chcesz jakich darów dla swojej gołąbicy? Mam piękne materye byssusowe i kaszmirowe, złote łańcuchy...

Parmenion (*dziko*). Aleksandrze!

Aleksander (*z uśmiechem*). Ale przecież ty nie kochasz! Po cóż ten gniew! Jesteś istotnie chory, możesz więc odejść; ale jutro, jakem powiedział, przed wschodem słońca musimy mieć Korynt za sobą.

Parmenion (*zimno*). Bądź zdrow, Zeus z tobą! (*Odchodzi*).

Aleksander (*ironicznie*). A z tobą Afrodyta!

SCENA 2.

Aleksander sam.

Aleksander. Szczęśliwy Parmenion! Kocha, napróżno się zapiera i kocha głębiej niż kiedykolwiek. Tai się z tém, ale ciche wody zwykle bywają najgłębsze. A jak niezręcznie się płątał! Niepięknie z jego strony kryć się z tém przedemną, ale to znak, że kocha namiętnie i głęboko. (*Przechadza się*). A właściwie co mi do tego! Ja mam inne troski. Kochaj się pocziwy Parmenionie, niech ci olimpijscy słodką noc dadzą i oby przebudzenie twe nie było gorzkie! Każdy śmiertelnik twego stanu może być szczęśliwym w tém błocie życia, z którego żaden filozof nie podniósł dotąd perły. Każdy, tylko nie Aleksander! Kochaj, Parmenionie, ściskaj w objęciach to nieznanie dziecię Afrodyty, gładź jej włosy falujące i szepcz gorącemi usty nieśmiertelne wiersze Safony, godne, by je wymawiać w najpiękniejszych życia chwilach—tyś nazbyt mały! Ale na mnie świat patrzy! Jeśli ciebie wabi w pieśni Homera mile uśmiechnięta Brizeis lub wielka Helena, na mnie woła cień Achillesa i muszę iść za nim! (*Po chwili milczenia*). Kiedyż się urodziłem? W noc, gdy Herostrat spalił świątynię Dyany Efezkiój. To nie próżny symbol. Czyż nie jestem téż zrodzony do miłości? Wszak Dyana nie jest czystą boginią, a usta twe, Aleksandrze, płoną od pocałunków kobiet. W noc, gdyś się narodził, zgorzała świątynia czystej, prawdziwej, wielkiej miłości, i ty idąc przez świat zbierasz szczątki tego dyamentu, który znosząc śmiertelnikom z Olympu upuściła wielka Afrodyta, że rozbił się o skały powszedniości. Powiedz to sobie raz, że do takiej, jak Parmenion miłości, nie jesteś zdolny! (*Gorzko*). Idź zdobywać świat, Aleksandrze, to piękna zabawa, taka, jak na przykład chwywanie motylów. Ale miłość nie dla ciebie! (*Pochodźszy, zatrzymuje się*). A cóż, gdybym zechciał kochać, jak on, jak Parmenion? Z całej duszy, na całe życie? Cóż jest niemożliwe dla Aleksandra? Chcę więc i będę! Ale dziś? Powiniennem być o tém wcześniej pomyśleć—widzę, że jutro chyba z Koryntu nie wyjedziemy. (*Odchodzi*).

SCENA 3.

(Wchodzi Melissa; zobaczywszy Aleksandra, zatrzymuje się zdumiona. — Ten obraca się nagle i ujrawszy ją, zatrzymuje się również).

Melissa, Aleksander.

Melissa (do siebie). Ktoś tutaj? Czyżby zapomniał godzinę?

Aleksander (do siebie). Rozgląda się dokoła — spodziewała się kogoś. Piękna — ten przestрах jest jej do twarzy. Rozumiem znak wasz, o bogowie! (*Postępuje ku Melissie*). Szukasz kogo, drogie dziecię?

Melissa (w pomieszczeniu). Przebacz panie... (*Do siebie*). Co począć? (*Głośno*). Widzę, żem się omyliła.

Aleksander. Niezupełnie. Kroki nasze zawsze wiedą nieśmiertelni. (*Do siebie*). Piękna doprawdy. O! Safo! (*Głośno*). Szukasz kogo?

Melissa (do siebie). Mogęż mu wierzyć? Ma dobrą twarz. (*Głośno*). Przebacz, panie, nie chcę przeszkadzać.

Aleksander. Szukałaś kogoś, na co się zapierasz? To ja przeszkadzam. Gdy odejdę, on przyjdzie; powiedz to tylko, piękne twe usta zupełne do tego dają ci prawo.

Melissa. Nie wiem, co mam powiedzieć.

Aleksander. No, powtórz tylko, com ja powiedział. On nie przyszedł, on, Parmenion.

Melissa (z przestachem). Ty wiesz? A więc tyś Aleksander, bo innemu, wątpię, by odkrył swą tajemnicę. Lecz pozwól mi odejść.

Aleksander. Czemu odchodzisz? Może krótka rozmowa byłaby użyteczną dla nas obojga.

Melissa (skromnie). Dla ciebie, panie, wątpię — ale już późno, a ja tu sama...

Aleksander. Nie jesteś sama, przecież ja jestem tutaj...

Melissa. Tak, masz słuszość, jestem więcéj niż sama, a to jeszcze gorzej. Ale, mniejsza o to; z pewnością był tu przed chwilą. Przeczuwam niedawną, miłą jego obecność!

Aleksander (do siebie). Znów o nim mówi. (*Głośno*). Istotnie, na tém właśnie miejscu stał Parmenion.

Melissa (niedowierzająco). Mówisz prawdę?

Aleksander. Był tu, przed chwilą odszedł. Musiał przechodzić koło ciebie.

Melissa (z westchnieniem). A ja przecież dobrze patrzyłam.

Aleksander. Mówił o swéj miłości.

Melissa (ciekawie). O mnie?

Aleksander. Bezwątpienia, słodkie dziecię! Mówił: O jak miło ukołysaunym być do snu płomiennym hymnem Safony...

Melissa (z radością przerywa mu). A przebudzonym swawolną pieśnią Anakreonta! Tak, to mówił o mnie; wczoraj czytaliśmy razem wiersze Safony.

Aleksander (do siebie). Co za szczerłość! (Głośno). Wczoraj? kiedy, moje dziecię?

Melissa (z pomieszaniem). Możesz to odgadnąć ze słów jego. Dziś rano czytaliśmy Anakreonta.

Aleksander. Więc wczoraj wieczór! (Do siebie). Kłamca, a mnie powiedział, że był w pracowni malarza Kseniasza w towarzystwie artystów. (Głośno). I dobrzeście się bawili, o tém nie wątpię. Ale patrz, Parmenion nie jest szczyry względem ciebie.

Melissa. Temu nie wierzę.

Aleksander. To też ja chciałem powiedzieć, że przez miłość ku tobie, staje się nieszczerem względem swych przyjaciół.

Melissa. To byłoby tylko na korzyść naszej miłości.

Aleksander. Miłość jest zawsze samolubna, moje dziecię. Ale z bogatęj ucztę waszêj miłości, mogłoby spaść kilka okruszyn dla schnących z żalu i cierpiących w samotności.

Melissa. Nie rozumiem cię, panie. Miłość jest samolubna. Jeśli da wszystko, chce także wszystkiego. Zresztą te jêj skarby mają wartość tylko dla jêj wyznawców, i nie wiem, jakiego rodzaju okruszyny z godów miłości mogłyby starczyć komu innemu.

Aleksander (zbliża się do niêj). Choćby w rodzaju małego po całunku.

Melissa (cofając się). Musiałby już być bardzo biednym ten, komu starczyłoby... współczucie.

Aleksander (do siebie).—Tak, ma słuszność, a tym biédnym ja jestem! Ale ona jest czarująca, musi być moją. (Głośno). Ty kochasz Parmeniona?

Melissa. Wiêsż o tém, panie; lecz pozwól mi odejść, zatrzymałam się dłużej, niż potrzeba.

Aleksander. A wiesz, kto on jest?

Melissa. Mój kochanek; to wystarczy. Nie pytałam i nigdy go o to nie zapytam.

Aleksander. A czy pewna jesteś jego miłości, jego wierności?

Melissa. O tém nie rozmyślałam, i zdaje mi się, że rozmyślać o tém byłoby to samo, co wątpić o tém. Bądź zdrów! (Chce odejść).

Aleksander (do siebie). Znowu ma słuszność. (Głośno). A gdyby ci kto powiedział, że cię kocha więcêj, goręcêj?

Melissa. Temu, że mnie kocha, możebym uwierzyła; że więcêj i goręcêj, tegoby nie dowiodł.

Aleksander. A gdyby rzucił ci pod nogi władzę nad światem?

Melissa. Mógłby dodać i wszystkie gwiazdy niebios, nie mogłoby mu to w oczach moich.

Aleksander. A gdybym to był ja—Aleksander?

Melissa. Tém mniej pomogłoby tobie, panie. Przed chwilą mogłam jeszcze mieć współczucie dla ciebie, teraz i tego mieć nie mogę; nie byłaby to zresztą żadna przysługa, aby tak biédne dziewczę, jak

ja, miało współczucie dla władzcy świata. (*Stanowczo*) Ale dłużej mię tu nie zatrzymasz! Idę szukać Parmeniona!

Aleksander (*dziko*). Nie ujdiesz mi, piękna żmijo! (*Zastępuje jej drogę*). Żony królów i satrapów azyatyckich kłękały w prochu przed wozem mym, wiodłem je związane złotemi łańcuchami do łoża mego, a ty chcesz mi się opierać? Tylko prostota mówi z ciebie! Czy nie wiesz, że mogę zdeptać całą miłość waszą, że życie i mienie twego kochanka zależy od ściągnięcia brwi moich, że jeden cień mojej myśli zdruzgotuje, zetrze was na wieki?

Melissa. To, co mówisz, mógłby zrobić obrażony kochanek; Aleksander nigdy tego nie zrobi: jestem pewna.

Aleksander (*Coraz gwałtowniej*). Inaczej mówiąc, Aleksander nie może być człowiekiem, Aleksander nie może czuć, nie może zapłonąć namiętnością! O! ty się mylisz, na tobie dowiodę, że się mylisz: ty musisz być moją! (*Zbliża się do niej*).

Melissa. Jak lekko wymawiasz tak ważne słowa, znać, że nawykłeś rozkazywać światu, tém mniej jesteś w stanie rozumieć serca. Co mówiłeś o Parmenionie, to mnie nie przestrasza. Miłość i z bogami walczyć musi, możemy się uczyć tego na półbogu, jakim ty jesteś; tém pewniej zwyciężymy! (*Szybko odchodzi*).

Aleksander (*biegnie za nią*). Stój! Próżno!

SCENA 4.

Aleksander sam.

Aleksander. Daliej za nią, zwołam wojsko, dziś jeszcze musi być moją! Zobaczymy, kto panem w Helladzie. (*Przechadza się*). Co mi Parmenion, co mi świat cały! Serce moje otwiera się i woła jej uścisku! Jój powściągliwość mnie drażni, jój skromność dodaje mi odwagi, jój piękność doprowadza mię do szaleństwa! Dziś jeszcze musi być moją! Co mi świat? chcę kochać! (*Wybiega*).

SCENA 5.

(Z przeciwnej strony wchodzi Dyogenes, tęgi starzec, nieco przygarbiony, z długą, mocno posiwiałą brodą; w rękę trzyma zapaloną latarnię)..

Dyogenes. „Gdybym nie był Aleksandrem, chciałbym być Dyogenesem,“ rzekł do mnie wczoraj Aleksander. Rozmyślałem o tém zdaniu dzień cały i widzę, że pachnie próżnością i samolubstwem, jak wszystko, co kiedykolwiek wyszło z ust ludzkich. (*Siada*). I jemu siedzi jego maleńki Aleksander głęboko w sercu. Żal mi go, chce rozkazywać światu, a nad sobą panować nie umie. Przyszedł popatrzeć na mnie, jak na dzikie zwierzę, jak gdybym ja był szarlatanem prawdy tak, jak inni. Ale tacy wszyscy! Obwiesi szychem sków wewnętrzną

życie swoje tak, że z za tych gałganów dna nie zobaczysz! Ale powiedziałem mu swoje zdanie; i myślę, że nie bardzo zadowolony był z méj szczerości. Cynik—ha, ha! Wyrzucą zdechłego psa na słońce i dziwią się potem, że śmierdzi; gdyby go zakopali w ziemię, mieliby spokój. Głupcy, wyciągacie prawdę na światło dzienne; ta wam nigdy pachnieć nie będzie. (*Obchodzi beczkę dokoła*). Muszę uciekać ztąd; albo wkrótce stanę się osobliwością Koryntu, a tegobym przecie nie chciał. Zresztą gwiazdom wszędzie przyglądać się mogę, wody nigdzie nie brak, a na głód wynalazłem dobry środek; rozcierać ręką żołądek. Ktoś nadchodzi, wieni już na pamięć, gdzie się każdy z tych poczciwych koryntczyków co wieczór wałęsa. Tu wiele się kochają, tem gorsza to stacya dla filozofa.

SCENA 6.

Parmenion, Dyogenes. (*Dyogenes cofa się za beczkę. Parmenion, pogrążony w myślach, idzie ku przodowi sceny i zatrzymuje się*).

Parmenion. Już odszedł; chciałem wszystko mu odkryć. Żłem zrobił sprzeciwiając mu się. On jest gwałtowny, ale przytem dobry; byłem nieszczerzy z przyjacielem. Ale cóż, kiedy czekałem na nią! Ja ją tak kocham! On tego nie rozumie; przywykłszy w Azji do pustych orgii, widzi w kobiecie tylko przedmiot chwilowej namiętności. Owszem, dotąd zawsze zwierzałem mu się ze swoją miłością, ale to nie była miłość prawdziwa. A teraz na dobitkę zrobiłem zawód Melissie! Ale, bądź co bądź, tym razem ukryję cię w głębi serca, święty mój kwiecie, aby żaden śmiertelnik zuchwałem tchnieniem skalać cię nie mógł! (*Ujrzawszy Dyogenesa*). Hej, przyjacielu!

Dyogenes (*zbliżywszy się świeci mu do twarzy*). Znam cię, panie, towarzyszyłeś wczoraj temu macedońskiemu krasomówcy. Czem mogę ci służyć? Czy masz mi oznajmić co od swego pana? Utkwiło mu, widać, w głowie wczorajsze moje zdanie o nim i o słońcu?

Parmenion. Przedewszystkiem odsuń, proszę cię, tę zamgloną latarnię; napróżno szukasz.

Dyogenes. Człowieka, nie prawdaż; ty nim więc także nie jesteś: sam się do tego przyznajesz.

Parmenion. Nie mam czasu mierzyć się z tobą na słowa; ale ty, czciciel prawdy, z pewnością prawdę mi powiesz! Czy nie szła koło ciebie lub koło twój beczki dziewczica; jakby ci ją opisać...

Dyogenes (*przerzywa mu*). Wysmukła, biała jak gołębnica, wonna jak kwiat hyacyncu, cudna, zachwycająca, olimpijska, rozkosz oczom bogów i radość oczom ludzi?

Parmenion. (*z radością*). Znasz ją zatem; przechodziła tedy? Szukała kogo?

Dyogenes (*zinnno*). Nie, nie znam jój, lecz tak, jak ta twoja, wyglądają wszystkie w oczach zakochanych.

Parmenion. Nie męcz mnie i powiedz: szła tedy?

Dyogenes (z uśmiechem). Ach! drogi przyjacielu, każdego letniego wieczoru przelatuje tędy mnóstwo nocnych motyli!

Parmenion. Nędzny gaduło! Tracę czas z tobą, pójdę ję sam szukać. Powinienbyś naprzód oświecić tą latarnią swój własny rozsądek. Dobręj nocy. (Ochodzi).

SCENA 7.

Dyogenes (sam woła za nim). Nie gniewam się, przyjacielu; codzień oświecam swój rozsądek i codzień dziękuję bogom, że dotąd nie oszalał z miłości! Bądź zdrow, a wspomnij o mnie, gdy ci się będzie źle w miłości powodzić. (Do siebie). Głupiec, myśli, że ta jego jest inna jak wszystkie; nowy wzór próżności i samolubstwa; myśli, że kocha inaczej, jak wszyscy.

SCENA 8.

Wchodzi Eutyichides z kilkoma żołnierzami Aleksandra.

Eutyichides, Dyogenes.

Eutyichides (z mieczem w ręku). Hej, filozofie, nie przechodziło tędy jakie dziewczę?

Dyogenes. Czy świat cały oszalał dzisiaj za dziewczętami? Nie widziałem, przyjacielu!

Eutyichides. Nie wymkniesz mi się; żołnierze przeszukali już prawie całe miasto, a ję ani śladu.

Dyogenes. Tak to bywa, szukasz konia, a siedzisz na nim.

Eutyichides. Więc wiesz, gdzie ona! Gdzie uciekła? Gdzie się ukrywa?

Dyogenes. Kto?

Eutyichides. Ta dziewczyna, której szukamy.

Dyogenes. Albo ja wiem, kogo szukacie?

Eutyichides. Aleksander jest blisko, wścieka się jak tygrys rozdrażniony. W takim gniewie nigdy go nie widziałem. Lata jak błyskawica, a drży jak liść osiczyzny. Biada, kto wejdzie mu w drogę!

Dyogenes. I w tęp jest tylko człowiekiem. Bóg nie ruszyłby się ze swego tronu, choćby mu waryat sto razy język pokazał, a Helios nie rzuci ci swęj uprząży na głowę, choćbyś po trzykroć plunął na jego wieczne światło! Szczyty są spokojne, tylko przepaście wrą, bagniska jak zwykle bulgoczą i—śmierdzą.

Eutyichides. A ty się nie boisz gniewu światowładcy?

Dyogenes. Ja? Przyjacielu, boję się jedynej istoty na świecie: siebie. Nie znam się jeszcze dostatecznie i strach mi, by nagle nie ryknęły w mem sercu lwy, które teraz szarpia łono wielkiego Aleksandra. U kogo innego nie boję się tych potworów.

Eutychides. Mówisz podejrzenie i razem wyzywająco. Wo-
jownicy, przeszukajcie jego beczkę. Pewno ukrywa w niej to dziewczę
(*Żołnierze spełniają rozkaz*).

Dyogenes (*śmiejąc się*). O, przeszukajcie, a doniescie wiernie
Aleksandrowi, co tam znajdziecie. Tę nadgniłą tykwę, tę wytartą,
pełną pcheł opończę: to całe moje gospodarstwo. (*Żołnierze przeszukują
beczkę i kłują wewnątrz oszczepami*). Tak głęboko jeszcze nie upadłem, że-
bym miał wymagać zamkniętego mieszkania. Tam siedzi tylko nadę-
ta próżność na jajach swego skąpstwa. Moje potrzeby są potrzebami
wszystkich ludzi; tych się nie wstydzę, jém, piję i śpię jak wszyscy,
a gdyby nie deszcze i wiatry, moglibyście odnieść Aleksandrowi i tę
glinianą beczkę i oświadczyć mu odemnie, że gdybym nawet nie był
Dyogenesem, nie chciałbym być Aleksandrem!

Eutychides. Mam prośbę do ciebie, filozofie. Aleksander
wścieka się i gniew jego szuka celu. Z ust jego co chwila wybiega
imię Parmeniona. Nie wiem, czem zawinił, ale słuchaj, Parmenion
jest mi przyjacielem, ostrzeż go, jeżeli będziesz mógł, przynajmniej na
dzisiaj wieczór przed Aleksandrem!

Dyogenes. Rozumiem, u was ręka rękę myje.

Eutychides. Gdyby mu wszedł w drogę, nie wiem, jakby się
to skończyło, Aleksander w gniewie nie jest panem siebie. Klitusa
przebił w Suzie podczas uczty, za to tylko, iż sprzeciwiał mu się twier-
dząc uparcie, że żona satrapy Bessusa miała lisie oczy, a nie szmarag-
dowe, jak on twierdził. Ale muszę już iść, pamiętaj, dobry męzu; za-
trzymać dziewczynę i ostrzedz Parmeniona. (*Odchodzi, dawszy znak wojo-
wnikom, aby szli za nim*).

SCENA 9.

Dyogenes (*sam*). Namiętności, namiętności, puch marny, bań-
ki mydlane! Tam jeden głupiec wzburzył cały Korynt, i dlaczego?
tam drugi pierwszemu gwoli pędzi, że omało nóg nie pogubi, i dla-
czego? ja trzeci głupiec słucham tutaj ich głupstw, i dlaczego? Dla
jednej spódniczki! Nie mogła spotkać Achilleusa większa zniewaga, jak
to, że zamłodu go chowali w sukniach kobiecych! On zerwał je, i zo-
stał mężem; ci głupcy także zrywają je, ale mężami się przez to nie
staną. No, ja wam w tém głupstwie pomagać nie myślę. (*Odchodzi
do beczki, gdy wtem wbiega Melissa, zmęczona i przestraszona*).

SCENA 10.

Dyogenes, Melissa.

Dyogenes (*do siebie*). Heć, tu istotnie coś miga, jakby spódnica.
(*Podnosi latarnię*).

Melissa. Wszędzie pochodnie i szcęk mieczów! Dalej biegnąc
nie mogę. (*Do Dyogenesa*). Nie żądam, abys mnie ukrył, ale pozwól
mi odetchnąć, a potem ostrzeż jego, jego! (*Padu na ziemię*)!

Dyogenes (*świeci jęj w twarz*). Czy cię kto goni? (*do siebie*). Że piękna; to piękna.

Melissa. Aleksander: są tuż za mną.

Dyogenes (*do siebie*). To ta dziewczyna, której szukali Parmenion i Eutychedes. Dwa koguty na jedném śmiecišku. (*Do Melissy*). Ale, moje złotko, to dzieciństwo uciekać przed swém szczęściem.

Melissa. Przed swą zgubą, powiedz raczj, nieczuły mężu!

Dyogenes. Cały Korynt chciałby dziś być na twém miejscu; oprócz jednego człowieka, który się zwie Dyogenes.

Melissa (*namiętnie*). I mnie! Jesteś zatem mym sprzymierzeńcem! Tybys odrzucił jego pochlebstwa, ponieważ wyznajesz wolność i niezależność; ja je przeklinam, ponieważ wyznaję miłość. Miłość i wolność; to dwie arterye wszechświata!

Dyogenes. Szkoda, że obie przewiązane przesądem i zaślepieniem. (*Do siebie*). Podobą mi się doprawdy; jeżeli będzie można, ocalę ją.

Melissa. Ty mnie ocalisz, ty jego ocalisz, Parmenion!

Dyogenes. Przechodził tędy niedawno; pytał się o ciebie i niezbyt grzecznie odpowiadał na moje pytania. Ale ty go kochasz; no, zawsze to dla niego dobry znak, że się nań gniewa Aleksander. Tylko w wysokie drzewa gromy biją.

Melissa. Lecz nie potępiaj też Aleksandra. On nieszczęśliwy w swj sławie, opuszczony na swj wysokości.

Dyogenes. Więc kochaj go, a przyniesiesz mu ulgę.

Melissa. Nie męcz mnie dłużej! Kocham tylko Parmeniona, w nim żyję, o niego drżę. O! przeklęty los, że miłość kobiety skrępowana takimi łańcuchami!

Dyogenes. Innemi słowy to ma znaczyć, że kochałabyś chętnie Aleksandra, gdyby Parmenion nie gniewał się za to na ciebie.

Melissa. Widzę, żeś okrutny. Pójdę dalej, dokąd mnie nogi poniosą. Lecz biada, słyszysz kroki? Już idą, muszę uciekać, a nie mam siły.

Dyogenes (*po chwilowym namyśle*). Tam beczka moja! Chcesz, to wleż tam; przeszukali ją przed chwilą, drugi raz tam szukać nie będą.

Melissa. Dzięki, dzięki! Lecz ja umrę z obawy o Parmeniona! (*Odchodzi do beczki*).

SCENA 11.

Dyogenes (*sam*). Cudami brzemienna ta noc! Kobieta w méj beczce, nie wiem, jak będę spał dzisiaj. Ale ktoś nadchodzi. To Eutychedes, a za nim Parmenion. Teraz ostrożnie. (*Chowa się za beczkę*).

SCENA 12.

Eutyhides, Parmenion, Dyogenes.

Eutyhides. Proszę, ostrzegam i zaklinam cię, nie wchodź w drogę Aleksandrowi, a przynajmniej nie z mieczem w ręku. Wścieka się jak lew. Wspomnij Klitusa!

Parmenion (z mieczem w ręku). A co mi świat? A co mi Aleksander, co Klitus? Co mi życie, w którym ona zelżona i znieważona jego zuchwałym językiem. Niech przyjdzie, wyzwę go; wiem, że padnę; ale powtarzam, co mi życie!

Eutyhides. Oszalałeś! Pozwól mu się wyłóścić, a jutro wszystko będzie dobrze; cóżto, nie znasz go?

Parmenion. A tymczasem on szarpie czysty, nieskalany kwiat mój miłości, mój świętej, jedyniej miłości, depta go nogami i urąga memu najświętszemu uczuciu. O! nigdy, idę naprzeciw niego. To niegodne męża kryć się przed burzą! (Chce odejść).

Eutyhides. Stój, rozum straciłeś. Toć dotąd nie schwytał dziewczyny! ukryła się dobrze i strażę dotąd napróżno jęj szukają.

Parmenion. Ale ją znajdą, a wtedy, lepiej żeby nie żyła! Ale wściekłość moja rośnie, a w gniewie równy jestem Aleksandrowi. (Chce wyjść).

Eutyhides. Słyszę kroki. Ty nie rozumiesz siebie! Przeciw twój woli ocalał cię. (Rzuca się na niego, wtem z tyłu przyskakuje Dyogenes, rozbraja Parmeniona i wiąże mu ręce swym pasem).

Dyogenes. Dlaczego bym ci nie miał pomódz, dobry człowiecze! Poświęciłem sobie latarnią do twego mózgu i zobaczyłem, że jest nieco przypalony.

Parmenion. (Padając na jedno kolano). Zdrada! Więć jestem zdradzony! I uczestniczył w tem mąż taki, jak Dyogenes! O hańba! hańba! Teraz dopiero z radością bym się rzucił...

Dyogenes. I daj pokój, my cię rzucimy, że będziesz spokojny za chwilę, i jaki spokojny! Jak mysz przy pełnym worku zboża.

Eutyhides. Prędjéj, precz z nim! (Zatyka mu usta).

Dyogenes. Do mojej beczki go! Tam go nikt szukać nie będzie. (Idzie pierwszy do beczki, którą zastania tak, aby Eutyhides nie mógł zajrzeć do wnętrza).

Eutyhides. Dobra myśl! Założę się, że jutro podziękuję nam.

Dyogenes. Ja się nie założę, ja wiem, że dziś jeszcze...

Eutyhides. No, a teraz muszę dalej szukać téj zbiegłój, inaczej nie uspokoi się gniew Aleksandra. Ale on tu nadchodzi.

Dyogenes. Idę mu na spotkanie. (Eutyhides szybko odchodzi na prawo, z lewej strony wchodzi Aleksander z mieczem w ręku. Dyogenes spokojnie idzie naprzeciw niego i podnosi mu aż do twarzy swoją latarnię).

SCENA 13.

Aleksander, Dyogenes.

Aleksander. Kto śmie zastępować mi drogę?

Dyogenes. (*Ciągle świeci mu w twarz i daje znaki zdziwienia*).

Aleksander (*mieczem wytrąca mu latarnię*). Do Erebu z tém kuglarstwem!

Dyogenes (*spokojnie*). No, teraz wiem znów tyle, co pierwój. Chciałem sobie tylko poświęcić, co to za nemejski lew, czy tygrys hirański tu pędzi, i dziwiłem się już, żeby to mógł być człowiek; ale teraz, myślę się; jest to jednak...

Aleksander. Ja: Aleksander!

Dyogenes. Poprostu dzika bestya.

Aleksander. Która cię rozszarpie.

Dyogenes (*wciąż spokojnie*). Być może; ale pomimo to zostanie zwykłą bestyą. Jedna z nich wabi się Daryusz, druga, Cyrus, a ta, której w twarz teraz świeciłem, jakimś przypadkiem Aleksander; to cała różnica. Jak widzisz, nie wielka. Pomimo to wszystkie razem nie warte, aby się nad niemi zatrzymywał filozof.

Aleksander. Dlaczegoż więc zatrzymujesz się, głupcze? Ciebie nie szukam.

Dyogenes. Wiem o tém; u mnie byłeś wczoraj, teraz szukasz kogoś innego.

Aleksander. Ty wiesz?

Dyogenes. Od czegoż byłbym filozofem? Szukasz siebie, Aleksander zgubił Aleksandra; dlatego wściekasz się, gniewasz się na siebie: co mi dasz, a pomogę ci szukać.

Aleksander (*nagle zdumiony*). Na co to gadanie!

Dyogenes. Ale przecież nie przekonasz mnie, że szukasz kogo innego! Chyba wreszcie, że szukasz kobiety! Zwycięzca z pod Issu i Gaugameli! Temu nie wierzę! Żli ludzie gadają, żeś zabił swego najlepszego przyjaciela, Klitusa, w sprzeczce o oczy żony satrapy Bessus. Żli ludzie gadają, żeś ją trochę kochał. Ale to są, wiesz, ludzkie gadaniny, to tak bywa. I ty masz także swój cień za sobą. I wówczas zgubiłeś siebie, a nie było jeszcze Dyogenesa, aby ci pomógł szukać twego zgubionego człowieka.

Aleksander (*który podczas mowy Dyogenesa niecierpliwie się rzuca*). Tracę czas!

Dyogenes. Potrzebny ci na zdobywanie świata? Być może, na zdobywanie siebie straciłeś go już trochę więcej, a nie gniewałeś się ani chwili.

Aleksander. Mów co chcesz, ja szukam; ale co ci do tego. Z drogi, bydlę! czyż nie jestem Aleksandrem?

Dyogenes. Oto właśnie pytanie! Widzisz, mnie nigdy nie zdarzyło się wątpić o tém, że jestem Dyogenesem. Człowiek musi dojść już do porządnj głupoty, zanim zacznie powątpiewać o sobie,

o swojej istności. Pozwól, władzco świata, abym cię pożałował. Widzę jasno: burzysz świat dla... spódnicy.

Aleksander. Mylisz się; chcę tylko ukarać zradę.

Dyogenes. Zapewne w osobie Parmeniona. I to zbyt czone. Zrada sama mści się na sobie; to gad, który gryzie swe własne ciało. Daj mu pokój, on sam się ukarze. Straci twą przyjaźń—głupiec, ze skwaru południowego wpadnie raptem w zimno grobowe.

Aleksander. Niecierpię wiarołomstwa, a on mnie zdradził!

Dyogenes. Znalazł figę, piękną, dojrzałą figę—i, filut jakiś, nie poszedł się nią pochwalić i nie dał przyjacielowi, aby jej pierwszy skosztował, aby ją zjadł, a jemu zostawił łupinę! Istotnie to zdrajca, nie przyjaciel! Aleksander jest wyższy i szlachetniejszy! Aleksander nie wahał się i dawno już swoją władzę, swoją sławę oddał Parmenionowi. O, jak wielki jest Aleksander!

Aleksander (rzuca miecz). Z głupcami trudno mieć do czynienia.

Dyogenes (zwycięzko). Aleksander znalazł siebie, zdobył więcej niż świat! (Z beczi daje się słyszeć głośny, wesoły śmiech).

Aleksander. Co to? co to za odgłos?

Dyogenes (ze śmiechem). Gruchających gołąbków! Spadło to z Olimpu na biedną ziemię. To zabrzmiały tak krople ambrozji, spadły z amfory Dyany, gdy witała swego Endymiona! Niebo uśmiecha się na ich dźwięk, a ziemia odmładza się wiosną. Młodzi zamyślają się na ten odgłos, a starcy podnoszą ręce do modlitwy. My dwaj jesteśmy tu przedstawicielami wieku ludzkiego. Zamyśl się, Aleksanderze, a ja modlić się będę na swój sposób. (Nowy śmiech).

Aleksander (dziko). Już rozumiem. Ukrywasz ich w swój beczce. (Podnosi miecz i idzie ku beczce).

Dyogenes. Idź! jest tam miejsce tylko na dwoje, a i ci muszą być kochankami. Ja tam jestem zbyt czone, a ty się już nie zmieścisz.

Aleksander (upuszcza miecz i szybko się odwraca). Bądź zdrow, dziecinny starcze! Miałem chwilę nudów i bawiłem się na swój sposób. Ale już idę. Masz słuszność: znalazłem siebie.

Dyogenes. Lecz niezupełnie.

Aleksander. Czegoż chcesz jeszcze? Nie chcę przeszkadzać ich nędzemu szczęściu!

Dyogenes. Jest ono większe, niż myślisz! Ale stój, cały Aleksander jeszcze się nie znalazł, musisz...

Aleksander. Ja, coż muszę?

Dyogenes. Nietylko im przebaczyć, ale ich przeprosić; musisz się pogodzić, musisz w ich szczęściu zapomnieć...

Aleksander. O swoim: oto gorzkie ziarno każdej mądrości.

Dyogenes. Lecz słodkie, gdy je połkniesz. Musisz zapomnieć nietylko o swém szczęściu, lecz i o swém szaleństwie. Precz z niem, precz! (Wola do beczi). Hej, pójdźcie tu, dzieci! Tato Dyogenes przyswoił wam domowego lewka, możecie go targać za grzywę, ile się wam spodoba. (Parmenion i Melissa wychodzą z beczi).

SCENA 14.

Aleksander, Dyogenes, Parmenion, Melissa.

Aleksander (podając rękę Parmenionowi). Ale jutro do Indyi!

Parmenion. Chętnie, lecz z Melissą.

Melissa. Dzięki, panie, dzięki. Nie omyliło mnie serce, gdym ujrzawszy cię poraz pierwszy, powiedziała sobie, że masz dobrą twarz. (Ściska Parmeniona).

Dyogenes. I gdyby nie kochała Parmeniona, chciałaby kochać Aleksandra.

Aleksander. Tak, gdyby tylko zdołał zawsze zostać Aleksandrem. (Podaje mu rękę). Bądźcie szczęśliwi! (Do Dyogenesa). Dziękuję ci, stary przyjacielu; przecież nie napróżno przybyłem do Koryntu. Bogowie z tobą, niech Zeus ci zachowa tę młodość i spokój!

Dyogenes. W mojej beczcze para gruchających gołąbków! Nie, teraz już niema nic nieprawdopodobnego pod słońcem; ale to jest dla mnie najlepszym znakiem, że trzeba zmykać z Koryntu. W końcu i jabym się zakochał, a wtedy ktoby mnie dopomógł szukać Dyogenesa?

Aleksander. Zwłaszcza, gdy ci rozbiłem latarnię.

Dyogenes. Już jój nie potrzebuję, starczą mi gwiazdy.

(Zasłona spada).

P R O J E T T
P O M N I K A M I C K I E W I C Z A

Wobec środków i zadań skulptury
monumentalnej.

PRZEZ

Karola Matuszewskiego.

Przyczyny niepowodzenia konkursu.—Wadliwość jego warunków.—Apatya naszych rzeźbiarzy.—Konwencyonalność pomysłów.—Zalety i wady projektu pod godłem rylca i młotka.—Model p. Dykasa.—Projekta oznaczone godłem „Obóz” i „Już widno, jasno i t. d.”—Mętność opinii prasy.—Techniczne i estetyczne warunki skulptury posagowej.—Postawa i ruch figury.—Znaczenie posagu.—Zamęt wyobrażeń.—Niestosowność napaści na komitet i autora „Spłoszonej kraski.”—Wartość szkicu Matejki.—O architektonicznych projektach pomnika w ogóle.—Nowy architektoniczny projekt publikowany w „Inżynierji i budownictwie.”—Wybór stosownego miejsca.—Uwagi z estetycznego punktu widzenia.—Ogólna architektonika pomnika.—Sylweta posagu.—Symboliczne i wyrazowe własności linii prostej i krzywej.—Symbolika linii prostopadłej i poziomej.—Wyrazowa strona postawy stojącej i siedzącej.—Architektonika cokułu.—Środki ekspresji skulptury klasycznej.—O wyrazowej wartości ruchów.—Wymagania pojęć nowożytnych.—Kwestya ubioru ze stanowiska rzeźby monumentalnej.—Ujemne strony strojów nowożytnych.—Figury obnażone, modernizowane, drapowane.—Ważne znaczenie draperyi jako jednego z środków ekspresji. Zastosowanie jój w posagu Mickiewicza—Zakończenie.

Wynik przeszłorocznego konkursu na projekt pomnika Mickiewicza, zawiódł najumiarkowańsze nawet oczekiwania ogółu. Gdybyśmy chcieli brać z niego miarę o artystycznych siłach, jakimi w zakresie skulptury rozporządzamy, wypadłoby nam chyba rozstać się do czasu z myślą uczczenia pamięci wielkiego wieszca narodowego

dłutem polskiego artysty. Żaden bowiem z autorów dwudziestu kilku szkiców i projektów nadesłanych na konkurs, nie umiał wznieść się na wysokość zadania. Nie chciałym się posunąć zadaleko, ale zdaje mi się, że żaden z nich zadaniem się tém szczerze nie przejął, nie zrozumiał jego doniosłości.

Zapewne, w rzeźbie nie rozwinęliśmy jeszcze swych sił artystycznych w takim stopniu jak w malarstwie; dalecy jednak jesteśmy od zupełnego w tym względzie ubóstwa. Prawda, że skulpturze mniej się u nas niż malarstwu poświęca talentów; ale w tym względzie nie stanowimy bynajmniej jakiegos wyjątku. Wszędzie dziś malarstwo na pierwszym rozparło się planie, jako sztuka, która obok ciesząc się równem z nią powodzeniem muzyki, najbardziej do zmysłów przemawia i najłatwiej do różnych kierunków i wymagań naginać się daje. Zresztą, w sztuce narodów chrześcijańskich rzeźba zawsze skromniejsza wobec malarstwa zajmowała stanowisko, ustępując mu pierwszeństwa, jako posiadającemu więcej środków do subtelnego cieniowania stanu duszy, a więc odpowiedniejszemu do uzmysłowienia estetycznych i religijnych ideałów, jakie nowe czasy odrodzonej w duchu nauki „Syna człowieczego” ludzkości z sobą przyniosły. Przyznać jednak trzeba, że nigdy może nie wzięło ono tak stanowczej nad nią jak za dni naszych przewagi; co jest niezawodnie jednym z charakterystycznych znamion epoki, w której wszystko życie estetyczne coraz wyraźniej zmysłowy przybiera kierunek.

Sztuka nie rozporządzająca potężnym arsenałem środków oddziaływania na nerwy, sztuka, której cała estetyczna potęga zawarła się w pięknych kształtach i rytmicznych liniach—a taką jest właśnie skulptura—nie może dziś liczyć na wielu zwolenników. Témbardziej, że zmuszona jest bądź co bądź wytrwać na swém odosobnionem stanowisku, z którego gdyby zeszła, jużby sztuką w jęj istotnem znaczeniu być przestała. Prawdy tej dowiódł nam już nie jeden z współczesnych artystów swemi utworami. Więc chociaż tłumy, idąc za kierunkiem panujących wiatrów, odwracają się od niej i w inną ciągną stronę, właściwa jęj godność nie pozwala pójść za nimi tam, dokądby ją zaprowadzić chciano.

Dlatego też obok mas są wszędzie, są i u nas, choć nieliczni rzeźbiarze, którym na zdrowym estetycznym instynkcie nie zbywa; którzy pojmują to jasno, że z tradycjami posągowego piękna zrywać nie mogą i nie powinni, już choćby tylko dlatego, że nic innego w zamian daćby nie potrafili. Każde bowiem zboczenie w kształtach od idealnego, prototypowego piękna, każda brzydota choćby pod najmłodszym do rzeźby przedefraudowana tytułem, choćby ją artysta okupił osiągnięciem dosadnej—dziś kto wie czy nie bardziej od piękna poszukiwanej charakterystyki,—utrwalona nazawsze w spiżu czy marmurze, będąc ustawicznie na oczach, musiałaby odrazą przejmować, zamiast budzić uczucie estetycznego zadowolenia. Gdyż ani optyczne złudzenia, ani magiczny czar harmonijnej gry barw, nie maskowałby tych ujemności przed oczyma widza, jak to miewa często miejsce w utworach

pędzła. Dla takich artystów—a ukazujące się różnemi czasy utwory dłuta na wystawach w Warszawie i Krakowie mogły były utwierdzić nas w przekonaniu, że ich istotnie posiadamy — zadawające wywiązanie się z konkursowego zadania nie byłoby nad siły.

Zatém bynajmniej nie w braku sił artystycznych leży przyczyna niepowodzenia konkursu; szukaćby jój raczjć należało albo w nieodpowiedniej redakcyi warunków konkursu, któremi nie umiano zainteresować wybitniejszych talentów i zachęcić ich do podjęcia zadania—oczywistém się bowiem stało, że udział w konkursie wzięły prawie wyłącznie siły młode, niewyrobione, z warunkami monumentalnej skulptury rachować się nieumiejące;—albo téż w dziwnej tym razem doprawdy apatyi artystów, którą chyba w ten sposób musielibyśmy sobie wytłumaczyć, że nawykłszy do zużywania swych talentów na utworach podrzędneho znaczenia, gdy się znaleźli naraz w obec poważnego zadania, zwątpili nagle w swe siły, i jakby wielka postać narodowego wieszczka nie zdolna była wykrzesać z ich piersi iskry prawdziwego natchnienia, opuścili bezwładnie dłonie. Przyjrzyjmy się tym rzeczom bliżej.

Co do warunków konkursu, te istotnie nie stawiały zadania określonego dokładnie i wyczerpująco. Najprzód nie dawały żadnych wskazówek co do głównej idei pomnika; zkąd poszło, że wszystkie niemal projekta na konkurs nadesłane, traktowane były w sposób konwencyonalny, przeważnie dekoracyjny; że autorowie ich ubiegali się przedewszystkiém o strojność cokułu, upiększali go figurami, płaskorzeźbami i różnemi trafnymi i nietrafnymi dodatkami; zaś posąg samego poety zbywali pobieżnie, traktując go jakby od niechcenia, jakby coś dodatkowego; zamiast przeciwnie, w nim streścić całą ideę pomnika. Dalj, nie wyznaczono miejsca na pomnik, które, jak każdy to łatwo zrozumie, przez artystę przystępującego do konkursu a pojmującego należycie zadanie, musi być koniecznie wzięte w rachubę. Począwszy bowiem od głównej figury a skończywszy na cokule, inaczej rzecz musi być obmyślana i traktowana gdy pomnik ma stanąć przy murze, inaczej znów, gdy wyznaczono mu miejsce na otwartym placu; a i to nawet, czy ów plac szczupły jest czy obszerny, czy pomnik otrzyma za tło takie lub inne otoczenie, bywa w tym razie bardzo decydującego znaczenia.

Intencya redaktorów warunków konkursowych jest zresztą łatwa do odgadnięcia: nie chcieli oni prawdopodobnie krgpować polotu wyobraźni artystów, pragnęli jaknajmniej pętać ich narzuconemi wymaganiami; ile że chodziło dopiéro o konkurs wstępny, będący niejako wędką zarzuconą na pomysły artystów, w których następnie komitet mógłby się należyście rozpatrzyć, na odpowiadających najlepiej zadaniu osnuć ogólną ideę pomnika, i stosownie do niej sformułować dopiéro warunki stanowczego konkursu. Jeśliśmy odgadli intencją komitetu, to trzeba przyznać, że z teoretycznego punktu widzenia nie była ona pozbawiona pewnej racjonalnej podstawy. Niestety je-

dnak chciało, że praktyka zawiodła; skutek konkursu zupełnie bowiem nie odpowiedział oczekiwaniom.

Z apatyą artystów,—jeśli wynik konkursu ma być jój objawem, trudno zaiste się pogodzić, a jeszcze trudniej dopatrzeć się jój źródła. Miałażby ona świadczyć, że nasi rzeźbiarze myślą gdzieś w obcym nam obracają się świecie, nie zdolni do odczucia i uzmysłowienia dźwiękiem idei przenikającej wszystkie serca i umysły; że ich wprost nie stać na godne uplastycznienie w posagowych rysach téj czci, jaką cały naród żywi dla największego swego poety? Uwierzyć w to trudno, żeby nasz Adam, który w literaturę narodową tchnął nowe życie i najświetniejszy w jój dziejach otworzył okres; że poeta, który utworami swemi tlejącą w skołataném społeczeństwie iskierkę rozniecił w płomień wielkiej miłości i takie porywające przed nami rozwinął jój obrazy, nie zdołał natchnąć szczerym zapalem żadnego z współczesnych nam artystów! Czyżby od czasu, kiedy żył i działał, cierpiąc i kochając za milion, miały tak z gruntu zmienić się nasze społeczne ideały, że i on sam stał się dla nas czémś obcym, przedawnioném, niezdolnym rozplómić ognia świętego w żadnej artystycznej duszy?

A może źródła téj obojętności należałoby szukać w oziębieniu się duchowej temperatury dzisiejszych pokoleń? Trzeba tu jednak odróżnić pozory od rzeczywistości. Weszło od pewnego czasu w modę prawić szeroko o potrzebie wyleczenia się z jakichś mrzonek, o potrzebie trzeźwości; co pozwala niejako domyślać się, że w przekonaniu autorów téj recepty cały ogół społeczeństwa w pijanym dotąd kołował szale. Spotykamy niemało dokoła próbek owéj zachwalańej trzeźwości, a dodać tu muszę, próbek nie bardzo nęcących. Jedną z jój cech jest wywracanie wszystkiego na nice, od dziejów ojczystych począwszy. Niektórzy z jój apostołów, obdarzeni śmielszą naturą, nie wahają się targać szorstką ręką na ideały, które narodowi długo w życiu przyświecały, które część jego moralnej stanowią istoty i w które dotąd wierzył nie przestał. Świetna plejada naszych poetów, z Mickiewiczem na czele, rozbudziła uśpionego ducha w narodzie i nową w dziejach jego umysłowego odrodzenia inaugurowała erę. Ogół wierzył w to dotąd, jako w fakt niezaprzeczony a doniosły w dobroczynnych skutkach; i otaczał religijną czcią i miłością tych wielkich pieśniarzy, którzy tak wymownie umieli wypowiadać wszystkie nasze niepokoje, bóle i nadzieje. Aż tu oto zaczynają nam dowodzić, że wpływ rozbudzonej poezji narodowej na umysłowy rozwój społeczeństwa był zgubnym, bo je niepotrzebnie rozmarzył, stając się przez to samo przyczyną jego późniejszych klęsk i gorzkich zawodów. Recepta znowu ta sama.

Gdybyśmy przypuścili, że ta szczególniejszego rodzaju trzeźwość, we wszystkich swych odmianach i gatunkach, ogarnęła istotnie szersze społeczne koła i udzieliła się naszym artystom dźwiękiem, wówczas, naturalnie, zrozumiałą stałaby się dla nas obojętność ostatnich wobec podjętej przez ogół myśli uczczenia Adama pomnikiem. Nie odmówili wprawdzie przyłożenia swéj ręki do dzieła, lecz zabrali się do niego

tak, jak przystąpiliby do ułożenia projektu na pomnik pierwszej lepszej literackiej lub innej jakiej znakomitości, na trzeźwo, bez odrobiny natchnienia, zastępując zapał twórczy konwencyonalną retoryką snycerskich i architektonicznych kształtów. Ale powyższego przypuszczenia właśnie dlatego wziąć za dobrą monetę nie można, że w gruncie rzeczy nic za niemi, prócz pozorów, nie przemawia. Trzeźwe owe głosy, jak wszystkim wiadomo, przebrzmiały, znalazłszy słaby zaledwie odgłos w niektórych grupach społecznych; ogół w pole wywieść się nie dał. Wié on téż dobrze, co winien pamięci największego swego wieszacza; zaś projekt wzniesienia mu pomnika, poparty powszechnymi składkami, najwymowniej tego dowodzi. Tak samo nikt nie uwierzy, żeby sfery naszych artystów, sfery przywykłe obracać się myślą w świecie piękna i ideału, okazać się miały płodniejszym gruntem dla posiewów owego ziarna mniemanéj trzeźwości, którego sztuczna hodowla u nas, jak się spodziewać należy, nigdy ścian cieplarnianych nie przekroczy.

Jeśli się nie mylę, to lichy wynik konkursu wypadnie przypisać nie żadnej z dwóch tych przypuszczalnych przyczyn, lecz wpływowi mnóstwa nieobliczonych, drobnych, prawdopodobnie czysto specjalnych okoliczności, które, tamując swobodę ruchów każdego z artystów z osobna, w ogólnej swéj sumie udaremniły usiłowania komitetu. I stała się rzecz istotnie dziwna, niepojęta: rzeźbiarze, którzy wobec skromnych naszych stosunków nie często mają możność wykazania swych sił w monumentalnej skulpturze, nie skorzystali z rzadkiej a jedynej w swoim rodzaju sposobności rozwinięcia na szeroką skalę swego talentu, sposobności tworzenia z zapałem i przekonaniem, a więc w warunkach wyjątkowo przyjaznych, bo dających prawdziwym talentom niezawodną rękojmię powodzenia.

Wracając do przeszłorocznego konkursu, jednym z jego błędów było i to, że nie zrobiono stanowczego zastrzeżenia co do formy, jakiej koniecznie trzymać się powinien każdy z artystów, pragnących wziąć udział w konkursie. Członkom komitetu należało koniecznie porozumieć się z sobą w tym względzie, zgodzić się czy to na szkic rysunkowy, czy na projekt modelowany, tudzież oznaczyć wielkość skali, i postanowienie swe uczynić obowiązującym dla konkurujących. Tym sposobem ustaliłaby się niejako ogólna dla wszystkich pomysłów norma. Byłaby to norma, co prawda, czysto zewnętrznej, technicznej natury, nie pozostająca w żadnym związku z wewnętrzną wartością tego lub owego projektu; ale tém niemniej ważna, z tego mianowicie względu, że sprowadziłaby wszystkie konkursowe pomysły do jednego mianownika, ułatwiając przez to niezmiernie rozpatrzenie się w nich sędziów i wydanie słusznego, bo na dokładném porównaniu opartego wyroku. Brak téj ogólnej normy spowodował, że gdy jedni nadstawili projekta w kształcie plastycznych modeli, inni wykonali je wodnemi farbami, inni jeszcze poprzestali na zaznaczeniu swych pomysłów piórem lub ołówkiem, w formie mniej lub więcej skończonéj, a byli i tacy, którzy przystępując do dzieła z większą dozą zarozumienia, niż świadomości

togo, o co chodziło, nie wahali się przedstawić na konkurs dorywczych, nakreślonych niedbale szkiców. W liczbie ostatnich znalazło się niemało takich, co do których doprawdy niewiadomo było czemu się bardziej dziwić, czy zuchwalstwu, czy niedołęztwu ich autorów; czy śmiać się z tych próbek niezdatnych, czy gorszyć się lekkomyślnością, z jaką ludzie pozbawieni wszelkich artystycznych kwalifikacji do poważnego stawili się zadania!

*

*

*

Stracilibyśmy zaiste czas, gdybyśmy chcieli zatrzymywać się tu nad artystyczną wartością każdego z nadesłanych projektów; nietylko bowiem większa ich liczba takiej wartości w najmniejszym nie posiadała stopniu, ale i te nieliczne nawet, które do lepszych należały, nie wniosły do idei pomnika żadnej świeżej, głębszej, prawdziwie artystycznej myśli. W ogólności żaden z nich nie wychodził z granic szablonowego, konwencyonalnego pomysłu, a co gorsze, autor żadnego z nich, jak to już powiedziałem, nie umiał wzniesić się do pojęcia postaci Mickiewicza, jak się ona na tle współczesnych mu zarysowała stosunków; nie zrozumiał myśli narodu, której zamierzony pomnik miał za plastyczny służyć wyraz.

Jedynym wyjątkiem w tym względzie, wyjątkiem zresztą dalekim od zaspokojenia estetycznych wymagań monumentalnej skulptury, był projekt opatrzony godłem ryłca i młotka. Przynajmniej postać Mickiewicza, w płaszczu zarzuconym na jedno ramię i umiejętnie udrapowanym, miała w sobie coś istotnie godnego, szlachetnego, jeśli nie majestatycznego. O żadnym innym projekcie powiedzieć już tego nie można. Zbyt strojne atoli wystylizowanie cokułu, podzielonego na kilka kondygnacji i zanadto poczłonkowanego pilastrowaniem, gzemkami, tudzież różnemi występami, schlebiając częściej architektonicznej dekoracji, nie odpowiadało spokojnej powadze samego posągu; jak nie odpowiadały jój wreszcie owe latarnie, ustawione na rogach podstawy pomnika. Jeszcze bardziej powiększały ten przeważnie dekoracyjny charakter pomnika figury otaczające właściwy, trochę może zachudy i zawysoki piedestał. Mnie się zdaje, że wszelka dekoracyjna parada, czy w ten, czy w inny przeprowadzona sposób, chybiałaby tu zawsze celu. Bo choćby pomnik zyskał przez nią wiele na zewnętrznej ozdobności, straciłby jednocześnie musiał na powadze i prostocie, na téj surowej godności, która jedynie licuje z myślą pomnika Adama. Nie ozdobność jest tu przecież głównym celem zadania, lecz idea pomnika; a ta właśnie nie łatwo z nią pogodzić się daje. Z drugiej znów strony figury te, choćby najlepiej obmyślane, już dla tego samego, że ich jest kilka i że z samego rozmieszczenia swego musiałyby bardziej wpadać widzowi w oczy, niż sam posąg poety, ścierałyby na się najprzód jego uwagę i tym sposobem odwracałyby ją od głównego przedmiotu; tém bardziej, że posąg poety umieszczony został na podstawie zbyt wysoko spiętrzonej, oddalającej go zanadto od widza, który stanąwszy u pod-

stawy pomnika, musiałby głowę zadzierać, żeby się mu przyjrzyć, a przytém widziałby go zawsze niedokładnie, bo w wielkiem skróceniu; z dalszego zaś punktu widzenia, umozębniającego mu objęcie okiem całości, musiałby poprzestać na ogólnej sylwecie, w jedną zlewającą się masę, i straciłby znów z widoku wszystkie szczegółowe piękności dzieła.

Spokojniej i trafniej pod względem ogólnej architektoniki pomyslanym okazał się model pomnika pod godłem „spłoszona kraska.“ Pomimo nieco zadrobiazgowego poczonkowania piedestału, mimo czterech figur które się u jego podstawy na węglach cokułu rozsiadły, przez co znowu środek estetycznej ciężkości przeniesiony został niebardzo właściwie na dekoracyjną stronę pomnika, zamiast spocząć w głównej figurze, posiadał on niezaprzeczenie najwięcej monumentalnego charakteru. Ogólna sylweta pomnika, w kształt piramidy ujęta, przy dość szerokiej względnie jego podstawie, nadawała mu wyraz mocy, trwałości, powagi; co oczywiście za dodatnią jego stronę uważać musimy. Z tych też zapewne powodów sąd konkursowy uznał wspomniany model za najlepszy i nagrodą go uwieńczył. Autorem jego jest p. Tomasz Dykas, kształtujący się w Wiedniu pod kierunkiem Zumbuscha. Atoli wyróżnienie projektu śród innych, nie jest jeszcze uznaniem go za bezwzględnie dobry, godny rzeczywistnienia. Do takiego uznania model p. Dykasa w żadnym razie rościć pretensyi nie może. Przedewszystkiem ma on to wielkie a l e, że nie jest pomnikiem Mickiewicza. Na to zgodzili się wszyscy. Figura samego poety, siedzącego na fotelu, w długim zapiętym pod szyję surducie, z książką na kolanach, jest pomysłem bardzo nieszczęśliwym, świadczącym że p. Dykas myślał o wszystkim, tylko nie o tém, co główną treść zadania stanowić powinno. Załatwiwszy się jako tako z podstawą, gdy przyszło do modelowania posągu, stanął naraz jakby wobec zadania przerastającego o wiele jego siły. Zdaje się jakby sam nie wiedział co ma wyrazić, jakby nic do wyrażenia nie miał. Tem tylko chyba wytłómaczyć można, że nie wyzyskał głównych środków, jakimi rozporządza posągowa skulptura, która największą swą siłę wyrazową czerpie w sytuacji, w postawie figury i symbolicznej naturze linii opisujących sylwetę. Dobre zrozumienie tego estetycznego prawidła, nie pozwoliłoby z pewnością artyście zaprojektować posągu Adama w postawie siedzącej. Niżej powrócę jeszcze do tego przedmiotu.

Inne projekta, jak pod godłem „Obóz“ i „Już widno, jasno, z góry na ludy spojieram,“ jeszcze w mniej korzystném przedstawiły się światłu. Ubóstwo myśli walczy w nich o lepsze z nieznaną warunków monumentalnej skulptury, nie mówiąc już nic o pojęciu figury poety, w której nie poznałby Mickiewicza ten, co przywykł w nim widzieć uosobienie odradzającej się narodowej myśli, i łączyć z jego imieniem najświetniejszą epokę narodowej poezyi. Tak np. w pierwszym z nich (godło: obóz) widzimy coś naksztalt kassy ogniotrwałej czy czegoś podobnego, zaprojektowanego naturalnie w powiększonych wymia-

rach, w stylu epoki odrodzenia, bardzo zresztą niekonsekwentnie rozwiniętym, z płaskorzeźbami zajmującymi każdą z czterech ścian. Oryginalny ten piedestał ma podstawę z kilku stopni, opatrzoną po rogach osobnemi cokułami, na których umieszczone zostały cztery figury: Wiary, Nadziei, Miłości i Sławy. Na wierzchołku zaś trzy szafy czy piedestały, zakończonemu u góry niesmacznie w kształcie jakby dachu o gzym-sowym profilu, stanął posąg Mickiewicza, w butach z długimi cholewami i zarzuconą pretensjonalnie na wierzch ubrania draperyą; co jedno z drugim tak się godzi, jak kwiatek z kózuchem. W lewej ręce trzyma książkę, prawą dla konwenansu położył na piersi, co przecież nie dodało powagi figurze, nie mającej w sobie zgoła nic posągowego; wygląda też ona dziwnie po cudacku, prosto śmiesznie.

Drugi, wykonany wodnemi farbami (godło: już widno i t. d.) okazał się słabym zarówno w architektonice piedestału jak w obmyśleniu samego posągu. Mickiewicz, stojący na kamieniu umieszczonym na piedestale (dlaczego nie bezpośrednio na tym ostatnim!) pojęty został bardzo prozaicznie, że nie powiem poziomo; do czego niewątpliwie w znacznym stopniu przyczyniło się jego ubranie. Wskutek dziwnie niestetycznej sylwety, zeszcpeconej osobliwie kawałkiem jakiegoś szmaty, którą mu projektodawca na rękę zarzucił, wygląda tak, jakby dla żartu jedną z poł surduta przez rękę przewiesił. Cóż tu mówić o godności figury. Zapewne, że nie jeden z drobnych a rażących szczegółów daje się łatwo usunąć gdy sam pomysł jest dobry. Ale do wspomnianego projektu stosować się to nie może. Piedestał otaczają (jak zawsze) dekoracyjne figury, między którymi jest para uosabiająca „Niemen i Wilię,“ w czem autor złożył dowód, że mu braknie tego estetycznego taktu, który kazałby mu zatrzymać się u granicy, gdzie się kończy panowanie rzeźby a inne już rozpoczynają sztuki; inaczey nie próbowałby interpretować dźwiękiem tego, co tylko słowem da się wyrazić.

Oprócz tych, były jeszcze projekta (jak pod godłem „pierwszy pomysł i kilka innych,“) które choć równie nie czyniły zadość wymaganiom, przecież korzystnie się wyróżniały z pośród znacznej większości szkiców zupełnie lichych, wystawionych jakby na urągowisko. Nie zajmę się tu jednak oceną tych projektów, bo nie dałoby się wycisnąć z nich nic, coby dla ogólnej idei pomnika, w interesie stanowczego konkursu, spożytkować się dało. Zresztą wyręczyli mnie już w tym względzie dawno tutejsi krytycy, zgodziwszy się prawie jednomyślnie, że żaden z nich nie odpowiada zadaniu.

Tu jednak każdy, kto zainteresował się szczerze sprawą pomnika i pragnąłby w niej światła zaczerpnąć, słusznie mógł zadać sobie pytanie: na czem mianowicie zadanie to polega, jakie jest jego z estetycznego stanowiska sformułowanie? Otóż w tym punkcie głosy naszych krytyków i sprawozdawców okazały się mniej jednomyślnemi, stanowczemi, mniej nawet jasnemi. Wydać się to musiało tém dziwniejszém, że projekta nadesłane na konkurs, bez względu na swą wartość, nastęrczały wyborną po temu sposobność. Tymczasem żaden

z krytyków, rozbierających bardzo szczegółowo warte tego i niewarte pomysły, nie wziął ztąd pochopu do wyłożenia jasno, w czém tkwi istota zadania, choćby tylko z czysto formalnej jego strony, i nie postarał się rozwinąć zdrowych estetycznych zasad i poglądów, które właśnie stanowiłyby praktyczną stronę ich krytyki; bo najprzód nie pozostałyby bez pożytku dla ogółu czytelników, a powtóre, przydałby się mogły i niejednemu z artystów zamierzających wziąć udział w przyszłym konkursie, a może, kto wie, i któremu z sędziów powołanych do wyrokowania o artystycznej wartości pomysłów, jakie następny zgrozadzi konkurs. Zauważyłem owszem, że wszystko to co pisano w tym przedmiocie, snadniej mogło zagmatwać niż rozjaśnić estetyczną stronę sprawy; i zamiast oddziałać zachęcająco na talenta, odstręczyć je raczej surową krytyką, opartą na wymaganiach niewyraźnie, półgębkiem wypowiedzianych, a więc niezrozumianych i do zaspokojenia niepodobnych.

Przedewszystkiem od artysty nie powinniśmy wymagać więcej n.d to, co sztuka dać jest w stanie. Pamiętać trzeba, że rzeźba nie pokonywa materji w takim stopniu jak malarstwo, że jest sztuką mniej od niego uduchowioną, zależniejszą od materiału, że w innych zgoła postawiona jest estetycznych warunkach. Oparte na pozorach i złudzeniach malarstwo, dostarcza obfitego wątku naszej dopełniającej wyobraźni, wyzyskując ję współdziałanie. Rzeźba przedstawia kształty rzeczywiste, dotykalne, do pozorów i złudzeń się nie odwołuje, i dlatego sfera ję jest bardziej ograniczoną. Wyraża ona wszystko w formie skończonej, nie wymagając żadnych uzupełnień ze strony wyobraźni widza; za czem znów idzie, że takie jedynie traktować powinna przedmioty, które w zupełności wyrazić może. Zapatrywać się więc na utwory dłuta ze stanowiska, jakie zwykliśmy wobec malarstwa zajmować, i z niego dyktować ję nasze wymagania, byłoby grubym błędem. Między dwiema temi sztukami zachodzi taka różnica, jak między akcją a sytuacją. Gdy więc ruch, dramatyczność, uczucie i inne znamiona życia, są naturalnemi żywiołami malarstwa; inaczej rzecz się ma ze rzeźbą, zwłaszcza posagową. Odlany z brązu lub wykuty z marmuru posąg musi być spokojny, umiarkowany w ruchach, inaczej bowiem nie byłoby zgodności między pomysłem a ciężkim materiałem, podlegającym prawom statyki, którym rzeźba gwałtu zadawać nie powinna. Nie osiągnęłaby zaś tego celu, gdyby akcja figury była gwałtowna; bo skomplikowany ję ruch i idące za nim rozrzucenie członków, nie przedstawiając dostatecznego na jeden punkt ciśnienia, zamiast uspokajającego wrażenia mocy, trwałości, pozorem naruszonj równowagi budziłyby niemiłe uczucie zaniepokojenia, oddziaływałyby niekorzystnie na widza, którego oczy nawykły do niej we wszystkich zjawiskach przestrzennych i stale się ję domagają.

Przytem rzeźbiarz, którego dzieło domaga się oświetlenia uwydatniającego wszystkie jego plastyczne piękności, zmuszonym jest z góry jego skutki przewidzieć i do nich się zastosować. Nie znajduje się on w tém szczęśliwem położeniu co malarz, który światłociem dowodnie

obmyślić może i pędzlem go na obrazie utrwalić. To zniewala go również do nadania figurze ruchu umiarkowanego, spokojnego, do możebnego skupienia jój członków; przy nadmierném bowiem ich rozrzuceniu, gra światła, mianowicie spowodowane przez nią cienie rzucone, mogłaby wywołać najniespodziewańsze, jaknajmniej pożądane skutki.

Nietylko zresztą fizyczne własności materyału, w który artyści wcielają dłutem swe pomysły, domagają się spokoju i powagi ruchu. Ma on jeszcze inne, nierównie głębsze swe źródło. Oto co mówi w tój mierze Karol Blanc: „akcja pojedynczej figury ześrodkowuje się w jój indywidualności, nie znajdując w otoczeniu żadnego dopełnienia; dlatego właśnie powinna być powściągliwa w ruchach. Tak samo człowieka, gdy jest sam na sam z sobą, nie wychodzi z ruchów umiarkowanych—chyba gdy nim owładnie wzburzenie, gniew, lub gdy jest nie przy zdrowych zmysłach. W stanie spokoju ducha, zatapiać się on zwykł w sobie, pogrążyć w myślach; jeśli zaś oddaje się jakiemu zajęciu, czynność jego nie ma pozoru tój energii, jakiej dodałaby jój obecność drugiej osoby, jój opór moralny czy fizyczny, zniewalający go do przekonania jój umysłu, lub pokonania ciała. Jeśli wyjątkowym sposobem człowiek odosobniony oddaje się gorączkowej działalności—nie należy on już wówczas do zakresu rzeźby; może być tylko przedstawiony w malowidle.“

Cenne uwagi francuzkiego estetyka nabierają tém donioślejszego znaczenia, że posągi zwykliśmy stawiać na piedestałach, które wynosząc je ponad poziom, po którym stąpamy, wyraźnie zaznaczają to ich odosobnienie. Posąg więc przedstawia człowieka zupełnie wyodrębnionego z życiowych stosunków, i wszelki nacisk na akcesorya, mające je uprzytomniać, jest w tym razie zbyt czyny. Postawiony na piedestale, wysoko, jest on niejako apoteozą człowieka którego wyobraża, jest holdem przez ogół społeczeństwa do którego należał, czasem przez ludzkość całą mu złożonym. Tak pojęty posąg, mniejsza o to czy przedstawia zwycięzkiego wodza, czy genialnego uczonego lub wielkiego obywatela, musi tchnąć koniecznie spokojem i godnością—co akcyę figury sprowadza do możebnego minimum, wykluczając stanowczo wszelkie zamaszyste, zuchowate pozy. Posągów nie stawia się téż byle komu: bohaterowie, ludzie genialni, ludzie wielkiej sławy i zasługi mają jedynie do nich prawo. Jeśli dzieje się czasem inaczej, to dzieje się źle; wówczas posąg nie odpowiada swemu znaczeniu, bo zamiast czcią przejmować i myśl podnosić, wywołuje ruchy ramion lub pobudza do śmiechu przechodniów. Kto godzi się na takie pojęcia posągu, zgodzić się téż musi na płynące ztąd konsekwencye, przeciwnie stanowczo wszelkiej popolitości, wszelkim dążeniem do zaakcentowania myśli ubocznych, nie licujących z pojęciem prawdziwie posągowéj, monumentalnej skulptury.

Mimo ogólnie dość miernego u nas poziomu estetycznego ukształcenia, nie wątpię, że wielu artystów i znawców sztuki dobrze te rzeźby rozumieją. Wyobrażam téż sobie, jak przecierali oczy czytając

o potrzebie traktowania posągu Mickiewicza w myśl pojęć i wyobrażeń polskich; tak jakbyśmy posiadali jakąś własną estetykę, na swój wyłączny użytek; lub gdy prawiono na seryo o skryształowaniu w posągu uczuć i myśli zawartych w utworach Adama! Czy tylko szanowni krytycy nie zadaleko posunęli się w swych wymaganiach; czy sami mieli jeszcze o tém pojęcie: co jest w mocy skulptury, a co jój środki przechodzi? Mnie się zdaje, że w tych uwagach nie więcej zawiera się sensu, jak np. w owém zdaniu o jednym z projektów: że jest prosty, zbliżony do wzorów klasycznych, z poważném założeniem, choć nie licujący z duchem naszego narodu i wyobrażeniami estetycznemi. Oj! wystrzegajmy się tego specjalizowania estetycznych wyobrażeń w duchu narodowym, samoistnym; żebyśmy czasem nie stali się podobnymi do owych naiwnych stylistów, używających własnej swój, oryginalnej pisowni—z téj prostej przyczyny, że o ogólnych jój zasadach nie bardzo jasne mają pojęcie.

Dziwnego téż zamętu pojęć estetycznych dowiodło wleostronne a głośne oświadczenie się za wykonaniem pomnika według szkicu ołówkowego, pod głosem: „Si Deus vobiscum quis contra nos.“ Komitet sędziów odrzucił ten projekt jako niewykonalny. Posypały się nań za to gromy—między innemi i z Warszawy, i to wprzód jeszcze, niż mieliśmy możność szkic ów zobaczyć, porównać z innemi i ocenić. Wystarczyło, że tam gdzieś, ktoś stanął w jego obronie, i że autorem jego był Matejko. Dalejże więc za panią matką paciérz. Zrobiła się wrzawa. Zarzucono komitetowi zaściankowość, krótkowidztwo, rządzenie się koteryjnemi względami i t. d. Przyczém dostawało się zwykle porządnie i p. Dykasowi, jakby coś zawinił tém, że wraz z innymi do konkursu stanął, i że model jego za najlepszy uznano. Pan Dykas jest artystą młodym; ani słowa, jego model, jak widzieliśmy, nie wytrzymuje krytyki; lubo, jak zaznaczyłem, ma i swoje dodatnie strony, które o młodym talencie wcale obiecująco na przyszłość wróżą. Jeśli dojrzeli tych stron nasi sprawozdawcy, gdy nareszcie własnymi oczyma widzielić go i z innemi projektami porównać mogli, to zrozumieli najlepiej jak niestosownemi były ich ostre wycieczki, mogące wyrzucić wpływ zabójczy na rozwój młodego talentu, który nigdy zniechęcanym być nie powinien. Konkurs wypadł jaknajniepomysłniej; prawda, że to zawód gorzki. Co jednak za pożytek z owych wrzasków, zaprawnych żółcią i nieprzyzwoitemi insynuacyami, jakie prasa z tego powodu podniosła? Témbardziej, że kto wie, czy ona sama bierném swém zachowaniem się nie przyczyniła się potrosze do tego niepowodzenia. To pewna, że nie uczyniła nic dla spopularyzowania sprawy pomnika, że nie próbowała przez gruntowne jój roztrząśnięcie ze społecznego i estetycznego stanowiska zachęcić artystów, dać im do pracy bodźca, którego, niestety, jak się okazało, tak bardzo potrzebowali. Ależ, powiedzą mi, nic podobnego nigdzie nie ma miejsca. Zapewne; ale u nas wszystko się jakoś inaczej złożyło; nawet stanowi-

sko naszój prasy względem ogółu jest wyjątkowém, inném niż gdzieindziej, co ona sama, i to jój zasługę stanowi, dobrze pojmując.

Odbiegłem zadaleko od szkicu Matejki. Wielki mistrz pędzla pojął rzecz po swojemu, oryginalnie, ale... po malarsku zupełnie. Zgrupowawszy dokoła kolumny kilkudziesiąt postaci wziętych z utworów poety, na jój szczycie umieścił — nie posąg Mickiewicza, lecz uosobienie „Ody do młodości.” Pomysł bezwątpienia fantastyczny; ale nie praktyczny, nie uwzględniający technicznych środków rzeźbiarstwa, do wykonania niepodobny. Jest to zresztą szkic w formie niestęchanie luźnej, zaniedbanej, kilku grubemi, dorywczemi rysami ołówka jakby na poczekaniu skreślony; daje on ledwie słabe pojęcie o myśli projektodawcy, której się dopiero domyślać trzeba, a której w szczegółowym rozwinięciu nie zawsze nawet domyślić się można. Cóż tu więc o artystycznych zaletach mówić! Dlatego też wszystkie owe entuzjastyczne pochwały, podnoszące wysoko estetyczną wartość tego mniemanego projektu pomnika, zaliczyć muszę do urojeń wyobraźni. Dziwna rzecz, że za przyjęciem i wykonaniem tego projektu najwięcej z różnych stron przemawiano, któryś nawet z kronikarzy gorąco wziął go w obronę (na dobrą wiarę, bo go sam wówczas jeszcze nie widział), głosząc w zapale, że o samego Mickiewicza mniejsza, że nam nie chodzi przecie o unieśmiertelnienie jego nosa, oczu i t. d. Co do mnie, wyznaję, że pomnik Mickiewicza bez Mickiewicza, wydaje mi się niedorzecznością.

Z tój racji chybiały celu wszystkie protekta czysto architektoniczne. Jeśli bowiem rzeźba, zdolna odtworzyć w rzeczywistych kształtach zewnętrzną postać człowieka, przemawiająca zatem do naszój wyobraźni jego rysami, wyrazem twarzy, postawą, ruchem i całym charakterem figury, z tém wszystkiém nie bez trudności naginać się daje do wyrażenia idei, i to w pewnym tylko, niezbyt obszernym zakresie; to architektura, sztuka form nie wypełnionych żadną życiową treścią, sztuka której środkami ekspresji są tylko linie, płaszczyzny i wymiary, która przemawia jedynie językiem symbolicznym, jest pod tym względem nierównie bardziej ograniczoną. Odzwierciedla ona wprawdzie dość ściśle umysłowy nastrój danego narodu w danój dziejowej epoce, staje się niejako skryształizowaniem ożywającego ją ducha; ale na każdy poszczególny przypadek, na uzmysłowienie tój lub owój wyraźnie określonej myśli, idei, braknie jój zgoła środków. Dla tych powodów, tak zresztą jasnych, że się nad niemi dłużej tu zatrzymywać nie widzę potrzeby, żaden projekt pomnika Mickiewicza obmyślany wyłącznie lub przeważnie w architektonicznych formach, nie odpowiada zadaniu.

Ale na świecie, jak to trafnie nasze przysłowie opiewa, co głowa to rozum. Rzecz choćby najjaśniejsza, nie każdemu się równie jasną być zdaje. Mimo więc że wszystkie poważniejsze głosy krytyki, nad architektonicznymi projektami ostatniego konkursu, przeszły do porządku dziennego; mimo przytoczonych wyżej technicznych i estetycz-

nych racyi, które przynajmniej każdemu z artystów i piszących o sztuce powinny dobrze być znane: wynurzył się w Warszawie nowy architektoniczny projekt pomnika. Ha, trzeba się mu przyjrzyć. Ułożony w napuszonym stylu pierwszego cesarstwa, przedstawia się on w kształcie jakby świątyni, kaplicy, grobowca, czy czegoś podobnego i składa się z trzech kondygnacyi. Najniższa z nich, rozwinięta z kwadratu, opatrzona jest z czterech stron doryckimi portykami z wiodącymi do nich stopniami, tak, że plan otrzymuje postać greckiego krzyża. Powyżej portyków, budowla przechodzi z kwadratu w ośmiobok, tworząc zewnątrz cztery narożniki, przeznaczone na pomieszczenie tyłu grup rzeźbionych; wyżej jeszcze zmienia się w krąg, przybierający zewnątrz postać fryzu, obiegającego dokoła budynek i dekorowanego suto płaskorzeźbą. Dopiero ponad tém wszystkiém, na dwunastu korynckich kolumnach, wznosi się kopuła. Środek budowli, przez całą wysokość dwóch dolnych pięter, zajmuje gruby okrągły filar, wkoło którego wiją się schody, i który zarazem służy za podparcie piedestału, na którym pod wspomnianą już kopułą, otoczony kolumnadą, ma stanąć posąg Mickiewicza. Wnętrze kopuły i parteru, zdobią w projekcie malowidła ścienne. Krótko mówiąc, cała ta szumina budowla jest tylko zamaskowaną klatką schodową; zewnętrznym strojnym pozorem nie odpowiada wewnętrznemu swemu znaczeniu, grzeszy brakiem szczerości. Parter stanowi może rodzaj vestibulum; ale z częścią środkową, ciasną i w dodatku ciemną, niewiadomo co zrobić. A i sam posąg poety, umieszczony pod kopułą, byłby prawie stracony dla oczu: zewnątrz zasłaniałyby go kolumny, wewnątrz zaś brak miejsca nie pozwalałby przyjrzyć się mu z właściwego oddalenia. Wartoż się wspinać po kilku piętrach, żeby otrzymać liche miejsce na umieszczenie posągu, skoro je bezwarunkowo stosowniejsze i dostępnejsze na każdym placu publicznym znaleźć można? Projekt przeznaczony jest podobno na przyszły stanowczy konkurs: nie wypadłoby więc może uprzedzać zdania, jakie o nim wydane zostanie. Ale projekta konkursowe trzymane bywają zwykle w tajemnicy, autorowie ich publicznie z nimi przed czasem nie występują; tymczasem projekt o którym mowa, publikowały aż dwa tutejsze czasopisma: „Inżynierya i budownictwo” i „Kłosa;” co mnie dostatecznie usprawiedliwia. Przyznam się téż, że nie bardzo rozumiem, jakim sposobem może być wykonana praca na zadanie konkursowe jeszcze nie ogłoszone, którego warunki nikomu jeszcze znane być nie mogą. A co się stanie z owym projektem, jeśli komitet zajmujący się sprawą budowy pomnika, w warunkach mającego się ogłosić konkursu wyraźnie zastrzeże, że przyjmowane będą wyłącznie tylko modele plastyczne, w zwykłej formie pomników (posąg na piedestale)? Czy nie szkoda będzie straconego czasu?

*

*

*

Chaos zdań i poglądów, puszczonych w obieg z powodu sprawy pomnika Mickiewicza, skłania mnie do poruszenia tu niektórych kwe-

sty estetycznej natury, bardzo z nią blizki mających związek. Wiele rozprawiano o wyborze stosownego na pomnik miejsca. Większość głosów oświadczyła się za głównym rynkiem Krakowa, i zdaje się z wszystkiego, że komitet przychylił się do tej opinii. W ogóle sprawie miejsca zawiele przypisano znaczenia. Zapewne, najbliższe otoczenie pomnika—tło, jakie otrzyma, nie są to rzeczy do lekceważenia; ale właśnie nie zdaje mi się, żeby na rynku, którego środek zajmują już Sukienice, było odpowiednie dla niego miejsce, już choćby ze względu na gwar targowy i sklepowy, jaki w tej części miasta panuje, a który może niekoniecznie licować z nim będzie. Możeby się dał inny, stosowniejszy znaleźć plac w Krakowie; ale nie myślę wszczynać w tej materii ledwie przycichłych sporów, bo, zdaniem mojem, rzecz to mniejszej wagi. Chodzi głównie o artystyczną wartość samego pomnika, i w tej mierze mam to i owo do nadmienienia.

Ogólny zarys pomnika, jak każdego przedmiotu posiadającego określone wymiary i zajmującego część przestrzeni, ujęty jest w linie, które na tle nieba, zieleni, czy na jakiegobądź tle innem, rysują jego sylwetę. Już sama taka sylweta, szczególnież posągu, nie jest pozbawiona pewnej wyrazowej siły, zawisłej od natury opisujących ją linii, od różnych ich estetycznych własności. Przyroda daje nam wspaniałe przykłady wyrazowego piękna różnych widoków, zawisłego jedynie albo w znacznym przynajmniej stopniu od linii opisujących kontury np. gór, drzew, lasów, równin i t. p. Z jej tedy wzorów i sztuka czerpie w tym względzie wskazówki; symbolika architektonicznych kształtów na nich wyłącznie jest osnuta. A że posąg wraz z piedestałem, wzięty w ogólnym zarysie, w jego sylwecie, posiada także swoją architekturę, więc artysta dobrze zastanowić się powinien nad symboliczną naturą linii, jakich do jej nakreślenia użyje; od nich bowiem bezpośrednio zawisł jej charakter.

Matematyka zna tylko dwa rodzaje linii: krzywą i prostą; podział ten i widokom estetyki zupełnie odpowiada. Zastanówmy się najprzód nad linią prostą. Pytagoras widział w niej symbol nieskończoności: do nieskończoności bowiem można jej końce przedłużać, a nigdy się z sobą nie zejść. Nadto, uważać ją jeszcze można za doskonały wyraz jedności: jest bowiem jedna, jedyna; gdy linii krzywych może być nieskończona ilość. W przyrodzie spotykamy się z linią prostą jedynie w surowych, majestatycznych jej zjawiskach. Po linii prostej biegną promienie słońca, gwiazd i księżyca; w proste linie łamią się na chmurnem niebie ogniste języki piorunów; linię prostą kreśli w powietrzu każde ciało spadające z wysokości własnym ciężarem; rysują ją na widnokręgu rozległe stopy, prerye i niezmierzone puszcze; pod jej poziom układa się spokojna wód powierzchnia i t. d. W każdym z tych przykładów widok linii prostych wiąże się z wrażeniem powagi, energii, surowości, odzywającej się echem w sercu człowieka i budzącej w niem uczucie wielkości, majestatyczności lub grozy. Taką też jest symboliczna wymowność linii prostych, gdy się z niemi w dzie-

łach sztuki spotykamy; zwłaszcza też gdy się często powtarzają, wyrć mogą na nich poważny a surowy charakter.

Co do linii krzywój, posiada ona wręcz inne wyrazowe własności. Pytagoras poczytywał ją za symbol skończoności, ponieważ przedłużona, powraca zawsze do punktu swego wyjścia. Hogart znów był zdania, że jest ona mamieniem piękności. Każde z tych dwóch orzeczeń ma za sobą słusność: oba uzupełniają się wzajem w jój charakterystyce. Linia krzywa panuje, jeśli nie wyłącznie, to przeważnie, w sferze jestestw organicznych: wszystkie pięknokształty życia roślinnego i zwierzęcego ujęte są w linie krzywe; zakreślają też one kontury ciała człowieka—najpiękniejszego dzieła Stwórcy. Hogart ma więc słusność: między pięknością plastyczną a estetyczną naturą linii krzywój istnieje niezaprzeczone powinowactwo. A że każdy pięknokształt jest istotnie wyrazem skończoności, bo inaczej nie byłby kształtem w znaczeniu fizyczném, więc i określenie Pytagorasa co do charakteru linii krzywój pozostaje w swój mocy. Nadto, linia krzywa, w przeciwieństwie do prostój będącej jedności symbolem, jest wyrazem różności: linie krzywe mogą bowiem być najrozmaitsze, bez liczby; co znowu odpowiada naturze piękności, różność bowiem jest jednym z najpierwszych jój warunków. Wreszcie, jak w zakresie piękna kształtowego linie proste stają się wyrazem powagi, siły i energii, tak znowu wdzięk, powab i miękkość konturów jedynie tylko z pomocą linii krzywych, falistych dają się osiągnąć. W stosowném użyciu jednych i drugich, w odpowiedniej ich kombinacji, artysta posiada potężne środki ekspresyi — mianowicie o ile się ona do ogólnej architektoniki pomnika odnosi.

Powracam jeszcze do linii prostój. Mówiąc wyżej o jój estetycznym znaczeniu, nie wyczerpałem jeszcze zupełnie jój wyrazowych własności. Jój symbolika, zachowując ogólny, znany już nam charakter, przybiera bardzo ważne estetyczne odcienia, przywiązane do tego lub owego jój kierunku. Na ten raz zastanowimy się tylko nad dwoma głównymi jój kierunkami: prostopadłym i poziomym.

Linia prostopadła, w najprostszym jój określeniu, to przedłużenie promienia globu ziemskiego. W przyrodzie uwydatnia się ona, między innymi, w prostopadłym dążeniu życia roślinnego ku powietrzu i światłu, w groźnych przepaścistych turniach, jakoteż w strzelających pod obłoki szczytach i iglicach gór. Linia prostopadła w przytoczonych widokach natury, oprócz wyrazu nieskończoności i jedności, właściwego każdej linii prostój, tą strzelistością swoją prostopadłą, niczém nie ograniczoną, wyraża dążenie w niedosiężone wysokości; a gdy ten jój bieg oczyma śledzimy, wówczas i myśl nasza odrywa się od ziemi i wraz z nią pod niebiosa się wznosi. Dlatego linia prostopadła stała się symbolem wzniosłości, szczytności. Dlatego tak wzniosłe sprawiają na nas wrażenie wysmukłe, lotne filary świątyń ostrołukowych, gubiące się w zawrotnój wysokości pod wyniosłym sklepieniem, lub ich

wysokie, rysujące się na błękitnie nieba wieże, na które gdy spoglądasz, i myśl twoja w podobłoczne wzlatuje sfery.

Estetyczną antytezą linii prostopadłej jest linia pozioma, czyli horyzontalna. Sama nazwa tej linii określa już jej pochodzenie i charakter. Poziomą linią zamyka się przed nami widnokrąg, na którym w dali puszczonej samopas wzrok się gubi; poziomo rozpościera się ziemia pod naszymi stopami; poziome linie kreślą w oddaleniu ciemne bory i lasy; pozioma jest oceanów i mórz powierzchnia; w poziome linie rysują się geologiczne pokłady skorupy ziemskiej, jako widome świadectwo poziomego opadania wód podczas potopu i osadzania się wzburzonych żywiołów. To powtarzanie się linii poziomej w rozległych, spokojem tchnących widokach przyrody, świadczących o niewzruszoności odwiecznych praw nią rządzących, jakoteż ta okoliczność, że jest ona najdoskonalszym wyrazem równowagi fizycznej, sprawiają, że z widokiem jej łączy się w naszym umyśle pojęcie spokoju, rozłożystości, szerokości i niewzruszonej trwałości. Wrażenie linii poziomej nie odrywa myśli od ziemi, lecz przeciwnie, oderwaną napowrót na jej poziom sprowadza, przywracając naruszoną równowagę ducha. Uczucie wzniosłości, którego doznawać zwykliśmy wówczas, gdy się znajdujemy wobec czegoś, co naszą estetyczną przechodzi skalę, do zmierzenia czego braknie nam miary, jest właśnie wynikiem takiego zachwiania równowagi ducha i połączonego z niem jakiegoś nieokreślonego, tajemniczego lęku. Groźne, majestatyczne widoki górskie i wzniosłe dzieła architektury, w których linie prostopadłe dominują, takie na nas właśnie sprawiają wrażenie. I przeciwnie, widoki przyrody i dzieła geniuszu ludzkiego, w których panują przeważnie linie poziome, budzą w nas uczucie pewności, bezpieczeństwa, spokoju.

W szeregu istot żyjących, sam tylko człowiek budową ciała przypomina linię prostopadłą. Z wszystkich postaw, jakie on przybrać może, jedna tylko postawa stojąca w zupełności odpowiada tej linii i dlatego wyłącznie nadaje się do wyrażenia energii i wzniosłości. Postawa siedząca i wszelka inna, w której z liniami pionowymi łączą się poziome i mniej lub więcej nad niemi przeważają, traci ten charakter wzniosłości, przybierając natomiast cechy bierności i spoczynku. Oto dlaczego poczytałem za błąd p. Dykasowi, że Mickiewicza wyobraził siedzącego. Z tej racji i projekt p. Godebskiego, i kilku innych projektodawców, jako grzeszące tą samą niewłaściwością, zmuszony jestem poczytać za próby chybione. Zasłużonego pedagoga, lekarza, uczonego, dyplomate, można wyobrazić w posągu w postawie siedzącej; ale pewno żadnemu pojmującemu warunki monumentalnej skulptury artysty nie przyszłoby do głowy przedstawić w takiej postawie wielkiego wodza, bo czułby całą jej niestosowność. Podobną niestosownością będzie zawsze posągowe wyobrażenie męża genialnego polotu, np. wielkiego poety, w postawie siedzącej, bo to wręcz zadaje kłam jego orleń naturze. Dziwić się doprawdy trzeba, że tytu znalazło się rzeźbiarzy, co tej prostej estetycznej, na symbolice linii osnutęj zasady, nie znali.

Posąg Mickiewicza tylko w postawie stojącej jest możebny, bo tylko ona jedna łączy w sobie warunki majestatycznej, wzniosłej sylwety. Pojmować posąg Mickiewicza inaczej, znaczy to wcale go nie pojmować.

Przejdźmy do cokułu, czyli piedestału. Jestto czysto architektoniczna część pomnika, służąca, jak już wiadomo, do wyosobnienia posągu z otoczenia rzeczywistości i wyniesienia go ponad jej poziom. Trzeba, żeby artysta dobrze zrozumiał to przeznaczenie i należycie je w jego architektonice uwzględnić. Architektonika ta powinna być pełna prostoty, surowa, poważna, a wyrazista; zaś z symbolicznej natury linii wynika, że tylko kształty w linie proste ujęte, mogą odpowiedzieć temu estetycznemu wymaganiu. Należy przytém unikać wszelkich drobiazgów i łamanin, mogących osłabić wyrazową wartość wspomnianych linii. Wszelkie krzywizny i kabłąkowatości, w rodzaju tych, w jakie np. obfitował cokół projektu p. Godebskiego, będą tu zawsze nie na miejscu, bo osłabiają poważny, surowy charakter konturów. Im większa prostota cokułu, tćm lepiej dla całości pomnika, bo tćm mniej szczegółów odrywa uwagę widza od głównej rzeczy: od posągu. Nie znaczy to, żebym się stanowczo oświadczał przeciw przystrojeniu go stosownymi płaskorzeźbami, a choćby nawet i całemi figurami, do których w ogólności nasi artyści tak wiele okazali predylekcyi, że im się z niemi niełatwo przyjdzie rozstać. Wszystko tu zawisło od delikatnego instynktu estetycznego artysty. Kto go nie ma za przewodnika, łatwo wyjść może z miary. Dosyć o ogólnej architektonice posągu, o jego sylwecie.

Starożytni mistrzowie dłuta swoje myśl wypowiadać zwykli całą postacią posągu, zarówno jego twarzą, jak postawą, ruchem i charakterem wszystkich jego członków, rozprawdzając, że tak powiem, ekspresyie figury po całej jej powierzchni. W skulpturze chrześcijańskiej natomiast wyrazowa siła ześrodkowała się przeważnie w obliczu. Poszło to ztąd, że chrześcijańscy artyści mieli do wyrażenia więcej niżby wyrazić samemi kształtami figury zdołali. Nie należy przecież nam zaniedbywać tych środków ekspresyi, które sztuka klasyczna tak znakomicie wyzyskać umiała. Stosowny ruch figury, choć dziś dość często przez artystów zaniedbywany, nie przestał być jedną z największych zalet posągu i dlatego dobrze obmyślanym być powinien. Przytoczę w tćj mierze zdanie jednego z najznakomitszych nowoczesnych rzeźbiarzy: „Prostota ruchów, powiedział David z Angers, przyczynia się wielce do nadania posągowi majestatycznej wielkości. Gest jest językiem skulptury; bo postawa, spojrzenie, poprzedzać zwykły słowa, niby błyskawica poprzedzająca uderzenie piorunu. Jest on najpotężniejszym środkiem ekspresyi w skulpturze, zwiastuje bowiem duszę głęboko poruszoną, postępującą się w pierwszym porywie znakiem którym się najszybciej wypowiedzieć może.”

Otóż, ruch figury powinien być naturalny, silnie artykułowany, stanowczy, nadający figurze postawę właściwą, łatwo dla widza zrozu-

miała. Postawa człowieka odpowiada bowiem zawsze jego wewnętrznemu stanowi. Jeśli akcja, tak jak ją na scenie lub w obrazie pojmujemy, wyraża ducha w stanie podniecenia, to postawa jest jego wyrazem w stanie spokoju. Poczucie stosowności danego ruchu, tak powszechne w epoce klasycznej, u dzisiejszych artystów jest niezmiernie rzadkie. Cycero powiedział, że gest nie powinien sięgać powyżej wierzchołka głowy. A chociaż miał on jedynie mówców na względzie, z uwagi jego mógłby niejeden z nowożytnych skorzystał artystów. Ileżto dziś i na scenie, i w rzeźbie, popełnia się gestami sołecyzmów, na których nawet niewiele kto się poznaje. Owszem, im ruchy bardziej rosochate, tym większe gaudium publiki i zadowolenie krytyków, tym większy zachwyt z powodu rzetelnego jakoby oddania „realnej prawdy,” jakby ta ostatnia, której przecież wszyscy do syta mamy w życiu, i w sztuce ścigać nas jeszcze powinna. Czytelnik zechce tu sobie przypomnieć, co już wyżej o potrzebie powściągliwości ruchów i wystrzegania się zbytecznego rozrzucenia członków figury powiedziałem. Powtarzam tu tylko, że pewne ich skupienie leży już w samym estetycznym charakterze rzeźby posągowej. Dosadnie tę zasadę sformułował Michał Anioł: „Posąg, zdaniem tego genialnego mistrza, tak powinien być obmyślany, żeby mógł runąć z wierzchołka góry, zachowując w całości wszystkie swe członki.” Pomijam tu zresztą kwestyję owych podpórek w postaci pnia drzewa i t. p. akcesoryów, obmyślanych dla większej trwałości posągów, wykutych z kruchego marmuru. Posąg Mickiewicza ma być odlany z brązu, który to materiał czyni je zbytecznymi.

Współczesny nam rzeźbiarz dziwaczyłby, gdyby chciał w posągu przemawiać do widzów charakterem proporcji i konturów obnażonego ciała, bo, jak zauważyłem, nie leży to już w duchu chrześcijańskiej estetyki. Wolno mu w ten sposób traktować jedynie figurę mitologiczną, lub klasycznego bohatera. Posąg Mickiewicza musi pod tym względem odpowiadać pojęciom nowożytnym. Pozostaje jednak do roztrząśnienia pytanie: w jakich mianowicie ma być przedstawiony szatach? Pytanie o tyle ważne, że ubiór, z wyjątkiem głowy i rąk, osłania całą postać i ztąd nie ma się do estetycznego charakteru figury przyczynia. Kwestya ubioru jest w ogólności jedną z najdrażliwszych w monumentalnej rzeźbie. Niewdzięczne ubiory nowożytne nie dają się z jej wymaganiami pogodzić. Z pełną prostoty i swobody odzież starożytnych Greków, nie znoszą nawet porównania. „Dzisiejsze suknie, pisze Karol Blanc z tego powodu, zamiast miarkować na zewnątrz kształty ciała, fałszują je, lub ukrywają; zamiast sprzyjać jego ruchom, zadają im przymus. Przylegające do ciała, pospinane guzikami, pościągane niezliczonymi szwami, są one pozbawione swobody i same swobodę ruchów tamują. Fałdy ich są ustalone, zawsze jednakie, takie, jak je krawiec przewidział i zgóry ułożył, jak je chce mieć moda. Na miejsce pięknych form ciałoskładu wytwarzają one nie powabne kontury ciasnego worka, przystającego szczelnie do

członków, które osłania niby niezdarna pochwa, ukrywająca pięknie cyzelowany brzoźczot.”

Mamyż więc widzieć Mickiewicza, uwiecznionego w posągu, w szatach tak nielicujących z powagą pomnika? Mamyż mu dać ubiór skrajany według współczesnej mu mody? Chcielibyśmy wystrychnąć go na jedną z owych wątpliwych wielkości, unieśmiertelnianych dziś dłutem ze skrupulatnością nie pomijającą najdrobniejszego szczegółu ich toalety, począwszy od spinki krawata aż do butów? Czy Mickiewicz, którego pomnik ma trwać wieki, w stroju tym za lat chociażby sto, nie wyda się śmiesznym pokoleniom, których oczy do innej przyzwyczajone będą mody; i czy nie należałoby temu zapobiedz? Między artystami nowożytnymi niema w tym punkcie porozumienia. I tak, gdy jedni posągom wyobrażającym znakomitych mężów, za całe odzienie dają liście figowy, inni znowu, wpadając w przeciwną, niemniej rażącą ostateczność, ubierają ich w szaty, jakie za życia nosili; inni wreszcie osłaniają ich poważną klasyczną draperyą. Ci ostatni, o ile mamy na względzie posąg męża istotnie wielkiego, poczynają sobie najtrafniiej. Bo zaiste, wszystkie owe surduty i fraki z brązu lub marmuru, owe buty, krawaty, kamizelki i t. p. szczegóły ubrania, o sztywnych, niezdarnych konturach, pozbawione wszelkiego estetycznego interesu, w sztuce monumentalnej stają się czemś potwornem. Nie mając przytem żadnego ogólniejszego znaczenia, najniepotrzebniej partykularyzują one wielkiego męża, czyniąc z niego dajmy nato Niemca, Francuza, Anglika i t. d. dzisiejszej daty; kiedy on geniuszem swym lub cnotami nietylko współczesnej przewodniczył generacji lecz i następnym przyświecać ma pokoleniom, i kiedy nietylko społeczeństwo, z którego wyszedł, ale ludzkość cała do niego rości sobie prawo. „Rousseau i Voltaire, powiada cytowany już wyżej estetyk, w swych szatach francuzkich, w długich kamizelkach, krótkich spodniach, w swych mankietach, trzewikach ze sprzączkami i laską w rękę, są to wyborne figury gdy stoją na konsoli lub marmurowym kominku; ale te same figury, wyrzeźbione w naturalnej wielkości i postawione dla ozdoby w ogrodzie publicznym, na końcu jakiejś monumentalnej ulicy lub przy wjeździe do miasta, byłyby tylko powiększonymi statuetkami, wyobrażeniami czysto paryżkiemi, i przestałyby już być posągami tych wielkich ludzi, których geniusz uniwersalny do ludzkości należy.

W podobnych razach, zastosowanie poważnej draperyi zdaje się być najwłaściwszem. Czemże jest bowiem draperya? Nie jest ona bynajmniej strojem właściwym jakiemuś narodowi, jakiejś szczególniej epoce, jakby ktoś może mniemał z drapowanych posągów klasycznych; jest ona prosto uogólnieniem ubioru, pozbawiającem go wszelkich cech specjalnych, partykularnych; jest wymysłem starożytnych mistrzów dłuta, a dodać trzeba, wymysłem bardzo trafnym, rozstrzygającym doskonale kwestye ubrania w zakresie posągowej sztuki. Draperya ma niazaprzeczoną przewagę estetyczną nad wszelkim możebnym strojem specjalnym. Markuje ona wprawdzie dość słabo kształty cia-

ła; i ci co pragnąc ją nagiąć do téj roli, drapują w tym celu modele posągów zwilżoną, do ciała przylegającą tkaniną, nie zupełnie mają jasne o jój charakterze i znaczeniu pojęcie. Osłonięte draperyą kształty ciała, nigdy nie dadzą się tak wyraźnie uwidocznić, żeby mogły zająć widza charakterem konturów i swą plastyczną pięknoscia. Natomiast draperya, układająca się w wyraziste, charakterystyczne linie, nadaje się przewybornie do zaakcentowania postawy, ruchu figury; i to stanowi właściwie najcenniejszą jój zaletę, to czyni ją jednym z najdzielniejszych środków ekspresyi w posągowej skulpturze. Umiejętne jój zastosowanie przyczynić się może w wysokim stopniu do nadania posągowi wejrzenia spokojnej godności, wejrzenia prawdziwie monumentalnego. Otóż jeśli uwzględnimy wszystkie powyższe uwagi, okaże się, że dla posągu Mickiewicza draperya jest jedynie właściwą szatą. Kto się przyjrzał dobrze opiętym w surdut figurom poety w różnych projektach pomnika i zapamiętał ich sztywne, nieszczęśliwe wejrzenie, ten się pewno ze mną zgodzi.

Jak należy w szczegółach przeprowadzić draperyą posągu: czy nadać jój charakter czysto klasyczny, czy osłonić figurę poważnie układającymi się fałdami sutego płaszcza, jak tego bardzo umiejętnie dokonał autor wspomnianego już wyżej projektu pod godłem rylca i młotka; to już rzecz estetycznego smaku artysty, i w te szczegóły wdawać się nie mogę. Wogólności zadaniem niniejszego artykułu nie jest bynajmniej narzucenie artystom jakichś przepisów; już choćby dla tego, że jestem najmocniej przekonany iż żadne dzieło sztuki prawdziwej wartości, według przepisów wykonać się nie da. Poruszyłem sprawę pomnika głównie dla rozjaśnienia jój z estetycznego punktu widzenia, czego dotąd nikt się nie podjął, w nadziei, że to zawsze wyjdzie na jój pożytek.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Starodawne epepe francuzkie. — Cykl Wilhelma księcia Oranii: „Śluby Wiwiana.“ — Rozprawy pana Wallon o pracach zmarłych akademików. — List Ignacego Domejki do Bohdana Zaleskiego. — Ruch literacki w Prowancyi i Katalonii. — „Formoza,“ tragedia p. Vacquerie, z dziejów Anglii w XV wieku. — „Znaczenie rodziny w Chinach,“ przez p. Simon. — „Islamizm pod względem nauki,“ konferencya p. Renan. — „Obserwacye astronomiczne“ p. Adama Prażmowskiego. — Statystyka teatrów paryzkich.

Biblioteka narodowa w Paryżu, oprócz miliona z górą ksiąg, posiada bogaty dział, złożony z pieśni średniowiecznych Truwerów z XII, XIII i XIV wieku. Wiele z nich pozostało tylko w urywkach, jako świadectwo niesłychanego rozwoju téj starodawnéj literatury. Liczą jednakże do stu poematów w całości przechowanych. Z pomiędzy tych, dwadzieścia cztery tworzy osobny cykl, opiewający bohaterskie czyny Wilhelma Oranii, pogromcy Saracenów z epoki Karola Wielkiego.

Pieśni te pisane w starofrancuzkim języku, obejmują do 130,000 wierszy. Leżały one dotąd przysypane prochem niepamięci, parę lat temu dopięro, podniósł je i opisał znany filolog Leon Gauthier, w wielkim dziele o dawnych epepeach francuzkich.

Krytyczny komentarz Gauthiera nie mógł spopularyzować przedmiotu, ani dać poznać głośniego niegdyś a dziś zapomnianego bohatera, pobudził jednak do pracy innych filologów. Jeden z nich Feliks Brun przełożył i ogłosił drukiem w tych czasach ustęp z tego wielkiego cyklu, p. t.: „Śluby Wiwiana.“ Ów dzielny Wiwian, bratanek Wilhelma z Oranii, przypomina nieco Rolanda, siostrzana Karola Wielkiego; nie dziwimy się temu: rycerski prąd wieku, jednako zapalał wyobraźnię truwerów ówczesnych i podobne wskazywał im ideały.

W krótkim wstępie p. Brun kreśli historyczną postać Wilhelma z Oranii, zwanego przez kronikarzy pierwszym gonfalonierem państwa, najdosłojniejszym mężem królewskiego dworu; podanie zaś do tych tytułów dodaje przydomek *Fier à bras* (Pyszno-ramienny), i in-

ny jeszcze au court nez (krótko-nosy). Ta ostatnia nazwa najwięcej radowała bohatera, przypominając mu, że utracił pół nosa w walce z poganinem za cześć krzyża świętego.

W r. 793, Wilhelm mianowany wielkorządcą Akwitanii i księciem Tuluzy, przebywał w dzielnicy swojej, kiedy kalif Korduby, Hescham, korzystając z nieobecności Karola Wielkiego, zajętego nad Dunajem, rzucił na południową Francją wezyra Abd-el-Maleka. Saraceni dotarli pod Narbonę, spalili przedmieścia, wymordowali mnóstwo chrześcian i ruszyli do Karkasonny. W Villedaigue zaskoczył im drogę Wilhelm z zastępem rycerstwa francuzkiego. Nastąpiło krwawe starcie, trupy zasłały ziemię; hrabia Tuluzy dokonawszy cudów waleczności, musiał ustąpić przed wielekroć przeważającą siłą. Ale porażka stała się prawdziwym tryumfem, Saraceni bowiem widząc dzielność i moc przeciwników, zabrawszy łupy, zbiegli za Pyreneje. W tym dniu Wilhelm ocalił Francją i chrześcijaństwo, jak na pół wieku wprzód Karol Martel pod Poitiers.

W dziesięć lat potem, Wilhelm zdobył na Maurach Barcellonę. Ostatnie to były jego zapasy. Czując, że zmordowane ramię nie zdoła utrzymać już oręża, złożył na ołtarzu miecz i żelazny pancerz, oblekł habit benedyktynów i osiadł w celi klasztornej w opactwie Gelone, przez siebie niegdyś ufundowaném. Tam pokorny zakonnik pełnił z własnej woli najprostsze obowiązki: piekł chleb a w czasie żniwa dośiadał osiołka i zawoził wino robotnikom. Umarł w Gelone w roku 812, uważany powszechnie za świętego.

Wielka postać Wilhelma przeszła niebawem do legendy. Współczesni i potomni truverowie otaczali go coraz to większym blaskiem cudowności, nadali mu słynnych protoplastów i fantastyczne potomstwo. Spadkobiercą chwały jego uczynili bratanka Wiwiana, młodego pogromcę Saracenów, postać wcale nieznaną w dziejach. Pieśni o Wilhelmie rozbiegły się po wszystkich krajach Europy. Imię jego śnać popularne było we Włoszech w XIII wieku, skoro Dante widział go w niebie w pośród światła „wirujących na ramionach krzyża“ i ugaśniał wzrokiem tę promienistą postać:

„Jak śledzi oko za sokoła lotem.“

Imię Wilhelma brzmiało niemięj w Anglii, rozgłoszone tam w czasach normandzkiego podboju. Opiewali je poeci holenderscy, wyprowadzając od księcia Oranii, rodowód panującego u nich domu. Minnesengerowie niemieccy przerabiali po swojemu krążące o nim tradycje i czcili go na igrzyskach w Wartburgu. Islandczycy nawet, w jednej z Sag, Karlomagnus-saga, wystawiają Wilhelma przy Karolu Wielkim i Rolandzie.

Z wielkiego cyklu o Wilhelmie, złożonego jak mówiliśmy z dwudziestu czterech pieśni, p. Brun wziął trzy, opiewające czyny jego bratanka. Pierwszą z nich, p. t.: „Dziecinne lata Wiwiana,“ podaje tylko w treści; drugą „Śluby Wiwiana,“ daje w całkowitym przekładzie;

z trzecięj pod tytułem „Aliscans,“ bierze tylko pierwszy ustęp, odnoszący się do skonu młodego bohatera. Rzućmy nasamprzód okiem na to cudowne dziecko.

Towarzysze Rolanda, nie polegli wszyscy w Ronsewalu. Jeden z nich Garin, brat Wilhelma z Oranii, ujęty był w niewolę i uprowadzony przez Saracenów do miasta Luizern. Tam znosił codziennie najstraszliwsze męki. Napróżno obiecywał w okup wory złota i srebra. Saraceni gardzili kruszczem, żądali tylko, aby Garin sprowadził do Hiszpanii siedmioletniego syna, który z matką Heutacyą pozostał we Francyi. Dziecię to według przepowiedni wróżbitów, miało być kiedyś twardym biczem na Saracenów. Garin opiera się długo, wreszcie wzięty na tortury, pół-żywy z bólu, wyprawia gońca do Heutacyi z żądaniem, aby przywiodła syna: na znak posyła jęj ślubną obrączkę.

Tém dzieckiem był Wiwian. Matka z trwożą odbiera pierścień; sama nie wie co czynić: zasięga nakoniec rady Wilhelma. Niezlomny rycerz nie waha się chwili; powinność świętęm dla niego prawem. „Mąż i żona, połączeni przed Bogiem, wszystko winni pospołu przetrwać, rzecze do nieszczęśliwęj matki i dodaje zwracając się do dziecka: „przekłęte drzewo w sadzie, które podczas letnięj spiekoty, nie osłoni cieniem, tego co je posadził!“

Wilhelm sam odprowadza dziecię i matkę do Luizerny. Zamiana wnet się spełni. Garin zawodzi rozpaczliwie nad synem; tymczasem Saraceni rozpalają stos; zgorę żywcem złowrogie dla nich dziecko. Widok ten doprowadza Wilhelma do wściekłości. Krzepką ręką porywa z ognia rozpalone obcęgę, powala dziesięciu Saracenów, druhę pomagają mu dzielnie. Muszą jednak ustąpić przemocy: odparty Wilhelm ubiega za góry z bratem i Heutacyą, Wiwian ma skonać w płomieniach, gdy naglę uderza na miasto wódz Piratów z niezliczonym zastępem; zdobywa je, łupi, sprzedaje niewolników. Bogata kupcowa za sto marek, nabywa małego Wiwiana. Śliczne to chłopię ze złotym włosem, wijącym się w pierścienie, z oczęty modremi jak bławatki. Kupcowa ta utraciła własne dziecię; przedstawia chłopca jako syna powracającemu z dalekięj podróży mężowi. Nie będziemy tu powtarzać najdziwniejszych kolei, przez jakie przechodził inniemany kupczyk. Fantazya Truwerów nie pyta o zapory, jednym zamachem kruszy je pod stopami ulubieńców swoich. Mały Wiwian wstrętu ma do łokcia i do wagi, płacze się wiecznie w rachunkach, ale niechno dosiędzie konika, prześciga wichry w polu. Wszyscy kochają go, przebacząją mu psoty, dla sokolich oczęty i złocistych kędziorków. Towarzysze gotowi za nim iść w ogień, taką cudowną siłę wywiera na nich to rycerskie pacholę.

Wiwian wyrósł na młodzieńca, wie on że jest synem Garina i bratankiem Wilhelma. Krew kipi w jego żyłach, płomień tryska mu z oczu. Wysłany na jarmark do Luizerny, garnie do siebie druhów, tajemnie w rycerskim wyćwiczonych rzemiośle, uderza na Saracenów, zdobywa gród warowny, przebiega rynki i ulice jak tryumfator. Prze-

rażeni muzulmanie gromadzą przeciw niemu wielkie siły, okrążają miasto niby żelazną obręczą. Nagle przypada w odsiecz Wilhelm z zastępem chrześcijańskich rycerzy. Saraceni zbici na miazgę; Wiwian powraca w tryumfie na zamek rodzicielski; Heutacya oblewa łzami syna, ojciec wyprawia huczne gody, powołuje żonglerów i gęźbiarzy. Szczęśliwy Wiwian, obsypuje darami dzielnych towarzyszków; przybrany rodzicom darował całe miasto.

Drugi poemat „Słuby Wiwiana,“ odrębny ma całkiem charakter. Jest to rapsod rycerski; słychać w nim tylko szcęk szablic, odgłos bojowych rogów, chrapliwy jęk rannych i konających. Ale z tych piersi okutych żelazem, nieraz wybiega głos rzewnego uczucia, z tych oczu oswojonych z widokiem krwi i trupów, tryskają przecież łzy gorące. Poemat rozpoczyna się wspaniałym obrzędem: Wilhelm pasuje na rycerza piętnastoletniego bratanka. Całą tę pieśń dajemy w przekładzie:

Przezacne pany, nadobne panie,
Gwoli méj pieśni nakłońcież ucha,
Piękniejszej nigdy świat nie posłucha,
Pieśń o chłopięciu brzmi Wiwianie,
I o Wilhelmie stryju młodziana:
Mnogie go ludy czciły pokłonem;
O nim po świecie krąży wieść znana,
Co krótkonosym zwie go baronem.
Wielką ten Wilhelm świeci zasługą,
Bił Saracenów dzielnie i długo,
Aż gdy śmiertelne zadał im klęski,
Schował do pochwy oręż zwycięzki.

W samą Wielkanoc, gdy świat radosny
Wita słoneczne promyki wiosny,
Wilhelm bratanka do siebie wzywa,
Na barki twardą kładzie mu zbroję,
Młodziuchne czoło hełmem pokrywa,
Miecz mu przypasał na przyszłe boje,
Aby miłości dać dowód świeży
Stu z nim junaków zbroi w rycerzy.

Wiwian na klęczkach, z pochyłą głową
Uścisk rycerski przyjął w pokorze,
A potem powstał i rzecze słowo:
„Miły mój stryju! Tyś w Imię Boże
Miecz w mą prawicę złożył bez trwogi,
Niech ja nawzajem przed tobą panie
Wobec Gibory, twój żony drogić,
Co mnie niańczyła w dni mych zaranie,

Wobec twych parów, w twym świętym progu,
 Niezłomne wotum poślubię Bogu.
 Nigdy Saracen ni Turczyn krwawy
 Wstecz mnie nie zwróci; nie cofnę kroku,
 Skoro przesławny miecz mam przy boku;
 Walczyć nim będę jak rycerz prawy,
 Może polegnę... stań się twa wola,
 Niech krew do kropli z żył mych pociecze,
 Ale nie ujrzy oko człowiecze,
 Bym jak tchórz podły uciekał z pola.”
 — „Piękny bratanku, baron odpowie,
 Pleciesz jak dzieciak, — płoche to słowa,
 Nie pobieleje włos na twój głowie,
 Jeśli przysięgi serce dochowa;
 Nie jeden sławny szermierz na świecie,
 Zmuszon przed wielką ustąpić siłą,
 Kiedy przemocą wróg go przygniecie,
 Cofnąć się musisz; tak zawdy było.
 Szalone słowa odwołaj lepić,
 Niech cię, mój chłopcze, pycha nie ślepi,
 Ja cześć rycerską nad żywot ważę,
 Lecz szukać śmierci rozum nie każe.“

Iskra zabłysła w młodzieńczym oku,
 Krasą Wiwiana spłonęły lice,
 — „Stryju! zawoła, tyś mi do boku
 Onę przypasał drogą szablicę!
 Ja poszanuję ten dar bez ceny,
 Nie ujrzą Turki ni Saraceny,
 Bym ślub przelamał! Ustrzeż mnie Panie!
 Wprzód mnie na miazgę zsieką poganie,
 Zaczem ustąpię choć o piędź ziemi!
 Wesprzyj mnie Chryste ramiony Twemi,
 Ty, co królujesz na wieki w niebie,
 Z wiarą wyciągam ręce do Ciebie.” —

Czoło Barona zabiegło chmurą.
 — „Biedny bratanku! rzece ponuro,
 Wątek dni twoich wnet się doprzędzie:
 W szale junaczym nie ujdiesz śmierci,
 Wróg ciało twoje zrabie na ćwierci,
 A ja twój piastun, gdy cię nie będzie,
 Z krewnymi druhy w serca żalobie
 Oczy wypłaczę rychło po tobie!“

Młody rycerz nie traci chwili, zbiera dziesięć tysięcy towarzyszków.
 Każdy z nich ma dziarskiego bicguna, twardy pancerz i obosieczną sza-

blieę. Dzielny zastęp, z wodzem na czele, dociera przez góry w głąb Hiszpanii, gdzie zwycięzko się rozsiadł dziki Saracen. Przez lat siedm rycerstwo lotem strzały przebiega wszystkie dzielnice kraju. Walka przeniosła się na północ, grody południowe na chwilę odetchnęły. Emir z Korduby przywołuje licznych wasali, wyprawia dziękczynne gody na cześć proroka:

Było to wiosną: w zieleń spowita,
 Łąka na słońcu pięknie rozkwita,
 Emir z dworskimi ucztuje pany:
 W sercu mu błogo, w duszy mu jasno,
 Wraca nareszcie ład pożądany,
 Łuny pożarów rychło zagasną,
 Nic nie zamąci wiecznej pogody!
 Więc dla proroka wyprawia gody,
 Rogi i trąby dzwonią wesoło,
 Młódź rozpląsana zatacza koło,
 Radosny okrzyk w krąg się rozlega.

Wtém okręt nagle przybił do brzegu:
 Pięciuset pogan na statku leży,
 Trzech ledwie uszło krwawej trzebieży,
 Tłumy się w strasznej szamocą męce,
 Mają zrąbane nogi i ręce,
 Odcięte nosy, wydarte oczy,
 Krew z ran otwartych strugą się toczy,
 Z piersi wybiega kłątwa i skarga.
 Słyszy to Emir, zbladło mu lice,
 Gwałtowna rozpacz serce mu targa,
 Chwyta oburącz krzywą szablicę.

Trzej ocaleni stają przed tronem:
 — „Emirze wielki! rzekną z pokłonem,
 Taki na gody przysłał ci wianek
 Krótkonosego wodza bratanek;
 Wielkaż moc jego, szabla szeroka,
 Niech go nie miną gromy proroka!“

Emir wściekły z gniewu, gromadzi wielkie siły, trzydziestu królów pośpiesza mu z pomocą. Oko ludzkie nie widziało tak licznego zastępu.

W wojennym szyku ciągną tabory,
 Postać żołnierzy straszna, wzrok dziki,
 Jedni szcękają by gończe twory,
 A drudzy lwiami grozą poryki,
 Każdy proroka na pomoc wzywa;
 „Noga stąd Franków nie ujdzie żywa!“

Saraceni uderzają na Franków. Ziemia złana krwią, zasnana trupem, ale dzielny Wiwian nie cofnie kroku, nie złamie ślubu swego. Okryty ranami, z garstką wiernych, dociera do warownego zamczyska; lecz ani fosy, ani baszty, nie ochronią garstki rozbitków. Wiwian wyprowadza druha Girarda z wieścią do księcia Oranii.

Z trudem Girard przedarł się nocą przez obóz Saracenów. W zszarpanej na kęsy kolczudze, z porąbaną tarczą przybywa do Wilhelmowego grodu.

Wspaniały branz, to gród nad grody,
Z krążganków lica błyszczą niewieście,
W ulicach płąsa rój dziewic młody,
Podzwania gędzba wokół po mieście.
Dziatwa przy dźwięku pieśni wesołej,
Karmi krogulce, pieści sokoły.
Ci grają w szachy, w warcaby drudzy,
Ptastwo do łowów sposobią słudzy,
Każdy rad spełnia, co mu przypadło,
Kowale młotem biją w kowadło,
Zręcznych płatnerzy moc niezliczona,
Wykuwa tarcze, helmy, strzemiona,
Obsadza miecze w głównię złocistą,
A tam haftarze zgięci ku ziemi,
Siodła i rzędy szyją wzorzysto,
Na srebrnej tkance niemi złotemi.

Girard staje przed księciem, opowiada co zaszło. Dzielny Wilhelm co tchu zwołuje rycerstwo, żegna Giborę, dosiada rączego Bocenta, pędzi w odsiecz miłemu bratankowi. Niestety, już zapóźno! Pola Aliskans zawalone stosami trupów, krew toczy się strumieniem. Wiwian uleczony z dawnych ran, rzucił się na obóz Saracenów, nie chciał jak tchórz czekać na odsiecz w murach warownego zamczyska. Walczy jak lew, nie ustępuje kroku przed dziesięćkroć liczniejszą siłą. Ugodzony w pierś, z tarczą potrzaskaną na kęsy, rąbie jeszcze w lewo i w prawo. Zmiata łby Saracenom. Wtém Wilhelm przedziera się przez ciżbę; w oblanym krwią rycerzu, ledwo że poznaje bratanka. Zamienili słów parę, lecz roztrąceni wnet stracili się z oczu.

Wiwian wierny przysiędze, stoi jak mur, dzielnie odpiera walące się nań tłumy. Nagle z poza wzgórza wybiega chmura pastuchów.

Króla Goranta hufiec złowrogi,
Czarni, potworni, jak dyabły z piekła,
Na łbach okrutne sterczą im rogi,
Twarze ich szpotne, żrenica wścickła,
Każdy ma pałkę grubą i długą,
Albo żelazną zbrojny maczugą,

Rękę ma twardą jak rzemień byczy,
Każdy jak bydlę straszliwie ryczy.

Słyszy ich Wiwian, spojrzy na potworów, przerażony odbiega wstecz na długość włóczni. I w téjże chwili jakby zbudzony ze snu, uderza się w pierś... złamał ślub uczyniony przed Bogiem.

Zrywa się jak szalony, spina konia ostrogą, pędzi wcał na rogaty pastuchów. Wierne druhy uderzają z nim razem. Nastąpiło ostatnie starcie: siła przemogła nad dzielnością rycerzy. Tysiące trupów legło na krwawém polu. Saraceni kują niedobitków w łańcuchy, wloką ich do obozu. Wiwian bez tchu pozostał wśród zabitych, ale serce jego słabo jeszcze uderza. Zbiera ostatek sił, powstaje na nogi, wlecze się nad strumień, pod cień rozłożystego drzewa. Tu upada na ziemię: krew wybucha mu z ran, oczy gasną... nadeszła godzina... duszę swoją poleca Bogu.

Wilhelm tymczasem uszedł, jakby cudem, bystrego wzroku Saracenów. Kolecza jego podarta, szabla pocięła krwią, ręce czerwone aż do łokci.

Wilhelm na ziemię z konia zeskoczy:
„Wierny Bocencie, z miłością rzecze,
Piana się klębem z twój piersi toczy,
Krew wrzącą strugą z żył twoich ciecze;
Jam z tobą razem, koniu bez ceny,
Od rana cwałem gnał Saraceny.
Dobrześ mi służył, dzięki ci za to.
Gdy się ta wojna skończy raz przecie,
Ty nie poczujesz siodła na grzbiecie,
Toż cię pokryję cenną makatą;
Z méj ręki jęczmień będziesz jadł czysty,
I po murawie płaśał kwiecistój,
A upragniony, będziesz do syta
Pił u złotego wodę koryta.
Lecz gdy Saracen wydrze mi ciebie,
I obca ziemia strawi twe kości,
Chyba mi serce pęknie z żalości,
I utęskniony w grób się zagrzebiej.”
Słyszy to Bocent, głową poruszy,
Zarżał wesoło, drgnęły mu uszy,
Dzielnie kopytem uderzy w ziemię,
Z bark niby strząsnął cisnące brzemię,
Krzepki i gotów, jak w dawne czasy,
Na nowe trudy, nowe zapasy.

Wilhelm cichym stępem pomknął ku pobojowisku... szuka Wiwiana... Wjechał na wzgórek: gdzie sięgnąć wzrokiem, jeży się las włóczni saraceńskich. Jeśli Wiwian żywy, już on ztąd nie ucieczel!

Pobojowisko zalane krwią, zawalone tysiącem trupów; tu i owdzie błyszczą wypadłe z rąk tarcze i dzidy. Wilhelm poznaje tarczę Wiwiana: poznał ją mimo dziur i szערb, sam bowiem zawiesił ją na piersi młodego rycerza.

„On poległ szepnie w duchu, żywego nie ująłby Saracen!”

Pilnym okiem szuka wśród trupów, nagle obróci oczy w prawo... tam, u krynicy, pod cieniem drzew widzi Wiwiana. Blady, bez tchu, leży na murawie. Białe ręce złożył wkrzyż, głowę zwrócił ku stronie zorzy. Z piętnastu ran wybucha krew ciepła... ubroczyła murawę.

Usta zadrgną niekiedy, iskierka życia tli słaba, lecz nie zagasła jeszcze.

Wilhelm zacisnął twarz rękoma, płacze i żałośnie zawodzi. Wreszcie pochyla się ku ziemi, podejmuje bratanka, tuli go do siebie, jak matka dziecko. Całuje go w piersi i w usta, zcicha kładzie rękę na sercu, czuje słabiuchne drganie.

Wiwian podniósł głowę... poznaje Wilhelma. „Boże! dzięki Ci! szepnie stłumionym głosem. Miły stryju, uderzyła godzina... przyjmij ostatnią spowiedź moją. Jam ciężko zawinił przed Bogiem, zła małem przysięgę... cofnąłem się wstecz wobec wroga o długość mojej włóczni!”

Stryj rozwiązuje z winy bratanka. Ze złotej puszki, na piersi zawieszonej, dobywa Święty Wiatyk. Ukrzepiony młodzian, oddaje ducha Bogu.

Zaryknął Wilhelm głośnym płaczem... chwilę stoi, jak wrosły w ziemię, a potem krzepkimi ramiony podnosi martwe ciało, składa je na grzbiecie Bocenta. Poniesie je do grodu swego, potrząśnie garścią ojczyściej ziemi.

Próżno! próżno! Gdzie rzucić okiem, włócznie saraceńskie połykują na słońcu. Sam, w nocnym pomroku, Wilhelm ująć może przed pogonią; ale wolnoż mu na zniewagę narażać drogie zwłoki?

Wkoło na czatach stoją poganie,
Do nowej walki sił mu nie starczy,
Zwrócił wstecz konia, pod drzewem stanic,
Ciało bratanka kładzie na tarczy;
Nad drogim trupem przykląkł na ziemi,
Wpół go ramiony ścisnął krzepkimi,
I drugą tarczą skrył martwe zwłoki.

Noc rozpostarła całun szeroki.
Pogodny wietrzyk chmury roztrąca,
Wśród gwiazd bez liku błysł sierp miesiąca,
A Wilhelm klęczy, modli się długo,
I łzy po licu płyną mu strugą.
Aż kiedy dzionek zaświtał biały,
Z ziemi bohater powstał zbolący,

Dosiadł Bocenta, pocichu kroczy,
 Wciąż poza siebie obraca oczy,
 I żal mu serce kamieniem gniecie,
 Gdy bohaterskie wspomina dziecię.

Po tysiącnych przygodach, Wilhelm dotarł do miasta Orange, powitał żalosną Giborę, i wraz z nią uczynił ślub przed Bogiem, że pomści krew bratanka. Staje przed majestatem w Laon, błaga króla Ludwika o posiłki. Otrzymawszy je, pędzi, jak wichrem gnany, na pola Aliskansu. Głowy Saracenów padają, jak trawa pod kosą. Nigdy już pohańce nie tkną stopą ziemi francuzkięj. Tryumf Wilhelma zupełny, a przecież w wiele lat potém słodka Gibora widzi, jak łzy płyną mu po licu, ilekroć wspomni Wiwiana, poległego za cześć krzyża pod Aliskanssem!

Historyk Wallon, autor dwóch pomnikowych dzieł: o Dziewicy Orleańskiej i Ludwiku Świętym, wydał obecnie rozprawy biograficzne p. t.: „Eloges academiques.” Jako stały sekretarz Akademii Napisów, p. Wallon obowiązany jest na uroczystych posiedzeniach w końcu każdego roku uccieci wspomnieniem zmarłych członków. Owe to wspomnienia w ciągu lat kilkunastu zebrał obecnie autor i wydał je w 2-ch tomach. Niejednego z czytelników dzisiejszych odstraszyć może wymagany przez Akademią tytuł: „Eloges.” Powiedzmy jednak, że pan Wallon umiał zręcznie wydobyć się z trudnego położenia i konwencyonalną pochwałę zamienić w ciekawe studyum, a co więcj, w krytyczną rozprawę. Tym sposobem dzieło jego stało się bardzo ważną historią erudycyi francuzkięj z drugieję połowy XIX wieku. Studya te ogarniają prace najznakomitszych filologów i starożytników, jak znanego sinologa Stanisława Julien, uczonego egiptologa hr. de Rougé, badacza średniowiecznych pomników Paulina Paris, antykwarjusza Naudet, archeologa Karola Lenormant, numizmatę Saulcy i wielu innych.

Nie poprzestając na gruntowném ocenieniu dzieł, p. Wallon w kilku rzutach pióra kreśli fizyognomią erudytów, oddaną żywo, z całą prawdą. Zobaczmy np. fizyognomią Stanisława Julien: „Życie jego całe upłynęło wśród badań nad Chińczkami; tak dalece przejął się swym przedmiotem, że nastąpiła w nim dziwna metamorfoza; postacią nawet, tuszą, każdym ruchem, przypominał mandaryna chińskiego. Gdyby nosił okrągłą czapkę z guzem i suknię jedwabną, rodowity Chińczyk wzięłby go za współrodaka swego.”

Wybornie zbadał Wallon słabostki uczonych, zapatrzonych w jedyny przedmiot długoletnich badań. Z radością i obawą poglądają oni na uczniów, sylabizujących w księdze, którą sami z trudem od deski do deski przeczytali. Wszystko dobrze, póki piskłeta siedzą w gniazdku; ale niech-no poprobują skrzydeł do lotu, cień pada na czoło erudyty. Wyhodowany uczeń, stanie się może współzawodnikiem i następcą. Stanisław Julien np., chciał widzieć Chiny rozgro-

dzone z odwiecznego muru, pragnął, aby kraj ten badano z nim razem, ale nie przebaczał tym, którzy badali go na własną rękę.

Z równem życiem kreśli Wallon fizyognomią antykwaryusza Nau-det, zmarłego przed dwoma laty stuletnim blisko starcem. Uczony ten przez cały czas obłączenia i społecznego przewrotu pozostał w Paryżu zagrzebany wśród starych pergaminów. W ostatnich dniach komuny spotyka się z kolegą; utyskuje nad losem kraju, boleje nad kłeskami, a po chwili z większym jeszcze zapałem mówi o skomentowanych przez siebie manuskryptach Wilharduin'a.

Obszerne studyum nad pracami świeżo zmarłego filologa, Paulina Paris, na szczególną zasługuje uwagę. Wallon ukazuje go dwudziestoletnim młodzieńcem, w chwili romantycznego przełomu w literaturze. Podczas gdy Wiktor Hugo z całą falangą poetów szuka nowych pobudek w średniowiecznych podaniach, przytłoczonych brzemieniem panującego przez trzy wieki szkolnego klasycyzmu; podczas gdy Akademia piorunuje na nowatorów, Paulin Paris rzuca się z zapałem do badania starodawnych pomników, zagrzebanych w bibliotekach. W samym przedświcie nowego zwrotu, w r. 1824, kreśli ciekawą rozprawę: „Apologią szkoły romantycznej,” protestuje silnie przeciw klasycznej rutynie, pokazuje, że tylko na swojskim gruncie, czerpiąc soki żywotne z własnej ziemi, literatura może zakwitnąć pełnym kwiatem i wspinać się wydać owoce.

Pięćdziesiąt lat zbiegło Parisowi na tych pracowitych poszukiwaniach. Wydobył też z ukrycia nieprzebrane skarby, spisał wyrozumowany ich katalog, tłómaczył, komentował, ogłaszał drukiem najcenniejsze pomniki literackie. Życie nie starczyło mu na dokonanie prac rozpoczętych; ale mniej zawistny od Stanisława Julien, miał u schyłku dni tę pociechę, że w zdolnym i równie wytrwałym synu przygotował godnego siebie zastępcę. Gaston Paris za życia jeszcze ojca objął po nim katedrę średniowiecznej literatury w kolegium francuzkiém i prowadzi dalej wydawnictwo drogocennych zabytków z epoki pierwotnego romantyzmu.

W niemniej zajmujący sposób określa Wallon prace słynnego egipptologa Emanuela Rougé. Archeolog ten, uczeń i spadkobierca Champoliona, rozjaśnił Biblią całym światłem, jakie nauka wydobyła dziś z wnętrza Egiptu. Odczytane przez niego napisy, wryte na skałach, poprzedzają o kilka wieków epokę, w której Mojżesz pisał Pentateuch i kreślił tablice na Sinai. Wymowna to odpowiedź tym, którzy usiłują zaprzeczyć autentyczności księgom Mojżeszowym.

W studyach nad pracami Karola Lenormant, Wallon przytacza słowa, jakimi uczony ten archeolog opowiada zwrot swój do uczuć religijnych. „Zrazu, mówi Lenormant, patrzałem na chrześcijaństwo roz-targnionym i leniwym wzrokiem człowieka światowego. Im dalej posuwałem się w badaniach, tém silniej czułem jak słabną i zacieraają się uprzedzenia moje w rzeczach religijnych, nabyte w młodości pod

wpływem ducha czasu. Od chłodu przeszedłem wkrótce do poszanowania; poszanowanie doprowadziło mnie do wiary.

Tenże sam zwrot pokazuje p. Wallon w dwóch znanych erudytach, profesorach wszechnicy sorbońskiej: Guignaut i Karolu Magninie. Widzi w tym zwrocie potwierdzenie słynnych słów Bakona: „Trochę nauki odprowadza od Boga, wiele nauki prowadzi napowrót ku Bogu.” W ciągu tych uczonych badań, autor usiłuje wykazać całą niedorzeczność głoszonej dziś przez wielu teorii, jakoby nauka nie mogła iść w parze z religią.

Najwymowniejsze świadectwo zgodności wiary z nauką, mamy w uczonym geologu i przyrodniku naszym Ig. Domejce, niegdyś towarzyszu Mickiewicza w uniwersytecie wileńskim, dziś rektorze akademii w San-Jago. Przytaczamy tu jego list świeżo otrzymany przez czcigodnego Bohdana Zaleskiego i łaskawie nam udzielony. Uważamy za miły obowiązek, podzielić się nim z czytelnikami Biblioteki Warszawskiej.

San-Jago 25 grudnia 1883.

Najdroższy sercu mojemu, mój rowieśniku Bohdanie, piszę do ciebie dzisiaj, w dzień Bożego Narodzenia, żeby się choć na chwilę podweselić i podjunaczyć, kiedy już od pół wieku, nie słyszę pieśni naszych świątecznych, nie łamie opłatka, i sam jeden jak wróbel na dachu, ślęczę tu pod cudzím niebem! Ach! żebyś ty wiedział, jak ja tęsknię za tobą; często przychodzi mi na myśl, przy żądzy, jaką mam by powrócić do kraju, że jeśli przeszkoda jaka nie pozwoli mi osiąść przy córce, tobym z ochotą obrał sobie na mieszkanie ową wioseczkę pod Wersalem, gdzie Ty mieszkasz, i dokonalibyśmy spokojnie gawędki na tym świecie, jak Gerwazy i Protazy.

Ależ czy przyjdzie do tego? czy Bóg pozwoli? Dziś jeszcze przy końcu roku, kiedy banki i bogate domy handlowe, zajęte są bilansem tak żywo, że ich służba nie ma czasu pójść na mszę o północy, ja kiedyś dziś na modlitwie do Dzieciątka Jezus, za żyjących i umarłych, tych których kochałem i Kocham, zrobił obrachunek ze sporój księgi życia, to z jój bilansu aż strach na jakiego wyszedłem bankrutnika. W istocie z żywych, Ty, Laskowicz, Odyniec, z umarłych długi, niezliczony szereg potraconych bogactw, z twojego i mojego skarbu lat młodych! Cóż robić, mój Kochany, i oni żyją, tylko że wyprzedzili nas do lepszego życia.

O Tobie piszą, żeś zapuścił poważną osiwiąłą brodę i prosto trzymasz się, rzeźko i śmiało. To mnie pociesza. Ja codzień, zaledwie słońce zajrzy do sypialni, zaraz do brzytwy, od brzytwy do kapucynów, od kapucynów do mego rektorstwa, z którego dotąd nie mogę wykreścić się. Piszę do ciebie bez okularów, ale słuch nie dopisuje i ciężiej już siadać na konia niż naszym ułanom. Ale Ty, mój drogi, masz Pegaza, na którym aż do ostatka pędzisz bezpiecznie. Twój rumak nie potrzebuje ostrogi, spieni się a nie potknie.

Nie chcę już dłużej trudzić oczu twoich. Nam starym, im dłużej żyjemy, tém mniej mamy o czém pisać, bo wszystko wiadome; nic nowego nie ma pod słońcem, wszędzie dziś też sama sromota, a u was we Francyi, może gorsza i zuchwalsza niż gdzieindziej. Rzym tylko stoi nieporuszony wśród boju, jak słońce Jozuego.

Bądź zdrów mój drogi, szanuj zdrowie Twoje, czekaj na mnie, mam nadzieję w Bogu, że jeszcze ciebie uściskę silnie i radośnie. Twój jak zawsze stary:—Domejko.

Wspominając przed chwilą Paulina Parisa, przytoczyliśmy słowa tego znakomitego filologa, że „literatura na własnym tylko gruncie rozkwita w pełni i bogate wydaje plony.” Słowa te wyrzeczone przed laty blisko pięćdziesięciu, stają się dziś rzeczywistością na całym obszarze Francyi. Świadectwem tego, zawiązujące się coraz to nowe towarzystwa literackie, we wszystkich stronach kraju: pod cieniem Alp i Pirenejów, w lesistych górach Auwernii, na wybrzeżach normandzkich i bretońskich. Pierwsi wystąpili do działania Felibrowie prowansalscy i skrzętnie poczęli uprawiać własne pole, praca ich bujne wydała już plony, dzięki sprzyjającym warunkom, znaleźli bowiem wielkiego poetę w Fryderyku Mistralu, śpiewaka „Mirelli“, a co więcej, ziemia ich, odwieczna kolebka Trubadurów, kryła w sobie bogate skarby domowych tradycyi, gotowe odkwitnąć za pierwszym potrąceniem.

Poeci prowansalscy, jak już wspominaliśmy nieraz, znaleźli silny opór u strony centralistów, którzy chcą widzieć w Paryżu jedyne ognisko skupiające w sobie wszystkie siły żywotne Francyi. Walka trwa uporczywa, centraliści szydzą z Felibrów; i ich langwedockiego języka, zowiąc go pogardliwie gwarą gminną; Felibrowie tymczasem nie ustępują na krok, czując się tém silniejsi, że znajdują poparcie w ościennych Katalończykach, złączonych z nimi wspólnością języka i tradycyi.

Snać na hiszpańskim stoku Pirenejów, centralizm słabiej się zakorzenił niż na gruncie francuzkin. Świeżym tego dowodem, przyjęcie do Akademii Madryckiej poety Balaquera, głównego propagatora katalońskiej literatury. Ważny to fakt we współczesnych dziejach Francyi i Hiszpanii. Nie sądzimy, aby akademia Madrycka, podnosząc tak wysoko zasługi katalońskiego pisarza, miała na myśli manifestacją polityczną, uczyniła to w celu czysto naukowym; dziś jednak nauki etnograficzne, lingwistyczne i polityczne tak ściśle poplątane są z sobą, że ów akt akademii Madryckiej musi wyrzucić wielki wpływ na rozwój udzielności literackiej w południowej Francyi, a tém samym zaniepokoić centralistów paryzkich.

Balaquer tém jest dla kolebki swój Katalonii, czém jest dla prowancyi Mistral, z tą jednak różnicą, że Mistral jest przedewszystkiém poetą, prowansalskim Homerem, jak go nazwał Lamartine; Balaquer zaś, lubo pisał dramata i liryczne poezye w katalońskim języku, zawdzięcza głównie sławę erudycyjnym i krytycznym swym pracom.

Kocha on gorąco rodzinne gniazdo, zbadał do gruntu jego przeszłość, cieszy się jego dawną chwałą, przyznaje mu prawa do samoistnego rozwoju na własnym gruncie. Prawa te opiera na historii. Kiedy królestwa Kastylii i Aragonu, złączone w jedną całość, utworzyły monarchią hiszpańską, pod berłem Ferdynanda i Izabeli, Katalonia lepiej od innych prowincji zachowała swoje zwyczaje, swój charakter, swoją typową fizyognomią. Katalończycy mało mieli stosunków z Maurami, nie ulegli też wpływowi arabskim; język ich więcej zbliżał się do łaciny, niż narzcza w innych częściach Iberyjskiego półwyspu. W IX-tym wieku, język ten wydał literaturę, która przez pięć wieków żywym świeciła blaskiem, a upadać zaczęła wraz z utworzeniem jedności państwowej. W wieku XVIII-tym, przysłała do zupełnego upadku; pozostał z niej tylko język, przechowany pomiędzy tubylcami. W pierwszej dopiero połowie naszego wieku, pod wpływem objawiającego się powszechnie zwrotu do narodowych tradycji, odradza się zaczęła literatura katalońska, a przed laty dwudziestu rozkwitła w zadziwiający sposób. Dziś ma biegłych przedstawicieli na każdym polu, tak w powieści jak w poezji lirycznej, w dramacie, a nawet w literackim i politycznym dziennikarstwie. Wśród tych pisarzy Balaquer pierwszorzędne zajmuje stanowisko: on gorącą pieśnią wstrząsnął serca Katalończyków, a szeregiem uczonych rozpraw, wskazał prawa ich macierzystej mowy do samodzielnego bytu. Prowincjonalną mowę nazwalibyśmy macierzystą, gdyż dziecię uczy się jęz z ust matki, a wiadomo, że niewiasta była wszędzie piastunką tradycji, przyrosłych do domowego ogniska.

W mowie akademickiej Balaquer wypowiedział zdanie swoje co do prowincjonalnych literatur, wykazał główne ich cechy, i wpływ ich na język hiszpański. Wspomniawszy odrębny język Basków, równie jak gwary galickiego i asturyjskiego ludu, zwrócił się głównie do prowincji katalońskich, licząc w to Walencją i wyspy Balearskie. Sięgnął do pierwszych źródeł katalońskiej literatury, pokazał jęz rozrost w pamięć wieków, dzieła jakie wydała, siłę żywotną, z jaką się dziś odradza, zacięte walki jęz z prądem pchającym społeczeństwo ku państwowej jedności. Balaquer w tych wywodach, okazał się równie głębokim historyzofem jak lingwistą. Pokazuje on niebezpieczeństwa, wypływające z obu przeciwnych prądów, posuniętych do ostatecznych kończyn. O ile centralizm sprowadza jednostajność zgubną w literaturze, o tyle znów wolność prowadzi do licencyi. „Otóż więc, dodaje akademik, jeśli w porządku politycznym zadaniem jest prawodawcy, znaleźć formę, któraby ustanowiła harmonijną równowagę między niepodległością a zcentralizowaną władzą, toż samo kryterium powinno być zastosowane i do literatury. Im więcej będzie żywotności i samodzielnej siły w prowincjach, tém większą potęgą w narodzie. Ztąd wypływa loiczny wniosek, że koniecznością jest wspierać rozwój literatur prowincjonalnych, te bowiem, im więcej zdobędą żywotnej siły, tém dzielniej wpłyną na literaturę narodową, która, czerpiąc z nich nowe wyrażenia

i zwroty, wzbogacona niemi, do coraz wyższego dążyć będzie udoskonalenia.“

Znany w literackim i politycznym świecie Castellar, odpowiadał na mowę nowego akademika. Przebiegając długi szereg prac jego literackich, zatrzymał się najdłużej nad wielkiej wagi dziełem p. t.: „Historia literacka i polityczna Trubadurów.“ Autor wydobył tu na jaw wszystkie skarby literatury prowansalskiej i katalońskiej, pokazał o ile ruch umysłowy, silnie rozbudzony w tych stronach, ocalił od barbarzyństwa południową Europę podczas najazdu hord północnych, przechodząc szczytki greckiej i rzymskiej cywilizacji. Krytycznym poglądem na instytucję Trubadurów, daje poznać jej rodowód, stopniowy rozwój i upadek, wszechstronną jej działalność, tak w dziedzinie literatury i polityki, jak pod względem religijnym i społecznym. Jakoż ogromny był wpływ na społeczeństwo tych wędrownych śpiewaków, przebiegających miasta i feudalne zamki. W średnich wiekach spełniali oni zadanie dzisiejszych dziennikarzy, roznosili wieści, urabiali opinie, krzesali w piersiach iskrę, z iskry wydobywali płomień. Niektórzy rozsiewali pieśnią idee moralne i filozoficzne, wskazywali nawet polityczne reformy.

Obszerne i pełne erudycji dzieło Balaquera składa się z dwóch części: pierwsza obejmuje wyłącznie historią literatury Trubadurów i Truwerów, w drugiej części autor nakreślił bardzo ciekawe ich życiorysy.

Na scenie Odeonu ukazał się w tych czasach dawno zapowiedziany utwór historyczny pana Vacquerie pod tytułem „Formoza.“ Paryż przyklasnął mu z zapamię. Obowiązkiem naszym dać poznać wspaniałą ten poemat, któremu głos ogólny długotrwałe wróży powodzenie. Rzecz rozpoczyna się w Londynie w roku 1470. Aby lepiej rozjaśnić sytuacją, cofnijmy się o dziesiątek lat i rzućmy okiem na ustęp z dziejów Anglii, z którego poeta wysnuł tragiczny wątek.

Edward IV z domu York, ogłoszony był królem w roku 1461, dzięki usilnym zabiegom hrabiego Warwick. Gdy się ugruntował na tronie, wysłał potężnego swego protektora do Ludwika XI z prośbą o rękę jego siostry Bony z Sabaudyi. Owóz podczas nieobecności Warwicka, Edward upodobał sobie piękną Elżbietę Wood i poślubił ją niebawem. Warwick powraca, dumny z missyi doprowadzonej świetnie do skutku. W imieniu króla wręczył już pierścień Bonie. Uniesiony gniewem, godzi się z domem Lankastra, chwyta za oręż, staje na czele tego, wrogiego mu dotąd stronnictwa: wyzywa Edwarda, stacza z nim walną bitwę. Pokonany Edward zbiega do Holandyi w r. 1469.

Tak rzeczy stoją kiedy rozpoczyna się akcja. Zwycięzki Warwick trzyma w mocy swój koronę angielską, może rozporządzić nią według woli. Głos powszechny objawia się za księciem Janem, potomkiem Edwarda III-go. Warwick tymczasem, pragnie przywrócić na tron Henryka VI-go więzionego od dawna w baszcie londyńskiej.

Nienawistném okiem patrzy Warwick na księcia Jana, nie tajno mu bowiem, że Jan podzegał Edwarda przeciw niemu, radząc królowi aby skruszył więzy, narzucone mu przez zuchwałego sługę. Nie zapomniał Warwick zniewagi, z gniewem też odpowiada stronnikom Jana:

On nazwał mnie służalcem, a ja mam koronę
Ozdobić czoło jego? i z głową schyloną
Służyć mam zuchwalcowi co mi plwał w oblicze?
Ja, ogłosić go królem?—wprzód krzywdy policzę
I pomszczę... Mitrę z czoła ja strączę mu raczój,
Miał królewskiego berła dam mu kij żebraczy.

Warwick postanawia rozkuć z więzów Henryka VI i ogłosić go królem. Wtem staje przed nim wierny poplecznik, zawołany szermierz Sword, gotów zawsze do posługi panu swemu. Spełnił on właśnie poufne zlecenie, ścigał okiem piękną Formozę sierotę po hrabi Essex; przynosi o nią wieści. Tę piękną dziewczę Warwick kocha z zapalem, lubo nigdy nie wyrzekł do niej słowa. Miłość ta rozgorzała nagle w jego sercu, pod wpływem nadzwyczajnej przygody.

Byłoby w dniu kiedy Warwick wyjeżdżał z miasta, konno, z świętym orszakiem: miał właśnie popłynąć za morze jako poseł i dziewosłab królewski. Lud rozmiłowany w nim, odprowadzał go tłumnie. U bram miasta zabiega mu drogę orszak pogrzebowy. Prowadzono ciało hrabiego d'Essex zamordowanego przez robotników. Posłuchajmy jak Warwick opowiada spotkanie z Formozą.

Był to pogrzeb Essexa... lud uniesion szalem
Znieważył jego trumnę bluźnierczemi słowy,
Próżno odpiera napaść orszak pogrzebowy,
Chce tłuszcza rozbić trumnę, i martwe z niej zwłoki
Na ohydę w kałuży zanurzyć głębokiěj;
Szał roślinie, z ust się kłątwy sypnęły złowrogo.
Odkoczyli kapłani wskroś przejęci trwożą,
W okół orszak żałobny rozbiega się tłumnie,
Tylko córka hrabiego została przy trumnie;
Od stóp do głów fałdzistym pokryta welonem,
Stoi jak czarne widmo z czołem podniesionem,
Przeciw miastu całemu do walki gotowa.
Straszny widok... przy trupie ta mara grobowa!
Lud umilkł, lecz po chwili tém groźniej się tłoczy,
Ona zdarła zasłonę, płomieniste oczy
Zatoczyła po tłumach z gniewem i pogardą,
A potem obróciła wzrok ku mnie, tak hardo,
Żem zdrzął; spinam konia, pomknę ku niej cwałem,
Składam pokłon... cóż widzę? Ci, którzy nad ciałem
Pastwili się zażarcie, ta fala wezbrana
Przed uroczą dziewczica pada na kolana.

A ona, co w brew śmierci patrzała tak dumno,
Zapłakała jak dziecko nad ojcowską trumną.

Odtąd postać Formozy stoi przed oczyma Warwicka. Z zapałem ukochał on śmiałą dziewczę, pragnie poznać ją bliżej, otrzymać jej serce i rękę, ale Formoza oddała już serce innemu. Sword dostrzegł ją wczoraj w ogrodzie na schadzce z ukochanym; dziś nowe nastąpi spotkanie. Tym współzawodnikiem... księżę Jan!

Słyszy to Warwick, stłumił ból w męźnej piersi, znów wyprawia na zwiady wiernego Swojda.

Ukryty w gęstwinie, podsłuchał Sword krótką rozmowę zakochanych. Z kilku słów Jana snadno poznać niktzemną jego duszę:

Ha! Warwick on mi zemstę poprzysiągł do grobu;
Muszę zjednać go sobie... szukajmy sposobu!
Bądź co bądź, czas tak nagli, każdego się chwyć;
Lecz wypada sero naszych ukryć tajemnicę,
Wiesz ta, wnetby przyjaciół zmieniła na wrogi,
Że tracę na miłostkach czas dla mnie tak drogi.

Zadrzała Formoza... lica jęj zbladły... woła z boleścią:

Ma otucha w tobie!

Nie mam ojca ni matki, bracia moi w grobie,
Gdybyś ty mnie nie kochał? cóż mi tu zostanie?
Z śmiercią łączy mnie tyłu, ty jeden, mój Janie,
Wiążesz mnie jeszcze z życiem ogniwą świętą!

— Ja kocham cię! zawoła Jan; jeżeli pragnę tronu, to dlatego abyś go ze mną podzieliła!...

Na to Formoza rzecze słodko:

Jeśli dla mnie, ach! po co mur przebijać głową?
Kochasz mnie Janie drogi... jestem już królową.

Jan pożegnał Formozę, zręczny Sword przystępuje ku niemu, mieni się domownikiem Warwicka.

— „Dlaczego, spyta księżę, twój pan tak pilnie śledzi moje kroki?

Sword wyznaje mu bez ogródki że hrabia kocha Formozę.

Słyszy to Jan, milczy; zadumał się: snać z myśli wysnuwa jakieś tajemne plany.

— „On kocha Formozę!“ powtórzył cichym głosem.

Na tém kończy się akt pierwszy: widzimy tu zręcznie zadzierzgnięty węzeł dramatu.

W akcie następnym, Warwick sam, usiłuje zbadać serce własne, widzi głęboką w niem ranę, lituje się nad sobą.

Cóżby Anglia rzekła?

Ten gwałtowny niepokój, ta walka zacięła,

Co szarpie myśli moje, czyż o nią się toczy?
O jój cześć?... nie... o piękne czarodziejki oczy.

Żołnierzul tobież upaść pod źrenic postrzałem?
Ja, com się czuł dość silny, by trząś państwem całym,
Dla narodu mojego trzebić nowe szlaki,
Mnie, na urągawisko przypadłże los taki?
Wczora jam tu panował... dziwnaż to przemiana,
Tryumfator przed dzieckiem upadł na kolana!

Wtém przybywa książę Jan. Pycha w sercu jego przemogła nad miłością. Postanowił już co ma czynić. Z udaną otwartością wyznaje winy swoje względem Warwicka, ale nie jestże obowiązkiem patriotów, przepomnieć dawnych krzywd i nienawiści wobec niebezpieczeństwa kraju?

— „Anglia ginie szarpana niezgodą, zawoła książę, my oba ocalić ją możemy, ale potrzeba tak zespolić serca i myśli, aby nic rozerwać ich nie zdołało! Pragnę umocnić związek nasz nowym węzłem, proszę cię, hrabio, o rękę bratanki twój Heleny.

Warwick nie waha się ani chwili, nadzieja wstąpiła w jego serce. Skoro książę zaślubi Helenę, Formoza będzie wolną!

Gdy Jan odszedł, Warwick przywołuje bratanekę, pragnie pomówić z nią na osobności. Piętnastoletnia dziewczeczka przybiega w płasach. Związek z księciem krwi królewskiej napełnia ją radością.

On tak piękny! tak dziarsko dosiada bieguna! Tu, ukazuje się Formoza. Podczas gdy Warwick posłował we Francyi, Helena zawiązała przyjaźń z córką hrabiego Essexa. Wesoła dziewczeczka bieży ku nadchodzącej.

— „Cóż ty na to? zawoła, idę za mąż, posłużbę księcia Jana.

Słowa te ugodziły piorunem w serce Formozy. Chwieje się, czuje zamęt w głowie, szepcze słowa bez ładu.

Mnież tak znieważono?

Zdeptał całą mą przyszłość!... wczora zwał mnie żoną,
A dziś!... ależ to zdrada haniebna i podła!
Ja pomszczę się méj krzywdy!

Formoza zrozumiała wszystko, kiedy Warwick, po odejściu Heleny, korzystając z położenia oświadcza jój miłość. Krew zakipiała w jój żyłach, odpowiada ze zgrozą:

W tym ohydny targu,
Nic-że tu gniew i ból mój nie waży na szali?
I ten rumieniec sromu, co mi czoło pali?
I cała przyszłość moja złamana żalobą?
Wyście rzecz ułożyli gładko między sobą,

Bez względu że i moja potrzebna tu rada,
 Nie pytając mnie nawet, czy mi w smak przypada
 Nikczemna rola branki na sprzedaż wleczonój!

— „Żegnam cię, hrabio, zawoła w uniesieniu, a potem zatrzymuje się chwilę, snać w głowie jęj powstała myśl tajemnicza... dodaje rozpaczliwie:

Do widzenia wieczorem: jeśli przeniewierca,
 Zapoznał mnie, igraszkę czyni z mego serca,
 Jeśli wiedziony pychy szalonęj podniętą
 Rzecz: mamże zagradzać los mój tą kobietą?
 Jeśli go nie poruszy płacz mój ani skarga,
 Jeśli zimny samolub mą duszę potarga;
 Gdyby on, co mi wiarę poprzysiął do skonu,
 Wedrzeć się, po mym trupie chciał na stopnie tronu!
 Jeżeli...

— „I cóż wtedy?

— „Ha, widmo złowieszcze!

Do widzenia... wieczorem zobaczmy się jeszcze.

Na tém akt drugi kończy się zagadkowo. W trzecim panuje głównie scena jedna, ale nadzwyczaj dramatyczna. Formoza przyrzekła dać posłuchanie Warwickowi. Jan uwiadomiony o tém, ukrył się tajemnie za draperyą, aby podsłuchać ich rozmowę. Nie uszło to oka bacznęj Formozy. Pragnie wtrząsnąć do gruntu sercem Jana, rozbudzić zgasłe uczucie, to podniecając w nim zazdrość, to rzucając palące słowa zniewagi.

„Piękny król, co go wassal wznieść lub stracić może,” zawoła z urąganiem. Ośmielony tém Warwick wybucha gwałtownie... błaga ją o słowo nadziei. Formoza słucha tych wyznań, nie stawia im zapory, oko tylko utkwiała w zasłonę, za którą słucha Jan. Ale zasłona nie poruszy się, ani zazdrość, ani gniew za odebraną zniewagę, nie skruszy lodu téj piersi samolubnej. Obojętność ta doprowadza biedną do szału. Zbliża się do Warwicka, rzecz stłumionym głosem.

Wierzyć nie mogłam, hrabio, w nikczemności tyle,
 Gdy jednak te matactwa spełnią się za chwilę,
 A więc ja...

Chciała wyrzec: ja ciebie kocham! ale słowa skonały na jęj ustach. Porwana szałem biegnie, gwałtownym rzutem ręki zdiera zasłonę:

Podły! ukaż się teraz!

woła z najwyższą pogardą.

Dreszcz przebiegł po widzach, sala wstrząsła się od przeciągłych oklasków.

Jan występuje błądy, pomieszany. Formoza patrzy nań szyderczo, a potem przystępuje do Warwicka:

Nienawidzisz go, hrabio; a ja patrzę dumnie,
 Że temu, co go pragniesz widzieć martwym w trumnie,
 Chcesz dziś czoło królewską uwieńczyć koroną!
 Nie żądam téj ofiary! zostanę twą żoną
 W dniu, kiedy Henryk szósty, twém ramieniem wsparty
 Otrzyma tron i berło...

To rzekłszy, zwraca się do Jana:

Drżj książę! odtrącona przez ciebie sierota,
 Podnosi czoło w górę, wyzywa cię hardo,
 Za zdradę nikczemnika odpłaca pogardą.

Ale Formoza nie obliczyła sił własnych, sprzeczne uczucia wstrząsają nią naprzemian. Z ust jéj sypią się palące słowa wzgardy, a serce dawną uderza miłością.

W akcie czwartym wyznaje przed Warwickiem całą prawdę:

„Kobiéta odrzucona przez drugiego, nie godną ciebie hrabio! Ja nienawidzę go, ale gniew i pogarda nie zabiły we mnie dawnych uczuć... Zapomnij o mnie!”

Warwick z rozdartém sercem słucha tych wyznań. Ostatnią nadzieję pokłada w związku Jana z Heleną; Formoza w obec téj niezłomnej zapory, może jeszcze nakłonić się ku niemu.

W ostatniej rozmowie z Janem, Formoza sypie mu w oczy gradem przekleństw; tymczasem za oknami słyhać okrzyki tłumów. „Niech żyje król Jan II!”

„Sprzedałeś mnie nikczemny! — woła ze zgrozą znieważona kobiéta—ale nim otrzymasz zapłatę:

Idź, zapytaj Warwicka czy zechce umarłéj!

I połyka truciznę, a potém słabym wyszepcze głosem:

Niech wnijdą, Janie drugi strąciłam cię z tronu!

W téj chwili wpada Warwick, klęka u stóp konającej... gdy serce bić jéj przestało, zrywa się, bieży do okna, przerażającym krzyknie głosem:

„Wołam! niech żyje Henryk szósty!

Tłum powtarza z uniesieniem, „niech żyje Henryk” i zasłona zapada.

Nie ujmując poetycznej ani dramatycznej wartości pięknej sztuce pana Vacquerie, przyznać musimy że nie jest nowożytnym dramatem, ale raczej tragedją w całym znaczeniu słowa. Autor nie śmiał zatytułować utworu swego w sposób tak przestarzały, wyręczyli go w tém krytycy, i rzecz dziwna! żaden z nich nie czyni ztąd zarzutu, przeciwnie nawet, jeden z najgłośniejszych szermierzy pióra, Sarcey, wyraża się temi słowy: „Formoza jest arcy klasyczną tragedją, lecz

ja bynajmniej nie użalam się na to. Najwspanialsza to forma dramatyczna, jaką ludzki umysł kiedykolwiek utworzył.“

Zapisujemy te słowa, aby dać poznać z kąd wiatr powiewa dziś we Francyi. Sam Wiktor Hugo, niegdyś zagorzały burzyciel więzów arystotelesowskich, Hugo, który na sztandarze swoim wypisał znaczące godło: „Brzydota pięknem,“ obecny na piérwszém przedstawieniu „Formozy,“ gorąco przyklasnął autorowi. I z kądże tak nagła przemiana? Ztąd chyba, że brzydota podniesiona do piękna przez romantyków, zamieniła się w potworność pod piórem przewodzców naturalistycznej szkoły, którzy zanurzyli sztukę w kałuży nihilizmu!

Ówierć wieku ubiegło, odkąd rozbity został mur chiński dla Europy zachodniej, ale dziś dopiero Europa korzysta ze zniszczenia téj wiekowej obręczy, bo dziś, nie sami tylko uczeni lingwiści i archeolodowie, ale zarówno ekonomiści, handlarze, przemysłowcy, ciągną pożytek z nowego stanu rzeczy. Skorzystała na tém i wyższa krytyka historyczna, zajmująca się życiem dziejowém całego rodu ludzkiego.

Z najnowszych publikacji dotyczących zapadłego Wschodu, piérwsze niewątpliwie miejsce, zajmują dwa ostatnie tomy geografii Elizeusza Reclus, poświęcone Chinom i Indyom, nie dlatego, aby odpowiadać miały na wszystkie pytania, ale że reasumują głównejsze z nich dla ogółu czytelników. W nowych tych pracach to uderza przede wszystkim, że hipoteza, jakoby społeczeństwo chińskie było idealnym typem ludów turańskich, a przeciwnie społeczeństwo indyjskie miało przedstawiać formę ustroju ekonomicznego i politycznego Aryów, że ta hipoteza, powtarzamy, coraz bardziej zamienia się w niezbity pewnik. Sam ten fakt jakże wiele daje pobudek do myślenia! Nie idzie tu już o odkrycie imion nieznaných bohaterów z czasów Faraonów lub królów assyryjskich, tu oto występują dwa społeczeństwa, liczące po kilkaset milionów ludności, bogate już przeszłością historyczną w czasach, kiedy Grecya i Rzym nie istniały, i oto te dwa społeczeństwa przedstawiają się nam jako typy dwóch głównych grup rodu ludzkiego: Aryów i Turanów.

Innym razem podejmiemy ten przedmiot, biorąc za przewodnika p. Reclus, dziś zatrzymamy się na nowéj pracy p. Simon, „O znaczeniu rodziny w Chinach.“ Długo autor przebywał w tym kraju jako konsul francuzki. Wprawdzie pod względem głównych zasad potwierdza on tylko to, co przed nim zapisali dawniejsi podróżnicy, a co pan Reclus ostatni sformułował. Ale ponieważ p. Simon badał w sposób wyłączny rodzinę chińską, ztąd praca jego zasługuje na szczególną uwagę.

Główną nowością dla czytelników europejskich w rozprawie pana Simon, jest oznaczenie liczby mieszkańców państwa niebieskiego. Wiadomo, że w tém zachodzi dotąd wielka sprzeczność: jedni liczą niecałe 300 milionów, drudzy posuwają do czterechset, a oto p. Simon podaje ogromną liczbę 530 milionów dusz. W niektórych okręgach

przypada od 12 do 15 mieszkańców na hektar, do czego nie dochodzi ani Belgia ani Lombardia, dwa słynne rojowiska ludzi w Europie. O ósmset mil francuzkich od wybrzeży, są miasta liczące do miliona mieszkańców. Dzięki udoskonalonemu rolnictwu, masy te znajdują wyżywienie. Pola ryżowe wydają od 12 do 14,000 kilogramów ryżu na hektar; ztąd też wartość ziemi nadzwyczaj wysoka. Cena hektaru wynosi po 25 do 30,000 franków. Autor wymienia właścicieli, którzy z trzech hektarów i pół, odkładają rocznie po 18,000 fr. Każda piędź ziemi starannie tu spożytkowana: na skałach widać urządzone sztucznie pola, na tratwach kwitną ogrody. Ten dobrobyt materyalny, ta rojąca się ludność, nadają szczególną cechę krajobrazom chińskim. Pan Simon określa je w malowniczy sposób. „Lasy, mówi on, znikły zupełnie, zastąpiły je wsie tak wielkie i ludne, jak w pobliżu wielkich miast europejskich. W odstępach między jedną wsią a drugą, widzimy rozrzucone pomniejsze zagrody, obejmujące ledwie po trzy hektary gruntu: każda z nich otoczona polem, osadzona drzewami. Te liczne wsie i zagrody, stykają się prawie, ale co je szczególnie zbliża, to że rodziny uboższe, znajdują w zamożniejszych, z których się wyroiły, pomoc systematycznie uorganizowaną. Każda wieś, każda grupa osad posiada osobny swój zarząd. Mieszkańcy mają swoją szkołę, swego wójta, swój sąd familijny, a w razie potrzeby znajdują gotową zawsze pomoc: wspólne ręce do pracy, wspólne bawoły i t. p. Jest to ustrój komunistyczny, właściwy ludom patryarchalno-demokratycznej cywilizacji.

„Pod względem malowniczym, ciągnie dalej autor, bywają niewątpliwie piękniejsze i wspanialsze krajobrazy; nigdzie jednak przyroda nie przedstawia się miłej i sympatyczniej. Tu i owdzie na pochyłości wzgórków, piętrzą się gaje bambusowe, każde pole osadzone drzewami. Każdy domek otoczony ogrodem. Widać jeszcze w około wielkich pagod lub na wierzchołkach gór, szczątki dawniejszych lasów, ale co najbardziej zachwyca oko, to ogromna moc kwiatów wszelkiego rodzaju. Wkoło domów kwitną cały rok prześliczne róże, wonne gardenie, purpurowe azalee i rododendrony; po ścianach i parkanach pną się glicynie z fioletowym kwiatem i mnóstwo innych roślin.

„W tych malowniczych wioskach żyje lud słodki, uprzejmy, łagodny. Każda twarz uśmiechnięta, pełna spokoju, przypomina owe obrazy na parawanach i porcelanie chińskiej. Pragnienia tego ludu umiarkowane, troska o przyszłość nie spędza mu snu z powiek; w pieśniach jego odbija też głęboki spokój. Śnać Chińczyk urzeczywistnił swój ideał; nigdzie na świecie tak wielka liczba ludzi nie używa stonkowego dobrobytu.“

Ukazawszy kwitający stan kraju, p. Simon bada instytucje, którym lud zawdzięcza pomyślność długotrwałą. Daje naprzód poznać ustrój społeczny, a następnie cnoty rodzinne.

Ziemia wszystka w Chinach, jest własnością państwa, rząd wydzierżawia ją mieszkańcom na czas nieograniczony, za opłatą oznaczo-

na raz nazawsze od jednego i pół do pięciu franków z jednego hektaru. Mimo ulepszeń zaprowadzonych przez dzierżawcę, opłata nie może być nigdy podniesioną. Ten podatek stanowi niejako tytuł własności, dzierżawca opłaca go też pilnie. Pierwsze pytanie jakie tu zadają, kwalifikując postępowanie członka rady familijnej, jest to: „czy opłacił podatek“? Prawo gwarantuje każdemu dzierżawcy z ziemi uprawianej przez niego, część, której nie wolno mu odłużyć ani sprzedać. Ta część daje mu utrzymanie, a ztąd czyni go niezależnym. Na 330 milionów hektarów, stanowiących terytoryum właściwych Chin, 70 do 75 milionów pozostaje w ręku jednych i tychże samych rodzin. Ten systemat bardzo sprzyja rozwojowi drobnych posiadłości. Wielka liczba rodzin uprawia tylko po pół hektara, inne znów po hektarze lub więcej. Majątki obejmujące dwadzieścia hektarów w małej są bardzo liczbie, nikt zaś nie posiada więcej nad sto hektarów. Na ziemi tak rozdrobnionej dzierżawcy krzątają się pilnie, aby szczupły rozmiar zastąpić bogatą produkcją; to też ani okruszka nawozu nie marnuje się w państwie chińskim; rola wydaje plody po kilka razy na rok.

Opłata z ziemi stanowi jedyny podatek w Chinach; zaspokoiwszy go Chińczyk używa zupełnej swobody. Może prowadzić handel lub obracć jaką chce gałąź przemysłu, nie troszcząc się o patent ani akcyzę. Ztąd pochodzi nadzwyczaj energiczny rozwój tak handlu jak przemysłu. Chińczycy fabrykują tanio swoje wyroby i sprzedają je za bezcen Europie, która nie zdoła współzawodniczyć z nimi. Mimo ogromnej liczby ludności, mało tam widać ubogich, a pytania społeczne szarpiące dziś łono europejskich społeczeństw, zupełnie tam nieznanne.

Jedną z przyczyn ogólnej pomyślności, jest nadzwyczaj tanie utrzymanie rządu. Państwo złożone z 530 milionów ludności, liczy zaledwie 25 do 30,000 urzędników. Ztąd to podatek z głowy jednej wynosi ledwie trzy franki, gdy we Francji dochodzi do 90 franków. Tymczasem prace publiczne postępują szybko, na wielką skalę. Pan Simon utrzymuje, że sieć kanałów przecinających całą przestrzeń Chin, nie ma równej sobie w żadnym kraju europejskim.

Porządek, ta silna podstawa społecznego bytu, opiera się tu głównie na obyczajach. Chińczycy realizują samorząd w całym znaczeniu słowa; rządzą się i administrują sami, w rodzinie przez radę złożoną ze wszystkich jej członków, w mieście przez delegowanych własnego wyboru, nad którymi urzędnicy państwowi mają rzec można tylko prezydencją, a i ci prezydenci zależą od miast w pewnym względzie. Pan Simon opowiada historią gubernatora, który gdziekolwiek spełniał urząd, złą pamięć zostawił po sobie. Mieszkańcy miasta do kąd był przeznaczony, czekali na niego u bram, pozwolili mu spocząć, uczęstowali go z chińską gościnnością; potem oświadczyli że nie pragną mieć go u siebie, a trzej z pomiędzy nich będą mieli zaszczyt odprowadzić go do stolicy.

Każdemu wolno tu otworzyć szkołę, posyłać do niej lub nieposyłać dzieci, a przecież wszyscy je posyłają; każdy bowiem Chińczyk umie czytać i pisać, zna dobrze rachunki i rysunek. Nigdy rząd chiński nie stawiał przeszkody zawiązującym się stowarzyszeniom. Wolno każdemu przenosić się z miejsca na miejsce, paszporta nie istnieją; a co najważniejsza, wolno im sądzić własne sprawy. Nie ma w Chinach urzędowego sądownictwa.

Trudno Europejczykom, przywykłym do machiny administracyjnej o licznych kołach, odebranej spadkiem po Rzymie, trudno powtarzamy zrozumieć im, jak może istnieć państwo bez urzędowego trybunału, bez urzędowej rady wychowawczej. Potęga ducha rodzinnego wystarcza tu za wszystko. Chińczycy czerpią mądrość praktyczną w głębokiej czci dla naddziadów. Według ich pojęć, człowiek nie jest oderwaną jednostką, ale raczej ogniwem łańcucha łączącego czas przeszły z przyszłością. Otrzymali oni cywilizację od naddziadów, korzystają z niej i powinni przekazać ją następcom. Zmarli przodkowie stanowią z żyjącymi wnukami ścisłą, nierozzerwalną jedność: żywi działają niejako pod ich okiem. Cała moralność chińska spoczywa na tej myśli: „to co czynię, azaliż podoba się naddziadom? będę ja godzinę złączył się kiedyś z nimi”? W każdym domu znajduje się księga rodzinna: zapisują w niej daty urodzenia, małżeństwa, śmierci, wyroki sądowe zatwierdzone przez trybunał familijny, pochwały zmarłych, życiorysy, testamenta. Podczas uroczystych obrzędów, starszy z rodziny wydobywa tę księgę, odczytuje z niej biografię najznakomitszych przodków, którzy tym sposobem uczestniczą w godach domowych.

Największém nieszczęściem dla Chińczyka, brak potomstwa, któreby kiedyś uczciło jego pamięć. Zaręczają dzieci w kolebce. Dwódstoletni młodzian bezżenny, prawdziwą jest osobliwością. Matłonkowie bezdzietni wychowują cudze dziecko przypuszczając je do praw familijnych. Nad każdym z członków swoich rodzina ma nieograniczone prawo. Skazuje winowajców na więzienie, na dyby, na pozbawienie praw rodzinnych. Ta ostatnia kara najokropniejszą jest dla Chińczyka. Po długiej pokucie, odrzutek taki wraca do domu, błaga o przebaczenie. Nie jeden z nich, gdy sędzi że cierpieniem zmazał już winę, zadaje sobie śmierć aby prędzej złączyć się z naddziadami.

Starszyzna rodzinna wywiera baczny dozór nad każdym członkiem swoim. Ponieważ ma w ręku moc wykonawczą, każdy usiłuje zjednać sobie jej względy. Ta potrzeba zniewalania starszych, nadaje kierunek wychowaniu. Rozwój pojęć moralnych przeważa tam nad rozwojem umysłowym. Najwyższym wyrazem nauki są przepisy postępowania sformułowane przez starożytnych mędrców. Wychowany w tych zasadach lud, ma obyczaję łagodne i wysokie poczucie godności osobistej.

Na dowód p. Simon stawia piękne przykłady. Nieraz, kiedy przybył do jakiegoś większego miasta, przyprowadzano mu do drzwi ska-

zanych na karę winowajców; na wstawienie jego, ci biedni otrzymywali łaskę, lub przynajmniej zmniejszenie kary. Przywilój ten służy w Chinach wszystkim znakomitym podróżnikom.

„Bardzo często, mówi autor, zmuszony byłem odmawiać znacznych pożyczek, ofiarowanych mi bez procentu, na słowo, przez mandarynów lub zamożnych mieszczan. „Panie, mówili do mnie, oddalony jesteś od swoich, może potrzeba ci pieniędzy; rozporządź nami!” Raz nawet mandaryn jeden przysłał mi 8000 franków i kazał zostawić je w ciemnym zakątku pokoju, lubo wcale ich nie żądałem.”

Jeśli trudno Europejczykom wniknąć w ducha cywilizacji chińskiej, nie mniejszą trudność spotykamy, gdy idzie o gruntowne poznanie bliższych, ale równie odrębnych od nas ludów. Umysły wyższe nawet, przywykły mierzyć drugich na własną miarę i nazywać barbarzyństwem wszelkie charakterystyczne cechy, właściwe ludom innym, niż nasza, cywilizacji. Zdaje nam się, że tego błędu nie uniknął pan Renan w konferencji o Islamizmie, jaką miał w Sorbonie kilka dni temu.

Uczony akademik nie przeczy bynajmniej, że przez lat pięćset, od VIII-go do XIII-go wieku, Muzułmanie przyświecali nauką Europie; utrzymuje tylko i usiłuje dowieść, że blask, jakim świecili, nie wypływał z nich samych, ale był wynikiem przeszłej historii Persów, to jest ludów aryjskich. Korzystali oni i z naukowości starożytnych Greków, ale rozpowszechniali ją w nędznych tylko tłumaczeniach, nie dodając z siebie nic nowego. Jednym słowem, uznaje Renan, że muzułmanizm z natury swojej walczył przeciw nauce; jeżeli zaś świat muzułmański błyszczał w danym czasie naukowym światłem, było to jedynie skutkiem okoliczności zewnętrznych, a sprzecznych z zasadą islamizmu.

Jako dowód, o ile muzułmanizm był i jest dotąd wrogiem wszelkiej nauki, przytacza Renan list kadego z Mossoul do znakomitego orientalisty p. Layard, który zapytywał go o szczegóły historyczne i statystyczne, dotyczące ludności miejscowej. Przytaczamy cały ten list, jako nadzwyczaj charakterystyczny:

„O! prześwietny mój przyjacielu! O! radości żyjących! To, o co mnie zapytujesz, jest zarazem nie potrzebne i szkodliwe. Jakkolwiek upłynęły tu wszystkie dni życia mego, nie przyszło mi nigdy na myśl, by rachować domy i pytać o liczbę mieszkańców. Ile kto łąduje towarów na muły, drugi do łodzi swojej, to dla mnie doprawdy obojętnym. Co zaś do dawnej historii tego miasta, Bóg sam ją zna i sam powiedzieć może, w ilu obłędach tonęli jego mieszkańcy przed tryumfem Islamu. Byłoby niebezpiecznie dla nas rozgrzebywać te rzeczy.

„O! mój przyjacielu! O! moja ty owieczko! Nie staraj się badać tego, co do ciebie nie należy. Przybyłeś pomiędzy nas: powitaliśmy cię życzliwie; idźże sobie w pokój. Zaprawdę, słowa, jakie wyrzekłeś do mnie, nie uczyniły mi nic złego, bo innym jest ten, co mówi, a innym ten, co słucha. Obyczajem ludzi narodu twego, zwiedzileś wiele

okolic i nigdzie nie znalazłeś szczęścia. My, dzięki Bogu, urodziliśmy się tu i nie pragniemy oddalać się ztąd wcale.

„Posłuchaj mnie synu: niema większej mądrości nad tę, która nam daje wiarę w Boga. On stworzył świat: mamyż się kusić o równanie z Nim, usiłując zbadać tajemnicę stworzenia? Patrz na tę gwiazdę, co krąży tam wysoko około drugiej gwiazdy; patrz na tamtą inną gwiazdę, co wlecze poza sobą ogon: tyle a tyle lat przybliży się, tyle oddala znowu od nas! Zostaw ją, mój synu! Ten, kto ją stworzył ręką swoją, potrafi nią też pokierować.

„Ale ty powiesz mi może: O! człowieku! oddal się, bom ja od ciebie mędrszy; widziałem rzeczy, o których ty nie masz pojęcia. Jeżeli sądzisz, że te rzeczy uczyniły cię lepszym odemnie, witam cię z podwójną radością; ale co do mnie, dziękuję Bogu, że nie pragnę szukać tego, co mi bynajmniej niepotrzebne. Uczony jesteś w rzeczach zupełnie dla mnie obojętnych, a to, coś widział, ja tém gardzę. Wielka nauka azali da ci drugi żołądek? a czy twoje, myszkując tu i tam, azaliż doprowadzą cię do Boga?

„O! mój przyjacielu! jeżeli pragniesz szczęścia, zawołaj: „Bóg tylko jeden wielki!” Nie czynź źle, a wtedy nie będziesz się lękał ani ludzi, ani śmierci, bo tylko patrzeć, a uderzy twoja godzina!”

Pan Renan przytacza ten list jednego z przedstawicieli islamizmu jako wymowny dowód, że ów islamizm wrogi jest badaniom naukowym i w ogólności rozwojowi cywilizacji. I jakże tu pogodzić rozumowanie Renana z faktem, jaki wykazuje sam w niezaprzeczony sposób, to jest, że przez lat pięćset naukowość, pielęgnowana w świecie muzułmańskim, przyświecała Europie? A dodajmy, było to w wiekach, kiedy Islam podbił mieczem tak obszerną przestrzeń kuli ziemskiej! I któż nie wie, że nawet w wieku XVI muzułmanizm założył w Delhi stolicę, która przez długie lata wielkim świeciła blaskiem!

Wreszcie z bliżej obchodzącej nas historyi wiemy, że długi czas po zdobyciu państw naddunajskich przez Turków, ludy podbite rozwijały się cywilizacyjnie i to w wysokim stopniu. Uczy tak nie żaden gorliwy zwolennik Islamu, ale sam autor „Starożytności słowiańskich,” Szafarzyk; w dziele „Narodopis,” dopełniającem powyższą jego pracę, wyraża podziw swój na widok licznych dowodów takiego stanu rzeczy w Turcyi. Tłómaczy to mówiąc, że Turcy, podbiwszy państwa chrześcijańskie, postępowali względem podbitych z wspaniałomyślnością, godną prawdziwych rycerzy, i to właśnie ułatwiło rozwój cywilizacji. Uciemienienia nastąpiły dopiero z upadkiem ducha rycerskiego u Turków, a nakoniec skutkiem wmieszania się państw ościennych pod pozorem protekcji dla Chrześcian.

I cóż ztąd wynika? Islamizm zasługujeż-li na pochwały bezwzględne? Bynajmniej. Pokazujemy tylko fakta, protestujące przeciw zbyt wyłącznej teorii p. Renan. Wyznać musimy, że w téj teorii przebijają względy polityki dzisiejszój. Europa chce zniszczyć Pan-

islamizm: widać, że go się lęka. Chrześcianie podzielają to uczucie; ale pytamy, godziż się, aby nauka była narzędziem polityki?

Nie opuszczamy nigdy sposobności, ilekroć możemy pokazać, o ile prace naukowe ziomek naszych pozyskały chlubne uznanie między obcymi. Uznanie to ze strony pierwszych astronomów francuzkich i angielskich znajduje dziś p. Adam Prazmowski.

Wiadomo, że uczonego astronom nasz, podczas zaćmienia całkowitego słońca w r. 1860, wysłany był do Hiszpanii w celu obserwowania tego fenomenu. Skutkiem obliczenia jego, korona słońca została zdeteminowana z precyzją i oznaczony kierunek promieni światła w koronie słonecznej, jako radyalny, t. j. jako przechodzący przez środek słońca.

Zanim pan Prazmowski oznaczył rzecz ze ścisłością naukową, nie wiadano, czém jest korona słońca; uważano ją jako skutek dyfrakcyi światła, fenomen, który mógł mieć miejsce w atmosferze ziemskiej, albo na drodze pomiędzy słońcem a księżycem.

Oznaczenie ścisłe istnienia i kierunku polaryzacyi korony utwierdza miejsce geometryczne téj korony w bliskości słońca, a oprócz tego oznacza naturę światła, które promienieje z téjże korony, pokazuje bowiem, że to jest światło słoneczne, odbite od ciała, nie mającego własnego światła.

P. Adam Prazmowski oznaczył to najściślej; ale przez lat dziesięć rezultat jego obserwacyi nie znalazł uznania pomiędzy astronomami; przeciwnie nawet, wywołał opór wielu z nich, mianowicie Pickeringa. Po latach dziesięciu jednak otworzyły się oczy astronomom. Mamy właśnie przed sobą wielki wolumen, wydany w Londynie: „Memoirs of the Royal Academy, vol. XLI;” znajdujemy tu imię Prazmowskiego powtarzane wielokrotnie wśród imion najślynniejszych astronomów, jak Campbell, Brankfeld, Langley, Winter i inni. Obliczenia p. Prazmowskiego, dokonane w Hiszpanii, uznano tu za nowy krok, postawiony naprzód w nauce; a obserwacje astronomów, dokonane w roku 1870, były, jak sami wyznają, powtórzeniem obserwacyi Prazmowskiego, z kilku dodatkowemi szczegółami.

Metody i aparata badań polaryzacyjnych, wprowadzone i używane wtedy przez p. Prazmowskiego, zyskały obecnie prawo obywatelstwa w astronomii, jak to widzimy z raportu p. Wolff, astronoma obserwatorium paryzkiego, umieszczonego w Nr. 2-gim „Compte Rendu” (1881), zdającego sprawę ze spostrzeżeń nad światłem komety 6, blyszczącej podówczas na niebie.

W roczniku dramatycznym z r. 1882 znajdujemy dokładne wyszczególnienie dochodów, jakie przez rok ubiegły przyniosły celniejsze teatru paryzkie. Do tych celniejszych policzono tylko 21, gdy tymczasem liczba wszystkich bez porównania większa. Otóż, główne teatru paryzkie przyniosły 20,044,758 franków dochodu.

Patrząc na te wymowne cyfry, podziwiać musimy żywotność narodu francuzkiego, objawiającą się zarówno w autorach i artystach, którzy umieją porwać i zadowolić publiczność, jak i w téjże publiczności, złańkionéj umysłowego pokarmu. Ale z drugiéj strony, jeśli zwrócimy uwagę na tę wielką liczbę sztuk nowych, z których maleńka le-dwie cząstka nie rozsiewa zatrutego miazmatu; jeśli weźmiemy na uwagę tę gorączkową chciwość coraz to nowych wrażeń, mimowolna przejmuję nas trwoga. Zda się słyszemy w powietrzu ów groźny okrzyk: Panem et circensis! grzmiący tu, jak niegdyś grzmiał nad murami Kolosseum i Kapitolu, nim go zgłuszyły tarany Allaryka i tentent bachmatów Atylli!

TEATR.

Dramaty: Jerzego Ohneta, Cudzoziemiec; Oktawiusza Feuilleta, Dwa Światy.
—Ważność obsady w dramacie poważnym.

Nie pójdziemy za „Tygodnikiem Ilustrowanym,” który w jednym tygodniu, pod rubryką teatru, dawszy obszernie sprawozdanie ze świeżo wystawionego 5-aktowego dramatu, w drugim zaraz tygodniu, pod rubryką kronika, pisze że „teatr nasz drzemie.“ Dodajmy, że w trzecim tygodniu powinien był dać sprawozdanie znowu ze świeżej nowości; ale strzegł się, ażeby tym sposobem nie narazić na szwank tylko co wyrażonej o teatrze opinii. Jak to łatwo mieć opinią!

My, lubo w przeszłym miesiącu nie pisaliśmy o teatrze, nie powiemy jednak że on drzemie, przynajmniej w dziele dramatu. Przeciwnie, utrzymujemy że pracuje prawidłowo, z pewnym nawet wysiłkiem. Choćby nawet teatr nie kwapił się z nowościami, czy można mu to mieć bezwarunkowo za złe? Byłaby to zapewne zdrożna opieszałość, gdyby, wskutek stagnacyi w repertuarze, pustki zalegały w sali: tymczasem dzieje się przeciwnie. Jeżeli dramat poważny zadrzemał, przypisać to trzeba przymusowej bezczynności dwóch bohaterek, z których jedną małżeństwo, drugą choroba, od sceny oddaliły: pustki też świecą na dramacie poważnym, przy zużytych repertuarze, ale to bywa tylko raz w tydzień. Za to komedia kwitnie w najlepsze i codziennie, bez wyjątku, napełnia salę.

Trzeba nie mieć wyobrażenia o prowadzeniu teatru, żeby mu kłaść za warunek konieczny bezustanne wystawianie nowości. Sztuka raz wystawiona, jest jak suknia, która się powinna nosić dopóty, dopóki się nie zedrze. W większych stolicach, a zwłaszcza w Paryżu, jedną sztukę grywają w jednym teatrze po sto razy z rzędu i więcej; a nikomu ani się przyśni pomawiać ten teatr o drzemkę: wysmianoby taki go. U nas tak być nie może: repertuar trzeba odświeżać częściej, ale go nie marnować.

Za dobre téż uważamy teatrowi, że w miarę sił artystycznych przedstawiając od czasu do czasu nowości, wznawia i repertuar dawny a dobry. Przywołano od ostatniego naszego sprawozdania sztuki przetrwane skutkiem zmian w składzie artystów, mianowicie: „Fałszywi poczciwcy,” „Syn Giboyera,” „Odetta,” „Niby-mażeństwo,” „Gałązka Heliotropu.” Teraz myślą o wznowieniu innych, jako to: „Poczciwi wieśniacy,” „Podpory społeczne,” „Mentor,” „Córka Fabrycyusza.” Wszystko to są utwory cenne, a jeżeli ściągać będą publiczność, teatr spełni swoje względem niej zadanie, i da dowód że czuwa, a rzeczy dobrej bez dobrej racji nie skazuje na zatracenie.

Jednocześnie ze wznowieniami teatr produkuje i rzeczy nowe. W tym czasie mieliśmy aż dwa dramaty pięcioaktowe, wprawdzie tłumaczone: „Cudzoziemiec“ i „Dwa światy.“

„Cudzoziemiec“ jest to dramat Jerzego Ohneta, młodego powieściopisarza, który odrazu stał się głośnym i modnym w Paryżu. Przerobiony on został przez samego autora z powieści „Serge Panine,” której bohater główny a ujemny jest polakiem o rosyjskiem imieniu i nazwisku. I powieść i dramat w Paryżu zyskały wziętość ogromną; tego dość, ażeby widowisko stało się pożądanem na wszystkich scenach europejskich. Tylko że teraz trudno o takie nowości zaświeża. Przed kilku jeszcze laty, autor francuzki podając utwór na scenę, jednocześnie wydawał go w książce, a tym sposobem wszystkie sceny zagraniczne znajdowały łatwość przyswojenia go sobie. Teraz, dyrektorowie teatrów paryżkich nie pozwalają drukować utworów nowo wystawionych aż po roku: jeżeli zaś która ze scen obcych chce go mieć wcześniej, musi grubo zapłacić. Dramat Ohneta dostał się tym sposobem na scenę wiedeńską, przetłumaczony na język niemiecki; ztamtąd na scenę krakowską, a ztąd w przekładzie polskim z tekstu niemieckiego, w trzeciem przeobrażeniu językowym, przeniósł się do repertuaru warszawskiego. Że zaś przedstawił się w narzecz u jakiego chyba używają na krakowskiem Kleparzu, przeto, bez tekstu oryginalnego i na domysł tylko, musiano go jeszcze dla warszawskiego ucha przerabiać, i tak, aż w czwartem przeobrażeniu ukazał się na scenie teatru Rozmaitości.

Czy warto było czynić tyle zachodu? Dla dyrekcyi, zgoda. Każdy zarząd teatralny musi dbać o nowości, ze względu na publiczność: stało się zadość ciekawości i chęci rozrywki, ale literatura dramatyczna nic na tém nie zyskała. „Cudzoziemiec“ (według tytułu nadanego temu utworowi w Warszawie), jako powieść jest dziełem doskonałym, ale, jako dramat, zanadto zachowuje swe właściwości powieściowe, żadnego zaś nowego pomysłu muzy dramatycznej nie produkuje. Treść wzięta z życia powszedniego, wprost dzisiejszego i fotograficznie rzeczywistego: cechy zaś téj treści są tak czysto francuzkie, nawet specjalnie paryżkie, tak on ogołocony jest z téj głębszej, wszechludzkiej psychologii, że dla niefrancuza nie stanowi przedmiotu zdolnego zainteresować ducha lub go do krainy ideału zbliżyć. Raczej to karta z życia pewnej grupy społecznej w chwili wielkiego upadku charakterów, niż

obraz ścierania się duchów, złych czy dobrych, ale natury energicznej i imponującej, jaka panować zwykła w świecie dramatu dążącego do wszechludzkiego znaczenia.

Rzeczywiście, w dramacie Ohneta (i to wskazuje pochodzenie jego powieściowe) panują zabiegi duchowe, aspiracje i namiętności, rozmienione na zdawkową, najdrobniejszą monetę; tylko, przyznać trzeba, moneta to prawdziwa i o wyraźnym, legalnym stęplu, może nie wszędzie mająca obieg, (u nas najmniej jeszcze), lecz niemniej posiadająca wartość realną.

„Cudzoziemiec,” „Serge Panine,” czy, jak w Warszawie, „Książę Cezar di Roccanera,” jest to młody magnat donżuan, zrujnowany przy zielonych stolikach i sportach wszechświata, ale nie rezygnujący ani na jotę ze swych nawyknień; zbyt pyszny, by od pracy żądać utrzymania bytu, lecz niedość dumny by nie pójść na utrzymanie jakiej poważnej dziedziczki, z przybranym tytułem małżonka. Trafia się córka milionowej właścicielki wielkiego młyna w Paryżu, wdowy Desvarences: piękna, młodziuchna, dobrze wychowana, czuła a nadewszystko szalenie rozmiłowana w księciu. Czyż może się znaleźć wspanialsza nagroda za trudy rozpustnego życia, dla zbankrutowanego moralnie i materyalnie? Wprawdzie, matka opiera się temu wyborowi i tej niewłaściwie skierowanej skłonności młodej mieszczanki; przeznaczała ona dla niej innego towarzysza, zdolnego i ambitnego inżyniera: już nawet nastąpiły wzajemne przyrzeczenia, lecz narzeczony na dłuższy czas odjechał za pracą i sławą, a ponieważ nieobecni zwykle przegrywają sprawę przed trybunałem serca, przeto i Piotr Delarue, za powrotem zastał już miejsce zajęte.

Matka Desvarences jest to kobieta energiczna, prawa i wyrozumiała. W umyśle jej góruje rozsądek, w charakterze szlachetność, przy obejściu szorstkiem, zgoła mieszczańskiem. Miłością jej serca jest przedewszystkiem na świecie córka jedynaczka, następnie honor firmy Desvarences, której interesa ona sama, po śmierci męża, kilkanaście lat energicznie prowadzi. Nie dopuszcza do udziału w przemyśle swym własnego siostrzeńca; którego zdolnościom nie dowierza, z obawy ażeby jakim wybrykiem nie skompromitował imienia firmy: woli mu płacić roczne stypendya na potrzeby i niepotrzeby życia, byle ręki do interesów nie przykładał. Jest też to prawdziwem dla tej kobiety nieszczeniściem, że córka, popchnięta miłością, na śliskiej drodze postawiła dalszy pochód spraw rodzinnych i przemysłowych. Ale to jej bożyszcze domowe, ta mała Michalina, to tyran jej serca: matka, tak absolutna we wszystkich innych kierunkach, nie umie, nie może wyłamać się zpod despotyzmu tej ukochanej, rozpieszczonej władczyni. Zdaje się że gdyby Michalina topić się chciała albo żywcem spalić, i tego matka odmówiłaby jej nie potrafiła.

Książę zrazu przybiera pozory uspokajające teściową o los córki, lecz natura i nałóg biorą niebawem górę. Życie jego jest rujnujące, w ręku jego topnieją miliony. Teściowa odczarowuje się powoli od

arystokratycznego zięcia, ale wstrzymuje się od stanowczych kroków, gdyż zawsze i bezwarunkowo zastaje, pomiędzy nim i sobą, córkę gotową stanąć w jego obronie. Cezar umie wyzyskać tę ślepą miłość żony i poza tą tarczą drwi z pocisków teściowej, a żonie odpląca się bezczelnym wiarołomstwem.

Przed ślubem przyrzekał miłość ubogiej dziewczynie, wychowawce pani Desvarenes, z którą zerwał, z całą cyniczną otwartością oświadczając, iż pomimo uczucia dla niej, on, ażeby żyć odpowiednio do swego tytułu i nawyknień, musi ożenić się bogato, bodajby bez miłości. Zrozpaczona Joanna wychodzi zamąż za bogatego przemysłowca, Cayrola, zostającego w stosunkach interesu z panią Desvarenes i w pewnej od niej zależności. Zgorzkniała kobieta, niecierpiąca męża, poddaje się poszeptom demonicznego donżuana i schodzi na drogę bezwstydu. Stosunek ich ujawnia się wobec wszystkich osób interesowanych, i wtedy tylko Michalina, po przebyciu ciężkiego przesilenia, zaledwie zaczyna tracić serce dla swego ideału. Jest to początek zwycięstwa teściowej nad zięciem; ostateczny kres jego niebawem ma nastąpić.

Zięć, odsadzony od kieszeni teściowej, daje się namówić pewnemu bankierowi do współki w przedsiębiorstwie finansowem, które miało zakończyć się krachem, i na zadatek przyjmuje od niego znaczną pożyczkę. Niedoświadczony utracysz, urokiem nazwiska dopomagający szwindlerowi do spełnienia grubego nadużycia względem akcyonaryuszów, czyli do prostej kradzieży, w której sam zgoła niema udziału, podpada pod akcyę sądową i ma być aresztowanym. Zięć pani Desvarenes aresztowany, to hańba dla jęj firmy: ona tego dopuścić nie może. Ucieczka stała się niepodobną, bo policya już dom otoczyła: pozostaje... samobójstwo, i do tego nagli go sama teściowa. Ale ksiązę właśnie teraz zasmakował w życiu i tworzy najlepsze, arkadyjskie plany na przyszłość. Zapóźno! Już słyhać straż kroczącą po schodach, a Cezar niema chęci, czy odwagi dotknąć rewolweru. W szaleństwie, szuka jakich drzwi lub okien, rzuca się ku pierwszemu lepszemu wyjściu, bodajby nawet wpaść w ręce sprawiedliwości, z których go z pewnością wydobędzie żona, teściowa, dyabeł, przypadek, czy ktokolwiekbądź. Ale teściowa uprzedza jego życiolutny zamiar, porywa rewolwer i trupem kładzie go na progę.

Łatwo z tego streszczenia przekonać się, że wszystko to dalekiem jest od tych form, jakich wzorów szukać należy u wzorowych dramaturgów. Sprężyny działania są tak pospolite, a charaktery tak powszednie, że cała ta sprawa wygląda na wyciąg z bieżącej kryminalistyki, lub z kroniki skandalicznej: tysiące podobnych trafunków czytamy w gazetach sądowych różnych trybunałów. I dlatego może, przy dzisiejszym guście ogółu do powszedniości, treść sama zainteresowuje.

Ale rzućmy tylko okiem na charaktery: czy jest choć jeden, któryby dorósł do miary dramatycznej i działania swe koniecznością przypisywanęj mu natury usprawiedliwił. Któżto jest ten sam naczelny

bohater? Taki sam pospolity, złoty młodzieniec, jak tylu innych, względem których można powiedzieć z poetą: „guarda e passa.” Ota-
cza się zbytkiem, gra w karty, hula i romansuje jawnie lub pokątnie: oto i wszystkie znamiona bohaterstwa. Gdzież tu szukać jakiegoś, choćby demonicznego ideału? Płaskość i nic więcej. Ten człowiek, ten szlachcic z krwi rycerskiej, nawet umrzeć nie potrafi w porę i z od-
wagą. Jednak dwie kobiety kochały go na śmierć i życie? Takie też to i kobiety: dwie samice, z których jedna pozuje na gołąbkę, druga na kanię, ale obie nic z siebie nie ujawniają, prócz zmysłów. A kiedy ta idealna niby Michalina (małżonka), czyniąc wyrzuty mężowi o wia-
rołomstwo, zwraca się do swój dla niego miłości i woła do męża: „tyś był mojem wszystkiem, moim bogiem,” to bierze chęć ją zainterpolo-
wać:—a to pani piękne masz wyobrażenie o bóstwie; gdzieżeśto w nim napotkała odbłyśki tego bóstwa, które czci ludzkość! daj pokój! kocha-
łaś go nerwami, a ideał twój urzeczywistnił się tylko w jego powierzch-
owności; zgadzamy się na to, żeś go kochała, lecz jakiejże to lichój miłości jest serce twoje przybytkiem! Joanna znowu, nawet pozory wszelkiego ideału odrzuca. Ni zła, ni dobra, cała oddana tylko swój krwistój namiętności, nie chce i nie umie z godnością znieść nieszczę-
snego zawodu, i jak tyle wytykanych palcem, kończy na hańbie, przy-
jętej z odwagą. Czy choćby ta odwaga jest dowodem siły, z łoskotem łamiącej za sobą przeszkody? I to nie. Joanna grzeszy potajemnie; odkryta, powraca do dobrych stosunków z oszukanyim mężem, nie płonie na stosie namiętności, ale w jej objęciach gnije.

Najwydatniejszą i najpoprawniejszą z postaci jest sama pani Desvareennes; lecz i ta wymaga pewnych ustępstw na rzecz konsekwentności swego charakteru. Rozsądna i absolutna, widzi doskonale całe złe, grożące córce ze związku z tą egzotyczną dla nich istotą, jaką jest książę, a jednak na ten związek pozwala... przez słabość dla córki, czyli postępuje tak, jakby postąpiła każda matka ślamazarna i głupia. A jednak to postąpienie, tak niezgodne z istotą charakteru pani Desvareennes, stanowi zasiew całego dramatu. Autor czuje to dobrze i nie zmyli krytyki, która widzi, jak on naciąga i przeciąga strunę wzajemnych matki z córką czułości, aby ten punkt wyjścia jakotako uzasadnić. Autor wie dobrze, iż rozsądna matka, ażeby uratować dziecię dotknięte miłością złowrogą, oprócz perswazyi, probuje wszelkich środków zaradczych, rozrywki, podróży, zmiany miejsc i osób, stara się obudzić nowe przywiązanie. Tu nawet, pani Desvareennes powinna-
by znaleźć pomoc w narzeczonym Michaliny; ale i ten dzielny inżynier, mający jej słowo, zrzeka się go zbyt łatwo, pomimo, iż widzi, równie jak matka, złe następstwa podobnej uległości. Tak więc dwie najbar-
dziej kochające osoby pozwalają najukochańszej istocie osunąć się w przepaść, nie próbując nawet wysiłku dla zatrzymania jej na drodze.

Do jakiegoż wreszcie rozwiązania dąży ten punkt wyjścia tak słabo uzasadniony? Próba źle dobranego małżeństwa wyszła fatalnie. Przypnać trzeba, że wypadek w swych konsekwencyach poprowadzony

jest znakomicie, ręką mistrzowską, z całym względem należnym etyce. Za przemieszczenie się rozsądkowi i za brak energii cierpią, pokutują wszyscy: trzeba tylko dojść do końca tego stanu. Rozwiązanie go ma sprawić znowu pani Desvarenes. Ale jak? Jerzy Ohnet zajął do kodeksu swego starszego kolegi, Dumasa syna, i na położenie bez wyjścia wobec prawa znalazł tam przepis: *Tuez la!* A no, i podszeptnął pani Desvarenes radę: *Tuez le!* I na tém spuścił kurtynę, pozostawiając czułemu słuchaczowi, ażeby sobie w duszy resztę pieśni dopiewał.

Że taki pasożyt, jak książę Cezar, nie zasługuje na nic innego, tylko na strzelenie mu w łeb, to kwestyi nie ulega; lecz odkądże to młynarki paryzkie mają stawiać wyroki i same je wykonywać względem podsądnych? Ta zacna, ta rozumna, ta sprawiedliwa i kochająca pani Desvarenes, jest dla nas tylko zbrodniarką i za taką uchodzić powinna w rodzinie. Świadkiem jój czynu był tylko Piotr Delarue, narzeczony jój córki, który teraz prawdopodobnie stanie się jój mężem. Zmarły ujdzie, dzięki jemu, za samobójcę. Ale rozumna i dobra pani Desvarenes, koniec końców będzie sobie powtarzała całe życie: Sprawę córki, dla dobra której jedynie żyłam i ponosiłam trudy, zaczęłam od głupstwa, skończyłam na zbrodni. Tylko że ta zbrodniarka umknęła przed trybunałem, nie uczyniła zadość sprawiedliwości, upominając się za występki przeciwspołeczne, i może dalej odgrywać rolę uczciwej kobiety... dla honoru firmy.

Oto jest kwintesencya sztuki i zarazem kierunek dramatu w guście dzisiejszym: realizm zdejmujący wzory z faktów życia najpowszedniejszego. Nie można mu odmówić prawdziwości; przeciwnie, tysiącem wypadków dadzą się one stwierdzić; ale jakież to interesa duchowe rozgrywają się w tych dramatach, jakie ideje, jakie w nich widoki nasuwają się na oczy? Czyż nigdy nas już nie zdoła zainteresować nic, co nie będzie zapieprzone wiarołomstwem małżeńskim, spekulacją giełdową?

Dramat Ohneta z tém wszystkiém wysoko stoi jako robota sceniczna, pod tym względem równa się on może z utworami Dumasa i Sardou, umie zwolna przygotowywać efekta, rzucać niespodzianki, tylko w dyalogu im nie dorównywa. Osoby jego żyją, poruszają się żwawo i z wdziękiem, sceny zbiorowe snują się malowniczo: słowem, pod względem formy taki „Cudzoziemiec“ zajmuje stanowisko między pierwszymi, a interpretacya jego warszawska, w miarę użytych ku temu sił, mało pozostawia do życzenia, i nie dziwimy się że ściąga publiczność. Jako charakter naczelny, odznacza się w niezwykły sposób pani Niewiarowska (Desvarenes); pod względem ekspresyi, wprowadzie nie w pierwszorzędną ale w trudną rolę Cayrola, pierwszeństwo należy się p. Ładnowskiemu. Pan Tatarkiewicz, jako książę, nie nadrabia dystynkcyą książęcą, ale sceny erotyczne i gwałtowne wyraża z uczuciem i prawdą.

*

*

*

Zgoła inaczej przedstawia się dramat Oktawiusza Feuilleta p. t.: „Dwa światy.” Tam na barłogu salonowym szamocą się żądze cielsne, tu walczą duchy na wspaniałém polu idei i zasad. Treść tego dramatu wcale nie jest nową, ale nie przestanie być żywotną, dopóki na świecie nie wywietrzeje znaczenie z wyrazów starych jak dzieje świata: arystokracja i demokracja. W tytule przekładu polskiego zanadto odrazu ujawniono tę opozycją; w oryginale autor ukrył ją pod wyrazem „La belle au bois dormant.” Ale i ten tytuł również stanowi część komentarza. Któż to jest ta legendowa „piękność uspiąca w lesie?” Może nią być tak samo piękna tradycja rycerska wieków średnich, senna, obojętna na odgłosy dzisiejszego postępu; jak piękność w tej sferze żyjąca, której przez przypadkową analogią ten się epitet dostaje. Słowem, to Blanka de Guychatel, dziewica starożytnego rodu Bretanii, która pod opieką tylko brata, margrabiego, zamieszkuje w starym zamku, religijnie przywiązana do tradycji przodków. Tę tradycyjną grupę uzupełnia pokrewna im rodzina de Penmarek, przedstawiająca się w trzech pokoleniach: zgrzybiałej babuni, pięćdziesięcioletniego jej syna i młodego wnuka. Chodzi zdaje się autorowi o to, ażeby dał szczegółowy i wykwintny obraz tego życia tradycyi, reprezentowanego przez te dwie pobratymcze rodziny. Zegar dziejowy zda się stanął dla niej w lipcu 1830 r., odkąd dynastia z Bożej łaski odsuniętą została od tronu Francji. Wszyscy też żyją życiem, myślą pojęciami i czują wrażeniami z przed tej epoki: nic tam we wnętrzu ich ducha nie zmieniło się od czasu Hugona Capeta. Miłością ich Bóg i król; sprawdzianem myśli i woli—kościół; obowiązkiem, honor i miłosierdzie; zasadą społeczną, supremacyą szlachty a protekcyą dla ludu. Do oświaty wystarcza księga żywotów świętych i stara kronika rodowa. Lecz kto nie zdąży za postępem, ten zostaje zgniecionym pod jego kołami. Obie też rodziny, kochające się wzajem, ukochane przez lud podwładny, czujący zarówno z nimi, przedstawiają obraz odrętwienia umysłowego, ruiny materyalnej.

W sąsiedztwie ich podkruszonych zanków wznosi się świat inny. Huczy komin parowy huty żelaznej, wywołującej dokoła ruch pracy. Na tej przestrzeni, szlachcica zastąpił przemysłowiec, rolnika robotnik, ekonom podmajstrzy, stare opactwo zastąpiła ochronka; w skarbcu zamiast dokumentów zaległy bilety bankowe. Dźwignią tego nowego ruchu jest młody przemysłowiec Morel, wnuk niegdyś kowala rodziny Guychatel. I on, równie jak sąsiad jego, młody margrabia, ma także siostrę, także piękną, tylko że nie „spiącą w lesie,” ale czynną, rozkochaną w życiu pracy, pogardzającą wszystkiém co nie przedstawia realnego pożytku.

Jak ogień i woda, tak dwie te rodziny, nie znając się osobiście, ale tylko wiedząc o sobie, nienawidzą się wzajem, skutkiem przeciwnych kierunków życia. Nienawiść ta, dotąd pozostająca w sferze czystej abstrakcyi, może nawet przybrać znamiona więcej konkretne, gdyż Morel, potrzebując dla dobra fabryki rozprzestrzenić swoje tery-

toryum, czyni margrabiemu propozycje, jużto współki, już sprzedaży części lub całości jego dziedzictwa, propozycje, które tamten pogardliwie odpycha. Morel, z determinacją amerykańcina bezświadomie wprowadzającego zasadę walki o byt, przyparty do muru a zmuszony go dla celów swych przełamać, skupuje weksle margrabiiego i lada chwila może go wywłaszczyć.

Jakkolwiek odmienne dwie te rodziny, a właściwie dwie pary braterskie, mają jeden punkt zupełnego podobieństwa: są to z gruntu natury szlachetne i wyższe: ten punkt może też stać się punktem pojednania. Niech sobie szaleją ideje wrogie: ludzie nienawidzić się mogą tylko zdaleka. Z samego postawienia kwestyi widać do czego autor zmierza, i jakie sobie wybiera dla pojednania pośrednictwo. Niedarmo kawalerowie posiadają przymioty męzkie, niedarmo panny imponują pięknosciami: pierwsze spotkanie, w tém odosobnieniu prowincjonalnego zakątka, zdecydować może o losie serc, a serca o przyszłości rodzin. Arystokratyczna Blanka, wśród codziennéj przejażdżki konnej, spostrzegła Morela w łunie bijącej od pieców hutniczych, przywodzącego wojsku robotników, i wydał się jój duchem ognia: wyobraźnia się jój zajęła, serce odczuło, wizya ta ją prześladowa, pozbawia snu i spokoju. Nie wié o tém że i ten surowy pracownik nosi głęboko zapadły w serce obraz uroczej amazonki. Nawzajem margrabia nie bezkarnie odchodzi od Ludwiki Morel, z którą był zmuszony się widzieć. Ludwika nie jest bynajmniej sentymentalną, przeciwnie, ona śmieje się z ideału, pogardza każdą istotą „próżniaczą i bezużyteczną;” ale niemniej wykwintny margrabia czyni na niéj wrażenie. Te serca jednak nie wiedzą i wiedzieć nie chcą że poszukują się wzajem: duma i przesąd zakreśliły ich stosunkom granice. Mogą zgorzéc i umrzeć z tęsknoty za sobą, ale nie ustąpią... w imię idei.

Tymczasem ta walka idei, przeniesiona stopniowo już na grunt interesów osobistych, samym ruchem pocisków zbliża ich do siebie. Wrogowie teoretyczni spoglądają sobie w oczy jako ludzie, i wzajem odkrywają w sobie strony wzniosłe, cudownie piękne... i broń wypada im z rąk. Demokrata zawstydzą arystokratów delikatnością uczuć, nawzajem sam złożyć musi hołd sile ich ducha i potędze uczucia honoru. Jeżeli do wzajemnego szacunku dołączy się serc wzajemna skłonność, łatwo domyślic się pojednania i wszystkich jego następstw. Z dwóch rodzin tworzy się jedna, a temu związkowi zlepionemu cementem najszlachetniejszych pobudek, błogosławi cała ludność obu światów.

Możnaby założeniu tego dramatu dać rozwiązanie wprost przeciwnie, i wiele rozwiązań pośrednich, jakie nieraz przedstawiły się w życiu: lecz i to które wybrał autor nie jest niemożliwém, tylko zależy to od logiki wypadków z jakich ono powstaje. Morel kocha Blankę na śmierć, ale zbyt dobrze zna oddzielającą go od niéj przepaść, ażeby próbował ją przebyć. Tą złotą kładką, ułatwiającą przejście, może być tylko miłość saméj Blanki; i ta kładka istnieje, lecz kto ją nad przepaścią zarzuci? Chwila wzajemnych oświadczeń musi być za-

razem chwilą jakichś straszliwych i uroczystych wstrząśnień, ażeby mogła się zjawić; byle kiedy, w ciszy codziennego trybu ona nastąpić nie może. Taką to chwilę autor postarał się wydobyć z wypadków.

Morel wywłaszcza rodzinę Guychatel, czyni to kochając już Blankę i jest to rys zbyt ostry w jego charakterze, złagodzony zaledwie tém, że w każdym razie majątek rodziny byłby sprzedany przez wierzycieli, od których on ponabycwał weksle. To coby nastąpiło fatalnie i dokonano się w sposób brutalny, on spełnia z wysoką delikatnością. Pod pretekstem, który jest szlachetném kłamstwem, że na gruntach Guychatel znajduje się ruda żelazna, zdwaja on prawie cenę majątku, tak że wydziedziczona Blanka może mieć jeszcze piękny posag. Ale stary domownik dworski, Hoel, fanatyk tradycyi, znieść nie może wydziedziczenia dawnych swych panów, i zwabiwszy Morela na schadzkę, godzi weń strzałem śmiertelnym. W porę uwiadomiona Blanka przybywa by piersią zastonić ofiarę. Jest to zaprawdę chwila, w której mógł się Morel dowiedzieć o uczuciach Blanki.

Lecz wzajemna ich miłość do niczego jeszcze nie doprowadzi. Blanka zanadto zostaje pod ciężeniem opinii, ażeby na własną rękę folgować uczuciu, które wreszcie uważa za zdrożne. Ona posagu swego użyje na wkupne do klasztoru. Niezłomność z jaką postanawia to uczynić, budzi obawy o pomysłość wpływu miłości, gdy pomoc przybywa z nowego jój układu. Jak życie Morela zagrożoném było przez Hoela, tak życiu margrabiego grozi niebezpieczeństwo ze strony robotników fabrycznych, oburzonych przeciw niemu za to, iż w spotkaniu Morela z siostrą i w jego wyznaniu, upatrując ubliżenie dla jój honoru, śmiał ich ukochanego pana wyzwać na pojedynek. Wtedy, uprzedzając ten przybór groźnej fali ludzkiej, Ludwika spełnia względem margrabiego, to co Blanka spełniła względem Morela. Widok dzielności z jaką młody szlachcic oczekuje śmierci, jego chęć odwołania pojedynku w chwili gdy się dowiaduje o zacnym podstępie Morela, śmiałe czoło jakie stawia rozhukanym instynktom tłumu, wszystko to dobrze dla niego usposabia serce Ludwika. Odtąd będą to sprzymierzeńcy w sprawie pojednania rodzin. Kiedy więc, na wieść iż Blanka ma wyrzec śluby zakonne, Morel postanawia sobie śmierć zadać i już chwilę wykonania oznaczył, oboje spieszą do pobliskiego klasztoru i czułem pośrednictwem dopomagają sercu jój do zwycięstwa nad dumą.

W tém leżą główne zarysy budowy dramatu, która, jak widzimy nieskazitelną jest i wykwintną, tylko, jak na dzisiejsze gusta niedość uderzającą. Jakoż, ludzie walczą tu niejako z samymi ideałami, z przekonaniem, z przesądem, słowem z abstrakcją: nikt nie spotyka na drodze jakiegoś przeciwnika konkretnego, któregooby musiał burzyć osobiste plany i zabiegi, spotykać się z nim oko w oko. Intryga dramatu tego leży w idei, nie w człowieku: wyraźniej mówiąc, nie ma tu intryganta, charakteru destrukcyjnego, któryby uzmysławiał siłę wyzywającą inne siły do walki. Wszystkie do niój pobudki leżą poza obrębem zmysłów i poza kulisami sceny. Wszystkie charaktery są jasne, brak

przeto w całości tych półcieniów, tój gry świateł, która ożywić powinna harmoniją budowy: dramat zbyt idealny i przedstawiający kwestyę ze strony optymistycznej.

Ten wszakże brak różnaitości, tę pewną jednostajność, okupuje doskonała obrazowość pojedynczych charakterów jakie istnieją i ścisła ich logiczność. Grupy obu światów przedstawiają się w tak żywych i dosadnych indywidualnościach; ich pojęcia, uczucia, obyczaje, tak sympatycznie malują wewnątrz dusz, że każdy szczegół składa się na ułożenie obrazu rzadkiej skończoności i prawdy. Gdyby umysły dzisiejsze mogły poprzestawać na zadowoleniu jakie sprawia na scenie obrazowanie uczuć szlachetnych, efektywność scen pojedynczych, ład konstrukcyjny łączący prostotę z wytwornością, bez tych sensacyjnych zwrotów jakimi wojują pisarze nowsi i, powiedzmy prawdę, energiczniejszej od Feuilleta szkoły, dramat ten sprawiałby długą rozkosz sceniczną, choćby tak średnimi siłami przedstawiony jak to odbyło się u nas.

Rzeczywiście, ażeby dramat poważny mógł odzyskać dawną swą wziętość i stał się siłą przyciągającą dla publiczności, należałoby go przynajmniej równouprawnić pod względem obsady z komedią, która dotychczas zdaje się mieć wyłączny przywilej wyczerpywania sił najzdolniejszych; albo też dramatu, nie przedstawiać wcale. Kiedy do komedyi nawet niepierwszorzędnej zapręgają się nieraz najcenniejsze talenta, tymczasem utwór tak piękny i zalecenia godny, jak „Dwa światy,“ otrzymał obsadę jak z łaski. Głównego bohatera, Morela, przedstawiał wprawdzie p. Ładnowski, i pomimo nieodpowiednich warunków fizycznych, duchową stronę postaci wystylizował wzorowo, z uczuciem i siłą; p. Rapacki, w roli starego Hoela, imponował grozą legendową: śliczną postać Blanki duchem poezji owiała p. Wisnowska, i spełniła całą miarę ideału: ale na tém i koniec właściwej temu dramatowi ekspresyji. Nie chcemy przez to powiedzieć, ażeby inne osoby grały źle, fałszywie, blado; owszem, wszystko było powierzone w dobre ręce, grano starannie: tylko całość byłaby nierównie lepszą, gdyby teatr skwapliwszym był do wyznaczenia dla dramatu sił jeszcze lepszych, jakie posiada. I tak, zdaniem naszym, rolę Ludwiki Morel powinniaby grać nie pani Ładnowska ale Charszczewska. Pyszną, oryginalną, typową postać hrabiego de Penmarck, nie p. Waliszewski, ale powinien grać p. Żółkowski, którego jednak widujemy na daleko niższym poziomie zadań (np. Najserdeczniejsi, Safandudy). Jego młodego syna nie p. Michnicki powinien grać, ale p. Wolski; starą hrabinę de Penmark, nie p. Nowakowska, ale p. Rakiewiczowa lub Niewiarowska; co zaś do margrabiego de Guchatel, to lubo p. Prażmowski wyszedł nadspodziewanie zwycięzko, jednak nie zdołał zastąpić p. Tatarkiewicza. W takiej obsadzie, jaką tu oznaczyliśmy, dramat „Dwa światy“ miałby powodzenie trwałe i jedno z najświetniejszych; w obsadzie danój niepodobać się nie mógł, ale też to i wszystko, poczęści jest on zmarnowanym.

Rozumiemy, zdaje nam się, przyczynę tój oszczędności dyrekcji

w obsadzie dramatu. Przyczyną jest to zapewne, że kiedy dramat grywa się w teatrze Wielkim, jednocześnie w Rozmaitości także odbywa się przedstawienie, wymagające sił odpowiednich: czyli że te siły muszą się dzielić, a więc jedno drugiemu przeszkadza. Jest na to sposób. Wszak dramat gra się zwykle tylko raz na tydzień. Czyżby to było tak wielką ofiarą ze strony dyrekcji, ażeby w tym dniu zawiesić przedstawienie w Rozmaitości? Wtedy nicby nie przeszkadzało użyć sił jakich się podoba przy obsadzie dramatu. I to z czasem nastąpić musi: inaczej, dramat przy kulawej obsadzie zawsze będzie w tym stanie półwartości, w jakim zostaje dotąd. Trzeba raz pozbyć się stariej rutyny, na której cierpi sztuka.

* * *

Powinniśmy zdać sprawę z kilku jednoaktówek, jakie mniej więcej jednocześnie z dramataми ukazały się na scenie: ale sprawozdanie nasze przeciągnęłoby się nad zakres, i dlatego pozostawiamy to do następnego zeszytu.

Dnia 22 kwietnia 1883 r.

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Dr. Edmund Krzymuski: „Teorya karna Kanta ze stanowiska jego ogólnej nauki o rozumie praktycznym.” Osobne odbicie z rozpraw wydziału filozoficznego Akademii umiejętności tom XVI. Kraków, 1882. Str. IV i 113.

Wobec dążności do reformy dotychczasowego systematu karnego, we wszystkich prawie państwach, bardzo jest na czasie praca, mająca za przedmiot historyczno-krytyczne rozjaśnienie filozoficznych podstaw pojęcia kary w ogóle. Pomimo wszelkich twierdzeń ze strony wielu praktycznych prawników, że filozoficzne teorye pozbawione są życiowej doniosłości w stosunkach prawnych, że dla ich określenia kierować się należy wyłącznie doświadczeniem, a nie oderwanymi rozumowaniami, pomimo to jednak, nie ulega wątpliwości, że poglądy filozoficzne na różne kwestye prawne, a w szczególności i na istotę kary wpływają bezpośrednio na samo prawodawstwo i znajdują w niem swoje urzeczywistnienie. Każda reforma społeczna, czy prawna rodzi się z przeświadczenia o niedostateczności danego stanu rzeczy i dokonuje się według pewnych pojęć o stanie właściwszym, doskonalszym, reprezentującym postęp w porównaniu z przeszłością. Otóż ta krytyka danego położenia i to pojęcie lepszego stanu rzeczy, sprowadzają każdy poważniejszy umysł bezpośrednio na pole filozoficzne, na pole dociekania ogólnych zasad danego przedmiotu. Więc też i reformy prawne bez głębszych badań w zakresie filozofii prawa obejść się nie mogą. Lekceważenie tego rodzaju badań miałyoby za skutek bardzo ryzykowne eksperymenta społeczne lub macanie na oślepie w sprawach, w których sumienna rozważa jest najświętszym obowiązkiem obywatelskim.

Jak na wielu innych polach, tak i w zakresie teoryi karnych, Kant zajmuje stanowisko pierwszorzędne, budzące żywe zajęcie nie-

tylko pod względem historycznym, lecz również ze względu na sumienność, wszechstronny i ścisły rozbiór odnośnych kwestyi, zdolny i dotąd jeszcze przyczynić się do rozjaśnienia pojęć zasadniczych o karze, jej istocie i zastosowaniu prawném. Praca doktora Krzymuskiego, docenta filozofii prawa w uniwersytecie Jagiellońskim, jest tego wymownym dowodem i należy z góry wyznać, że wybór samego tematu świadczy jak najkorzystniej o chęci autora dotrzeć do ostatecznych podstaw filozoficznych prawa karnego.

Wszystkie teorie filozoficzne kary, które się w nowszych czasach pojawiły, rozdzielić można na trzy główne grupy: na teorie moralne, pedagogiczne i utylitarne. Do pierwszej grupy należą zazwyczaj tak zwane teorie bezwzględne, dwie ostatnie zaś tworzą teorie względne.

Istotą poglądów moralnych na karę, jest idea sprawiedliwości. Przestępca, według tych poglądów, narusza porządek moralny społeczeństwa; on odstępuje ze świadomością od tego porządku, pomimo, że w swém własnym sumieniu uznać musi jego potęgę obowiązującą, pomimo, że sam z tego porządku moralnego korzysta i nań się powołuje w swych stosunkach do innych ludzi. Takie odstępstwo jest tedy złem moralnym i wywołuje koniecznie reakcją ze strony porządku moralnego. Ta reakcja występuje właśnie na jaw w wymiarze sprawiedliwości, w karze, której przestępca podlega.

W odmienny zupełnie sposób pojmują karę teorie pedagogiczne. Dla nich wszelkie przestępstwo, nawet najstraszniejsze, nie jest złem moralnym, domagającym się wymiaru sprawiedliwości, nie narusza porządku społecznego, który przez karę znowu zrehabilitowanym być winien; przeciwnie, według tych poglądów, przestępstwo jest tylko zбочeniem, wynikającym albo z błędnych pojęć, z braku rozwoju umysłowego, albo z braku wychowania przestępcy, albo z innych bardziej zewnętrznych warunków jego życia; w każdym zaś razie nie jest wpływem złej woli, gdyż człowiek pojmując dobre należycie, nie ma powodu od niego odstępować. Więc też właściwie przestępcę nie należy karać, tylko poprawiać. Nie idea surowej sprawiedliwości, lecz idea poprawy przestępcy powinna być zatem podstawą prawa karnego. Kara jest tylko oddaniem przestępcy w takie warunki życiowe, które go doprowadzają do poprawy. Wszystkie instytucje karne (więzienia i t. p.), powinny być z natury swojej instytucjami poprawczemi, ożywionemi względem przestępcy tendencją wychowawczą, pedagogiczną.

Teorie utylitarne w końcu opierają się znowu na innych zupełnie zasadniczych pojęciach. Strona moralna przestępstwa i przestępcy jest dla nich zupełnie obojętną. Zazwyczaj utylitaryzm w duchu nowszego naturalizmu, widzi w przestępstwie tylko prosty fakt, prosty objaw sił przyrodzonych człowieka, na równi z wieloma innymi objawami przyrody. Człowiek działa pod wpływem prawa konieczności. Między przestępstwem i innymi szkodliwymi objawami przy-

rody np. gradem rozbijającym zboże, piorunem wzniecającym pożar, nie zachodzi żadna istotna różnica. Więc jak mówić nie można o karaniu lub poprawianiu gradu, piorunu, tak też tych pojęć zastosować nie można do przestępstwa i przestępcy. Od złego trzeba się bronić i chronić i nie więcéj. Kara tedy nie jest ani wymiarem sprawiedliwości, ani przymusowém wychowaniem przestępcy, lecz prostym aktem obrony społecznej przeciwko złej naturze przestępcy. Przestępca szkodzi społeczeństwu, więc w imię dobra powszechnego trzeba go uczynić nieszkodliwym, postawić go wśród takich warunków, wśród którychby albo już nie chciał nadal szkodzić społeczeństwu, albo też już nie mógł szkodzić choéby i chciał.

Nie trudno zrozumieć, że powyższa różność w zasadniczych poglądach na istotę kary, pociąga za sobą zupełnie różny pogląd na cały systemat prawa karnego, na wszystkie jego szczegóły, na jego praktyczne zastosowanie w życiu. Nie trudno również, bez szerszych wywodów, pojąć, że każda z powyższych teorii o ile się domaga wyłącznego uznania, staje się wytworem jednostronnego doktrynerstwa, sprzecznego zarówno z głębszemi wymaganiami natury ludzkiej, jak i z istotnemi potrzebami praktyki życiowej. Bezwzględny wymiar sprawiedliwości, bez żadnej uwagi na możliwą poprawę przestępcy i na pożytek społeczny, musiałby doprowadzić do barbarzyńskiej surowości, do owéj konsekwencji: fiat justitia, pereat mundus, która nietylko przestępcę, ale i całe społeczeństwa gotowa oddać na stracenie, tylko aby zadosyć uczynić oderwanym wymaganiom doktryny. Lepsza strona natury ludzkiej, strona humanitarna, która w chrześcijańskiej zasadzie miłości, nawet względem zbrodniarza znajduje swój najszlachetniejszy wyraz; ta lepsza strona natury ludzkiej burzyła się zawsze przeciwko teorii bezwzględnej sprawiedliwości, wyrażonej w prawodawstwie żydowskiem w słowach: „zab za ząb, oko za oko!” Ale czy dlatego sama idea sprawiedliwości i porządku moralnego ma być z pogardą zaliczona do przestarzałéj archeologii, do anachronizmów, od których nasze postępowe czasy czémprędzej otrząść się winny? Bynajmniej. I obrońcy teorii poprawy i pożytku nie wyzują się nigdy do tego stopnia ze swego naturalnego poczucia sprawiedliwości, ze swego zmysłu moralnego, aby tych czynników nie zużytkowali bezpośrednio w swém życiu i praktyce poza obrębem i w sprzeczności ze swemi teoretycznemi doktrynami. Dlaczego np. w stosunkach codziennych pogardzają człowiekiem nikczemnym, dlaczego oburzają się na złe, które ich spotyka? Czy to wszystko nie jest objawem poczucia moralnego, poczucia krzywdy im wyrządzonej? A odparcie takiej krzywdy i nazwanie złego złém, podłego podłém, czyż nie jest to wymiarem sprawiedliwości, czyniącym zadość wymaganiom ich poczucia moralnego? Dlaczego wreszcie obrońcy poprawy lub pożytku jako jedynych czynników kary stosują takąową i w tych wypadkach, gdy kara nie ma żadnego związku z temi celami?

Człowiek wykształcony, a przytém nieskazitelnego postępowania

w ciągu całego szeregu lat, może się jednak raz jeden w życiu dopuścić przestępnego czynu, może np. zgładzić ze świata nienawistną sobie osobę, a następnie, dopiąwszy tego przestępnego celu, znowu powrócić do poprzedniego trybu życia. On nie jest ciemnym lub nałogowym zbrodniarzem, nad poprawą którego dozorca więzienni czuwaćby potrzebowali; on też szkodliwym już nie jest, bo drugi raz czynu podobnego dokonać wcale nie zamyśla. Więc powinien być uwolnionym od kary, bo w takich wypadkach kara ma racją bytu tylko jako wymiar sprawiedliwości, ale nie dla osiągnięcia poprawy, lub dla obrony społeczeństwa. W każdym razie trybunały karne według tych teorii nie powinny się już wcale zajmować wyśledzeniem stopnia winy przestępcy, lecz tylko zbadaniem kwestyi, czy oskarżony potrzebuje poprawy, t. j. dalszego wykształcenia umysłowego i moralnego, lub też czy jest osobistością, która na przyszłość szkodę lub pożytek społeczeństwu przynieść może. Prawdziwy przestępca przy takiej ocenie mógłby często ująć od wszelkiej kary, a niewinny ze stanowiska prawa, lecz ograniczony, ciemny, lub niemoralny człowiek, musiałby być nieraz pozbawiony wolności i oddany do domu poprawy, żeby go oświecić i umoralnić. Czyż np. nałogowy gracz i rozpustnik, który całe rodziny rujnuje, nie jest szkodliwszym społeczeństwu i nie potrzebuje bardziej poprawy, aniżeli biédak jaki, który w wyjątkowem tylko położeniu dopuszcza się kradzieży? Ten ma być poprawiany, gdy tymczasem potrzebuje częściej może poprawy swego bytu materyjalnego, niż poprawy moralnej, aby przestał kraść, a tamten pozostaje na wolności i żadne prawo do poprawy go nie zmusza.

Jasna jest rzecz, że bez oceny moralnej różnych czynów, bez idei sprawiedliwości, zastosowanie kary traci grunt pod nogami, staje się rzeczą konwencyonalną, a przytém tak nieokreśloną, że konsekwentne jój przeprowadzenie natrafia na trudności nieprzewyciężone. A chociaż w nowszych czasach, jak wiadomo, teorie karne poprawy i obrony społecznej mają najwięcej zwolenników, z tém wszystkiém jednak, albo raczej dlatego właśnie, należyte przedstawienie moralnej istoty kary jest rzeczą nietylko pożądaną, ale prosto konieczną. Rozbiór teorii karnéj Kanta najlepiej się do tego nadaje i też zapewne właśnie w tym celu autor powyższej pracy zajął się wszechstronnym i gruntownym wykładem całkowitej teorii karnéj tego znakomitego myśliciela.

Pracę swoją dr. Krzymuski rozdzielił na sześć rozdziałów. Dwa pierwsze (str. 1—31) mają za przedmiot pogląd Kanta na zasadę filozoficzną prawa w ogóle i kary w szczególności, w związku z jego nauką o rozumie praktycznym, czyli o poczuciu moralném i jego bezwzględnych wymaganiach. Dwa dalsze rozdziały (3-ci i 4-ty, str. 32—75) poświęcone są wykładowi właściwej teorii karnéj Kanta, t. j. poglądów jego na karę sądową i jój wymiar, jako wpływ ogólnych zasad moralnych w stosunku do czynów karygodnych. Dwa ostatnie rozdziały pracy (str. 76—106) mają charakter kazuistyczny, t. j. w celu

szczególowego rozjaśnienia teorii karnéj Kanta, autor przedstawia tutaj poglądy Kanta na dzieciobójstwo i pojedynek, oraz na ułaskawienie w przypadkach obrazy majestatu i wyższej konieczności. W zakończeniu pracy (str. 107—113) autor zestawia ostateczne wyniki swych poszukiwań, zaznaczając dobitnie, w czém od innych historyków filozofii prawa w pojęciu Kanta odstępuje i jak się przedstawia teoria karna tego myśliciela ze stanowiska wewnętrznej konsekwencji.

Z téj treści pracy widzimy, że jest ona monografią, dotyczącą obranego przedmiotu, monografią tém donioślejszą, że w literaturze naukowej dotąd, o ile wiemy, rzeczy téj nie traktowano tak rozlegle i krytycznie. Prawda, że dla wyczerpującego ocenienia teorii karnéj Kanta, należało także dotknąć zarówno historycznej genezy téj teorii, jak i jéj doniosłości w porównaniu z innymi powyżej zaznaczonymi teoryami karnymi. Autor tego nie uczynił, gdyż, jak tytuł rozprawy wskazuje, miał na oku przedstawienie teorii karnéj Kanta wyłącznie „ze stanowiska jego ogólnej nauki o rozumie praktycznym.” Zakres poszukiwań autora nie przekraczał zatem, że tak powiem, wewnętrznych spraw filozofii Kanta. Objaśnienie i krytyczne komentowanie jego teorii karnéj w związku z zasadami filozoficznymi samego Kanta: oto wyłączne zadanie pracy p. Krzymuskiego. Ale i to szczuplejsze zadanie, w sposób ścisły i naukowy rozwinięte, nadaje téj pracy znaczenie bardzo pożądanego przyczynku do historii filozofii prawa.

Dwa pierwsze rozdziały pracy, poświęcone wykładowi ogólnych zasad filozofii praktycznej Kanta, z uwzględnieniem jego filozofii prawa w ogóle i prawa karnego w szczególności, odznaczają się ścisłością i jasnością w przedstawieniu tego, dość zresztą zawiłego przedmiotu. Autor rozpoczyna rzecz od określenia stosunku krytyki czyścącego rozumu Kanta do krytyki rozumu praktycznego. Poznanie teoretyczne ma według Kanta za przedmiot to, co jest; poznanie zaś praktyczne dąży do określenia tego, co być powinno. Cała krytyka filozoficzna Kanta postawiła sobie za zadanie zbadać, czy umysł nasz, przy swoich przyrodzonych zdolnościach, może z pewnością bez względu na wygłosić jakiegokolwiek zdania, dotyczące bądź teoretycznego, bądź praktycznego rozumu. Zadanie to, odnośnie do kwestyi praktycznych, czyli moralnych, Kant stara się rozwiązać w trzech głównych dziełach, jakoto: „Podstawy do metafizyki obyczajów” (1785 r.), „Krytyka praktycznego rozumu” (1788) i „Metafizyka obyczajów” (1797). Autor streszcza w zasadniczych rysach poglądy Kanta, wypowiedziane w tych dziełach.

Podstawą wszelkich nauk moralnych, mówi Kant, jest zmysł moralny, właściwy każdemu człowiekowi. Jak poznanie empiryczne ma za przedmiot objawy przyrody zmysłowej, a metafizyczne opiera się na rozbiórce teoretycznych pojęć umysłu, tak wszelkie poznanie praktyczne ma za swój obiekt zmysł moralny człowieka i stara się wnikać w jego treść przyrodzoną, aprioryczną. Bezpośred-

dnim wyrazem zmysłu moralnego jest dobra wola, t. j. wola mająca na oku spełnienie obowiązku dla obowiązku, bez żadnych względów ubocznych. Obowiązek zaś musi być co do swjej treści jasno określonym, bo inaczej nie może służyć za wskazówkę dla działania praktycznego. Ztąd wynika dla Kanta potrzeba sformułowania obowiązku w pewnej ogólnej zasadzie, w zasadzie, któraby mogła być uznana bezwzględnie przez wszystkich ludzi, posiadających zmysł moralny. Zasadę tę wyraża Kant w swém bezwzględnym wymaganiu, które nazywa nakazem kategorycznym rozumu praktycznego, a które brzmi: „Ty powinienes tak działać, aby reguła twojej woli mogła się stać zasadą ustawodawstwa powszechnego.” Tylko ten nakaz łączy i równoważy według Kanta swobodę, samodzielność i autonomią osobistą, indywidualną pojedynczego człowieka, z wymaganiami powszechnymi rozumu i porządku moralnego.

Z tego to nakazu kategorycznego wyprowadza Kant nietylko całą swoją etykę, naukę moralności, ale i całą swoją filozofią prawa. W rozwinięciu tego nakazu dochodzi do wniosku, że prawo jest to zbiór warunków, pod któremi samodzielność każdego może się pogodzić z samodzielnością wszystkich, wedle ogólnej zasady wolności. Z tego określenia prawa wynika konieczność poddania wolności zewnętrznej każdego człowieka pewnym ograniczeniom, mającym na celu zabezpieczenie tej wolności dla wszystkich. W ten sposób prawo, zabezpieczając wolność wszystkich, daje każdemu możność swobodnego urzeczywistnienia swych powinności moralnych. Sprawiedliwość jest wyrazem takiego określenia prawa.

Rzecz naturalna, że zabezpieczenie prawne wolności wszystkich domaga się użycia pewnych środków przymusowych względem tych jednostek, które wolność innych naruszają. A że takie naruszenie sprzeciwia się zarazem bezwzględnemu wymaganiu zmysłu moralnego, działającemu w każdej jednostce, więc się rozchodzi nietylko z prawem, ale i z moralnością, a w skutek tego domaga się reakcyi prawnej i moralnej zarazem. Taką reakcją jest właśnie według Kanta kara, która w imię sprawiedliwości t. j. równowagi społecznej i porządku moralnego karci odstępstwo od prawa dlatego, że ono jest zarazem odstępstwem od obowiązujących wymagań nakazu kategorycznego moralności. W ten sposób według Kanta, kary domaga się nasz rozum praktyczny, t. j. nasz zmysł moralny, ile razy jedno z jego wymagań nie zostało spełnione. Więc ani poprawa przestępcy, ani bezpieczeństwo państwa, ani odstraszenie od zbrodni, ani żadne inne względy nie usprawiedliwiają, według Kanta, kary, tylko wzgląd na sprawiedliwość, tylko ustawa powinności moralnej, która bezkarnie naruszona być nie powinna, i sama za wszelkie naruszenie domaga się kary.

Od tego ogólnego uzasadnienia kary w systemacie moralnym Kanta, autor w dwóch dalszych rozdziałach przechodzi do szczegółowego wykładu poglądów Kanta na karę sądową i jej zastosowanie w po-

rządki państwowym. Z natury rzeczy wynika, że nie mogliśmy tutaj streszczać wywodów autora, bez subtelnych określeń rozlicznych pojęć prawnych, coby zbyt rozszerzyło ramy niniejszego sprawozdania. Powiemy tedy tylko, że autor w tych rozdziałach ma głównie na oku wykazać wewnętrzną konsekwencją i ścisłość w poglądach karnych Kanta i obronić takową przeciwko zarzutom kilku autorów, jak Hepp, Schulze, Martin, Kuno Fischer, Kirchman i inni. Autor zaznacza tutaj głównie, że Kant w szczegółowym rozwinięciu owych nauk karnych nie był bezwzględny zwolennikiem, ani tak zwanego odwetu materialnego, polegającego na podobieństwie kary do spełnionego przestępstwa (oko za oko, ząb za ząb i t. d.), ani zwolennikiem wyłącznym odwetu formalnego, który bez względu na podobieństwo kary do przestępstwa wymaga tylko, aby kara odpowiadała wogóle wielkości przestępstwa. W przypisywaniu Kantowi to jednego to drugiego z powyższych poglądów na karę sądową, dr. Krzymuski dopatruje się głównej przyczyny nieporozumień odnośnie do nauk karnych wielkiego myśliciela.

Według gruntownych, równie pouczających, jak przekonywających wywodów autora, Kant usiłuje oprzeć sprawiedliwy wymiar kary na połączeniu wymagań obu powyższych odwetów tak materialnego jak formalnego. Kant nie odrzuca wszelkiej równości materialnej między karą a przestępstwem; przeciwnie dąży o ile można do tej równości, ale on rozumie dobrze, że ta równość nie może być w praktyce przeprowadzoną i nadto nie stanowi jedyną i wyłączną podstawy dla wymiaru sprawiedliwości. Dlatego też w miarę danych warunków i potrzeby uzupełnia odwet materialny odwetem formalnym, dając przez to dowód, że się umie rachować z wymaganiami życiowymi, że nie jest bezwzględnym doktrynerem, lecz myślicielem przyjmującym na uwagę wszystkie stosunki, warunkujące wymiar sprawiedliwości. W tém właśnie połączeniu powyższych dwóch odwetów dopatruje się autor oryginalności teorii karną Kanta w porównaniu z innymi teoryami. A pogląd ten uważa autor za zupełnie słuszny i łączący go konsekwentnie z zasadniczymi poglądami Kanta odnośnie do kary, wyłożonemi powyżej.

W ostatnich dwóch rozdziałach wyjaśnia autor na przykładach (kara za dzieciobójstwo i pojedynek, ułaskawienie), w jaki szczegółowy sposób Kant uwzględnił stosunki życiowe, równoważąc odwet materialny z formalnym, zgodnie ze swoją ogólną zasadą kary.

Z tém wszystkim jednak autor nie jest bezwzględnym wielbicielem teorii karną Kanta. Jest ona uzasadnioną i jasną w ogólnych swych podstawach, ale system kar Kanta, według autora, przedstawia pewne wady w szczegółowym przeprowadzeniu. Kant kładzie zbyt wielki nacisk na zewnętrzne podobieństwo kary z przestępstwem, gdy tymczasem autor w dłuższych wywodach wykazuje, że wszelkie przestępstwo w gruncie rzeczy jest naruszeniem obcej wolności, a zatem w myśl odwetu materialnego powinno za sobą pociągnąć odjęcie wolności przestępcy t. j. karę więzienną. Ona też, według autora, daje

się najlepiej zastosować do wymagań odwetu formalnego t. j. do wysokości przestępstwa, czego Kant nie zauważył i dlatego przedstawia się zbyt surowym w swym systemacie kar.

Wykład przedmiotu ścisły i jasny, język potoczny i piękny, w traktowaniu zawiłych nawet kwestyi, podnosi jeszcze wewnętrzną wartość téj gruntownej pracy.

H. Struoe.

American Humorists, lectures delivered at the royal institution by the Haveis. London, 1883.

Humor, pisze Haveis, z którego dziełem pragniemy zaznajomić czytelników, jest atmosferą elektryczną, dowcip błyskawicą. Sytuacya wytwarza humor atmosferyczny, na którego punkcie kulminacyjnym zjawia się błyskawica. Charakter Karlejłowskiego „Teufelsdröckh'a“ jest przesiąknięty pewnego rodzaju humorem suchym i płynnym, lecz gdy ten pisarz mówi, że Anglia składa się z dziesięciu milionów istot ludzkich, po większej części waryatów: to błyskawica. Z takiego tonu umysłu, z takiej atmosfery humorystycznej może w każdej chwili zabłysnąć iskra.

Są ludzie, którzy się od takich światel odwracają, nazywając żart niebezpiecznym, humor lekkomyślnym a dowcip stratą czasu. A jednak dowcip posiada godność swoją i cel szlachetny, gdyż odpowiednio użyty jest rozumny, moralny, zabawny i pobudzający w najwyższym stopniu. Porson mówi, że „dowcip jest najlepszym rozumem w świecie,“ wszystko prawdziwie dowcipne jest jądrem zwartej myśli, rodzajem Liebiga literackiego, „extractum carnis,“ rozumu.

Poeta próżny prosił pewnego razu Porsona o przeczytanie świeżo napisanego poematu i szczerze wypowiedzenie swój opinii. „Panie, odpowiedział uczony, pańskie wiersze będą czytane gdy o Wirgiliu świat zapomni, nie wcześniej.“ Czyż tu niema rozumu?... „Doktorze, jak żyjesz, będąc tak starym i bogatym?“ „Zapisuję lekarstwa, których sam nigdy nie używam;“ była odpowiedź dowcipna i rozumna. „Mężczyzna, mówi przysłowie,“ prowadzi kobietę do ołtarza a tam kończy się jego przodownictwo.“ Czyż nie prawda?...

Nie wielu było wielkich kaznodziejów, którzyby nie posiłkowali się bronią dowcipu i satyry. Współczesnym kaznodziejom francuzkim, irlandzkim i włoskim, szczególnie południowym, nie brak humoru, przed użyciem którego nie cofają się wcale. Pewnej niedzieli słotnej, Rowland Hill, wiedząc, że niektórzy chronią się do kościoła przed deszczem, powiedział „Słyszałem o ludziach, którzy z religii swojej robią płaszcz, lecz dziś dopiero poznałem takich, którzy z niej robią deszczochron.“

Humor na ambonie działa nieraz więcej niż powaga. Jeżeli nie zdołamy zawstydzić człowieka, że źle zrobił, możemy często przejąć go obawą śmieszności; człowiek, który nie odczuwa, że jest grzesznym, może być często przekonany o tém, że jest głupi.

Dowcip nietylko jest wysoce moralnym, lecz bywa jednocześnie nadzwyczaj zabawnym i pobudzającym. Rozum idzie normalnie jedną drogą, dowcip odwraca w inną; jestto proces odświeżający. Stary koń, który przez sześć dni w tygodniu chodzi ciągle wkółko przy maszynie, zostawszy sam w niedzielę jak odpoczywa? Zwrócono uwagę, że w pewnej godzinie, o której rozpoczyna zwykle swą pracę, wstaje i chodzi wkółko, tylko w odwrotnym kierunku. Jestto działanie odwrotne w jego mózgu i to go orzeźwia. Dowcip ma właśnie owę siłę orzeźwienia.

Zawiera on przesadę, odwrotną stronę idei, promień pewnej niewłaściwości i niemożliwości. Skoro we śnie mysz nam się ukaże tak wielka jak dom, ani nas to zadziwia ani bawi, gdyż we śnie tracimy zmysł porównania; lecz na pantomimach zawsze ma pewne powodzenie mysz wielka jak dom lub mucha wielkości wołu. Kiedy kłown w cyrku patrząc z podziwem na sztuki konia, posłusznego każdemu skinieniu pana swego, zawoła do publiczności „Zadziwiająca jest rzeczą jak te owady wyuczyć można;“ odwrotna strona myśli jest zabawna, gdyż w mózgu naszym następuje błyskawiczne porównanie rumaka z komarem np. lub muszką. Gdy Dickens mówi nam o damie, którą nieśli do domu „w potoku łez i w lektyce,“ wówczas zabawnie oddziaływa na nas bezpośrednio poczucie niewłaściwości. Gdy kuglarz, pokazując małą czaszkę, zapewni publiczność, że to jest czaszka poety Burnsa, g dy był dzieckiem, wrażenie niemożliwości spada na nas jak zimny strumień przysznica. Gdy następnie, pokazując krokodyla wypchanego, mówi: „Panowie i panie, to zwierzę ekscentryczne zamieszkuje wyspę samotną, o 75 mil odległą od jakiegokolwiek lądu lub morza,“ wówczas prawdziwa naturalność głosu robi ten absurd krzyczący jeszcze zabawniejszym.

Dowcip amerykański ma trzy korzenie główne, wyrastające z charakteru narodowego i nieodłącznie związane z pierwszą historią Amerykanów. Na pierwszym planie stoi kolizya pomiędzy interesem a pobożnością; jestto zawsze źródło obfite komedyi dla cudzoziemców. Ci pierwsi ojcowie emigranci, którzy wyszli dla wytworzenia nowej cywilizacji i zdobycia nowego świata tak byli przezorni bardzo jak pobożni. Będąc męczennikami idei religijnych jednocześnie wcielali się w stronę praktyczną życia rzeczywistego.

Nie mam nic do powiedzenia, mówi Haweis, przeciw interesowi i religii idącym ręka w rękę. Cele ich są równoległe i niekoniecznie wrogie, mają lub niechęby mogły częstokroć bliskie kanały komunikacji, lecz zwyczaje oraz instynkty rozwijane przez nie są zbyt często nieprzejednane praktycznie a niekiedy rażąco sprzeczne. „Janie, mówi pobożny handlarz, czyśś pomieszał piasek z cukrem?—tak, panie;—dodałeś słoniny do masła?...—tak, panie;—pomączyłeś imbir?...—tak, panie.—

No, to idź do pacierza.“ Satyra Irvinga, wymierzona przeciw prawnikowi Yankesów, który ujrawszy widmo nawrócił się i już odtąd nie oszukiwał nigdy „z wyjątkiem, gdy o jego własną korzyść chodziło“ uderza właśnie w tego ducha, który będąc moralnie opłakanym, posiada w sobie niewyczerpany żywiół komizmu.

Inną podstawą humoru amerykańskiego jest kontrast narodowy jaki istnieje dla każdego Amerykanina pomiędzy Yankesem a biednym czerwonoskorym. Irving i Ward stworzyli do spółki na ten temat wielką sztukę p. t.: „Knickerbocker.“ Wreszcie kontrast pomiędzy kolosalnością natury amerykańskiej a małością człowieka, zwłaszcza europejskiego, zdaje się być nigdy nie wysychającym źródłem zabawy dla humorystów Yankesowskich. Według dowcipu jednego z nich, Niagara zgasiłaby nasz Wezuwiusz w dziesięć minut. Największe rzeki nasze są w porównaniu z Mississipi i Missuri tylko strumykami szmerzącymi, Alpy i Pireneje są karłami a pola nasze i drzewa mają się jak pastwiska i krzewy do dziewiczych lasów i bezbrzeżnych stepów Ameryki. Turysta amerykański, zapytany jak mu się podobała wyspa Wigt, odpowiedział: „Dość ładna, lecz niebezpieczna, gdyż można bardzo łatwo spaść z łóżka w morze, tak jest maleńka.“

Pierwszym humorystą i nieledwie pierwszym pisarzem amerykańskim jest Waszyngton Irving, urodzony 3-go kwietnia w Nowym-Yorku a zmarły w r. 1859; matka jego była Angielką, ojciec szkotem. Irving zajmował rozmaite stanowiska publiczne, ostatecznie był ambasadorem w Madrycie. Większą część życia przepodróżował, przebywając bardzo długo w Paryżu, w Londynie, w Szkocji, Niemczech, Szwajcaryi i Hiszpanii a wszędzie przyjmowano go nader serdecznie w najwyższych sferach arystokratycznych, politycznych, naukowych, literackich i artystycznych. Jako pisarz popularność miał wielką, był historykiem, biografem, powieściopisarzem. W tém miejscu chcemy o nim pomówić jako o humorystę.

Głównym źródłem humoru Irvinga, są jego „Sketch-book“, zawierające słynną historią „Rip van Winkle“, legendę „Of sleepy Hollow“ i wyborne opowiadanie „The Headless Horseman.“ Tu należą jeszcze: „Bracebridge Hall“ z genialnym „Bachelor Confessions“, „Culprit“ i zabawna historia „Stout Gentleman“ tak podziwiana przez Dickensa.

Tajemnica potęgi Irvinga leży w pewnym rodzaju spokojnej absorbcyi i koncentracji. Utożsamia się on całkowicie ze wszystkiem co go otacza, opisuje to co widzi oczami ducha a wzrok jego jest jasny i obserwacja dokładna, tak, że maluje szczegóły z fotograficzną dokładnością, okazując przytém dar oryginalności w wyborze przymiotników i rzeczowników do odtworzenia siły i różnorodności stworzonych przez niego obrazów. Jest on pełen dowcipu jedrznego przy wysłowieniu szlachetnym a przejrzystym.

Oliwer Wendel Holmes ur. w 1809 r. był profesorem anatomii przez lat 15 w Dartmouth, poczem rozstawszy się z medycyną, poświę-

cił pióro literaturze nadobnej. Jest on poetą, lirycznym, dydaktycznym i nowelistą a jako humorysta, zdobył sobie rozgłos takiemi utworami jak: „Professor,“ „Autocrat“ i „Poet at the Breakfast Table.“

James Russel Lowell poeta, uczony, krytyk, dyplomata i pedagog, zajmuje trzecie z kolei miejsce w książce Haveisa, który, straciwszy z oczu cel główny, rozbiera szeroko wszystkie prace tego pisarza, nie wyłączając studyów jego nad Szekspirem, Lessyngiem, Rousseau i t. p. W tym rozdziale najmniej humorystyki.

Charles Farrer Browne, znany pod pseudonimem Artemusa Ward (ur. w Waterford roku 1836), Marek Twain, którego humoreski wyszły w przekładzie polskim p. A. Gruszeckiego i Bret Harte wypełniają książkę p. Haveisa.

Nie możemy tu powtarzać charakterystyki każdego z tych pisarzy, gdyż autor przedstawia je w rozbiórce samych utworów, z których przytacza bądź oderwane aforyzmy, bądź też całe ustępy. W ogólności książka czyta się z wielkiem zajęciem i daje dokładne pojęcie o przedmiocie, chociaż w wielu miejscach będzie niejasna dla czytelników, którzy z literaturą amerykańską i angielską nie mają bliższej znajomości.

J. A. Świącicki.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Kwiecień 1883.— W ubiegłym miesiącu odbywały się doroczne zebrania ogólne różnych naszych stowarzyszeń ekonomiczno-finansowych, które obudziły pewien głośniejszy ruch nie tylko pomiędzy kupcami i przemysłowcami, ale i pomiędzy rolnikami. Dnia 11 kwietnia odbyło się pod prezydencją senatora Gudowskiego, posiedzenie ogólnego zebrania Towarzystwa wzajemnego kredytu, na którym ujawniał się nieuzasadniony, a w każdym razie zawsze szkodliwy antagonizm między zawodem rolniczym a kupieckim i przemysłowym, antagonizm wynikający przeważnie z teoretycznej doktryny, nie rachującej się ściśle z faktycznymi warunkami istnienia instytucji finansowej. W zapale obrony zarządu przed zarzutem jednostronnego działania, faworyzującego handel, słyszeliśmy argument zupełnie nieuzasadniony, jakoby wielka liczba dóbr ziemskich, zalegających w opłacie rat T-wu Kr. Z., miała dowodzić słabszej ręką kredytowej własności ziemskiej od ruchomego kramiku; boć wiadomo każdemu, że z liczby dóbr nie wnoszących rat w terminie, nadzwyczaj mała cyfra dopuszcza do sprzedaży. Przyczyna zaległości leży właśnie w utrudnionych warunkach kredytowych dla rolnika, któremu kary od zalegającej raty taniiej wypadają, aniżeli pożyczka na procent lichwiarski. Ogólny rezultat działalności Towarzystwa przedstawia się w pomyślnym świetle, jak to donosiły szczegółowo pisma codzienne, na zasadzie sprawozdania drukiem ogłoszonego.

Wśród pmiarkowańszej daleko atmosfery odbyło się posiedzenie ogólnego zebrania Towarzystwa warszawskiego Ubezpieczeń od ognia w dniu 14 kwietnia. Bilans przedstawia się stosunkowo zadawalniająco, nawet pomyślnie w porównaniu z rezultatami, jakie osiągnęły inne Towarzystwa, w kraju naszym działające. Zwracając uwagę na szkody podług kategorii dóbr ubezpieczonych, widzimy, że najmniej szkód było w dziale rolnym, bo na 100 rubli składek w nieruchomościach 60, w ruchomościach 51 rubli; podczas gdy ubezpieczenia miejskie przędzy strata w nieruchomościach 79, a w ruchomościach 98 rubli na 100 rubli składek. O ile polepszyły się ubezpieczenia rolne, o tyle pogor-

szły się dział fabryczny. Bliższe szczegóły podały pisma codzienne na zasadzie ogłoszonego drukiem sprawozdania.

Dnia 27 kwietnia odbyło się doroczne posiedzenie ogólnego zebrania Banku dyskontowego, instytucji powstałej przed 12-tu laty, a rozwijającej się z pomyślnością. Kapitał wniesiony do Banku wynosi dziś dwa miliony rubli w 8000 akcyach, po 250 rs. każda. Zysk wyniósł 253,674 rs., czyli 12,68% na akcyą. Całkowity obrót operacyi Banku wynosi w ogóle przychodu i rozchodu przeszło 255 mil. rs.; samych weksli dyskontował Bank dziennie średnio na 28,341 rs. Fundusz rezerwowy Banku wynosi 197,297 rs.

— W kwietniu r. b., wyszło z druku „Sprawozdanie pierwsze z czynności komitetu zarządzającego Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowym, imienia d-ra medycyny Józefa Mianowskiego, za czas od 6 października 1881 do końca roku 1882.“ Widzimy z niego, iż w tym czasie złożono komitetowi kasy 55 próśb o zapomogi i pożyczki. Z nich uwzględniono 21, odmówiono 31, pozostały do załatwienia 3. W liczbie 21 udzielonych pożyczek i zapomóg jest 9 na cele i badania naukowe (razem na 3,630 rubli), 6 na wydawnictwa naukowe (razem na 2,057 rs. 30 kop.) i 6 dla osób, które już przedtém dały się poznać z prac naukowych (razem na 895 rubli). Ogółem do końca 1882 roku wypłacono tytułem zapomóg i pożyczek 6,582 rs. 30 kop. Ponieważ pożyczki te po większej części są długoterminowe, do spłacenia w ratach, na rachunek ich w ciągu 1882 r. wniesiono przez dłużników tylko 50 rubli. Przychód kasy wynosił w ciągu tego czasu bądźto ze składek członków, bądź z ofiar, bądź z procentów, 26,549 rubli 11 kop., wydatki 6,801 rubli 79 kop. Pozostało 19,747 rubli 32 kop. Członków założycieli jest 65, honorowych 54, rzeczywistych 634.

— W kwietniu r. b. mieli odczyty w sali ratuszowej na dochód kasy imienia Mianowskiego: 1) d-r Jędrzejewicz „O przejściu Wenery przez tarczę słoneczną;“ 2) Napoleon Milicer: „Żelazo w przyrodzie ziemskiej;“ 3) St. Kramsztyk: „Aerolity;“ 4) Br. Znatowicz: „Związki żelaza;“ 5) Eugeniusz Peplowski: „Otrzymywanie z rud surowca żelaza;“ 6) Ludwik Wojno: „Żelazo kute i stal;“ 7) Eugeniusz Dziewulski: „Własności magnetyczne żelaza i stali.“

— We Włoszech obchodzono dnia 28 marca jubileusz Rafaela nader uroczyste, zwłaszcza w rodzinnym mieście sławnego malarza, Urbino. Towarzystwo zechęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem obchodziło tę uroczystość w Warszawie dnia 5 i 7 kwietnia przez dwa odczyty, z których jeden wypowiedział prof. H. Struve: „Rafaël, jego rozwój artystyczny i znaczenie w dziejach sztuki,“ drugi zaś, wice prezes Tow. Zach. Szt. Piękn. w Król. Pol. Wojciech Gerson: „Techniczny rozwój talentu Rafaela.“

— Komitet krakowski wystawy za bytków z czasów Sobieskiego ogłasza, że codzień przybywają deklaracye osób, które z własnej inicjatywy śpieszą objawić gotowość wzięcia udziału w wystawie. Książę Tadeusz Lubomirski nadesłał wydane przez siebie katalogi prywa-

tniej biblioteki Sobieskiego. Publikacya to kosztowna i piękna, a nader ciekawej treści. Prócz tego, książkę przyrzekł nadesłać później znak hetmański z bitwy chocimskiej, 1621 r. Hrabiowie Antoniowie Potoccy przyrzekli namiot po Małachowskich, zdobyty na Turkach pod Wiedniem, dwa kobierce złotem i srebrem tkane, rzęd na konia srebrem nabijany, części rzędu brązowego, portret współczesny Teofili z Sienickich Karwickiej, podkomorzyny sandomierskiej, a damy honorowej królowej Maryi Kazimiery, dwa puhary srebrne, gdańskiej roboty, 4 łyżki srebrne, tacę srebrną pięknie kutą; hr. Witold Jundziłł portret współczesny Jana III w ramach z herbem Sobieskich u góry, pochodzący z galerii Dereczyńskiej księcia Franciszka Ksawerego Sapiehy; hrabina Henryka Załuska dwie makaty z końca XVII wieku, jedne z najpiękniejszych jakie się w Krakowie znajdują; magistrat m. Kałusza zawiadania o pamiątkach wojennych po wyprawach Sobieskiego. Spodziewać się należy, że za tym pięknym przykładem pójdą i inne magistraty miast galicyjskich, zgłaszając się z własnego popędu do komitetu krakowskiego. W dalszym ciągu zaproszeń do wzięcia udziału w wystawie, wysłał téż komitet listy do zgromadzenia OO. Bernardynów w Sokalu, do kapituły katedralnej gr.-kat. w Przemyślu, hr. Józefa Drohojowskiego we Lwowie, hr. Bolesława Starzeńskiego w Nicei, p. Łączkiego w Posadowie, p. Rembowskiiego i konwentu OO. Kapucynów w Królestwie Polskiem, hr. Stanisława Tarnowskiego, hrabiny Henryki Załuskiej, dyrekcji szkoły sztuk pięknych, p. Komorowskiego, Suffczyńskiego i p. Zygmunta Radziwińskiego w Krakowie, p. Karola Rogawskiego w Olpinach, p. Nabelaka i do konwentu OO. Dominikanów w Żółkwi, do hr. Stanisława Stadnickiego w Krysowicach, dr. T. Rewolińskiego w Radomiu, pani Heleny Dąbskiej w Zaborowie. Komitet wystawy czyni właśnie starania, aby się dowiedzieć o adresie p. marszałka Wincentego Sarneckiego, oraz margrabiego Bute, którzy mają posiadać znakomite po rodzinie Sobieskich pamiątki.

— Pomnik Mickiewicza. Nowy komitet konkursowy w sprawie pomnika Mickiewicza zbierze się w krótkim czasie dla naradzenia się nad nowemi warunkami konkursu. Mamy nadzieję, że uwagi, które w téj kwestyi w zeszytynie niniejszym Bibl. Warsz. ogłasza, nie ujdą troskliwej bacznosci komitetu, który będzie się musiał ściśle obrachować nietylko z samém zadaniem, ale i ze środkami, któremi prawdopodobnie będzie mógł rozporządzać. O ile rzeczywiste położenie sprawy odpowiada pierwotnym projektom, łatwo już dziś przewidzieć, że świetnym zamiarom nie odpowiadają dotychczas skromne środki, któremi rozporządzać można. Z tego, co nam donoszą z Krakowa, wypłytnie znów na wierzch przedewszystkiem kwestya miejsca, czyli placu publicznego, na którym pomnik ma stanąć. Prawie napewno twierdzić można, że rynek się nie utrzyma, gdy trzeba będzie odstąpić od monumentalności zbyt wielkiej i okazałej. Sztuka nic nie straci na zmianie miejscowości, owszem: nowo projektowany plac, mający powstać pomiędzy dawnymi gmachami uniwersytetu a budującym się pięknem

Collegium, kosztem ogródka uniwersyteckiego i przedłużenia ulicy Gołębięj, stanie się wybornym punktem tak ze względów artystycznych, jakotóż i idealnych. Plantacye połączone z placem Mickiewicza przedstawiają w tém samym miejscu imponujący, majestatyczny, piękny widok na kopiec Kościuszki.

— Towarzystwo czytelni ludowych w W. Ks. Poznańskim wykazało na doroczném posiedzeniu, odbytém d. 21 kwietnia, że rozposzechniono częścią darmo, częścią po bardzo niskiej cenie, około 30,000 książek. Z liczby téj umieszczono 22,000 w wypożyczalniach bezpłatnych po różnych miastach i miasteczkach Księstwa; czytelni takich jest już 60, z których dwie mieszczą się w samym Poznaniu. Bibliotek po wsiach przybyło w roku ubiegłym 124. Wydano także, w drodze konkursu „Weterynaryą popularną“ i rozpisano nowy konkurs na powieść osnutą na tle dziejowém, z nagrodą niską wprawdzie, bo tylko 150 marek, a terminem do 1 października r. b. Rozchód i dochód Towarzystwa wynosił okrągłe 12,000 marek, pomiędzy temi ze sprzedaży książek wpłynęło blisko 3,000. Ostatnia ta okoliczność, jak niemniej fakt ciągłego rozwoju Towarzystwa, świadczy zaszczytnie o rosnącym wśród niższych warstw społeczeństwa zamiłowaniu do zdrowego pokarmu duchowego. Dowodem tego jest téż coraz liczniejsze żądanie książek i domaganie się jużto urządzania biblioteczek, jużto zakładania wypożyczalni publicznych. Towarzystwo jednak, mimo ofiarności społeczeństwa, nie ma dosyć funduszków na zadosyćczynienie wszystkim żądaniam.

— Dnia 18 kwietnia przed rejentem Stanisławem Zawadzkim zawarty został akt spółki Muzeum pszczelniczego. Kapitał zakładowy oznaczony na 40,000 rubli, składa się z czterystu udziałów po 100 rs. Do spółki przystąpiło oprócz obywateli ziemskich i duchowieństwa z prowincyi, wielu obywateli warszawskich. Uczestnicy wybrali z pomiędzy siebie zarząd, który prowadzić będzie interesa spółki do ogólnego zebrania odbyć się mającego w połowie czerwca r. b.

— Na wystawie ornitologicznej w Wiedniu, przyznano złoty medal hr. Włodzimierzowi Dzieduszyckiemu za najbogatszy zbiór odmian ptaków pod względem barwy upierzenia, zaś panu Władysławowi Zontakowi dyplom uznania za preparaty.

— Z Łużyc Serbskich dochodzą wieści o pocieszającym rozbudzeniu się ducha narodowego wśród tamecznej ludności, pochodzenia słowiańskiego. Istniejące Towarzystwo Macicy serbskiej, krząta się już od pewnego czasu bardzo gorliwie około utworzenia w Budziszynie narodowego łużyckiego muzeum, w któremby znalazły pomieszczenie wszelkie pamiątki i zabytki słowiańskiej przeszłości łużyczan. Macica serbska pokłada wielkie nadzieje na tém muzeum i liczy na to, że dochody z niego otrzymane dadzą jój możność wydawania książek dla ludu, udzielania zapomóg kształcącej się młodzieży, zwłaszcza téj, któraby chciała się poświęcić stanowi duchownemu i zapełnić sobą coraz bardziej przeredzające się szeregi duchowieństwa łużyckiego, będącego

najsilniejszą dźwignią budzącego się ruchu. Plan muzeum nakreślony został bardzo szeroko, obejmie on działy archeologii, historii, językoznawstwa, etnografii, antropologii i sztuk. Przy muzeum mieścić się mają biblioteka i czytelnia, oraz drukarnia i księgarnia. Odpowiedni lokal urządzony zostanie na koncerty, widowiska, odczyty i towarzyskie zebrania. Wszystkie te projekta niestety mają jak dotąd bardzo wątką podstawę, bo Macica serbska liczy mało co więcej nad 200 członków, a dochody jej zaledwie przenoszące parę tysięcy marek, wystarczają tylko na pokrycie bieżących wydatków, kiedy tymczasem na samą budowę gmachu muzealnego, potrzeba, co najmniej 200,000 marek, które będzie trudno zebrać drogą dobrowolnych ofiar wśród samych żużyczan niezbyt licznych i wcale niezamożnych. Jest projekt urządzenia loteryi i wypuszczania akcji, jeżeli, rozumie się, władza na to zezwoli. Ofiary na budowę muzeum przyjmuje niestrudzony pracownik, któremu serbowie żużycy tak wiele mają do zawdzięczenia, kanonik Michał Hornik w Budziszynie, oraz tamże zamieszkały dr. Muke.

— Księgarz Adolf Rosenblatt w Miechowie urządził z dniem 1-go kwietnia r. b. przy swojej księgarni wypożyczalnię pism periodycznych w językach polskim, niemieckim i francuzkim pod korzystnymi warunkami.

— Terminologia techniczna. Komissya, wybrana z pomiędzy techników warszawskich, dla wprowadzenia w czyn uchwał pierwszego zjazdu techników, odbytego w r. z., zajmie się przedewszystkiem ustaleniem terminologii naukowej technicznej przez ogłoszenie słowników specjalnych dla każdej gałęzi wiedzy technicznej. W skład komisji wchodzi: pp. Feliks Kucharzewski redaktor „Przeglądu Technicznego,” Stanisław Szafarkiewicz redaktor „Inżynierii i Budownictwa,” inżynierowie Adam Braun i J. Heilpern, architekci J. Heurich i Grabowski, technicy Kossut i Edward Wawrykiewicz. Komisya znalazła już poparcie ze strony techników różnych zawodów, a między innymi przyrzekli współdziałać w pracach komisji: pp. Sporny, M. Rudnicki, dr. Weinberg i inni. Czyby nie należało zaprosić także którego filologa?

— Skroplenie tlenu. Według „Czasu“ profesorowie krakowscy dr. Zygmunt Wróblewski i dr. K. Olszewski, dnia 4-go kwietnia r. b. dokonali nader ciekawego eksperymentu w dziedzinie fizyki, mianowicie zgęszczenia tlenu czyli kwasorodu aż do stanu rosy. Gaz ten dotąd nigdy nie był widziany w stanie cieczy i był doprowadzony przez Cailletet'a w Paryżu tylko do tego stopnia, że uwolniony z pod bardzo wysokich ciśnień, tworzył widoczną mgłę. Nasi uczeni wystawiwszy tlen na działanie zupełnie niskiej temperatury, jaka nigdy jeszcze dotąd nie była przez nikogo otrzymana, przeprowadzili gaz ten w stan zupełnie ciekły. Nad tém zadaniem pracowano już od lat pięćdziesięciu, a rozwiązanie go stanowi jeden z najwyższych tryumfów fizyki doświadczalnej.

— Wspaniały obchód jubileuszowy odbył się 10-go kwietnia w Hadze z powodu trzechsetnej rocznicy urodzin sławnego badacza pra-

wa międzynarodowego Hugona Grotiusa. Na czele komitetu jubileuszowego stał książę Oranii. W Delfcie, miejscu urodzenia Grotiusa, wzniesiono na cześć jego pomnik.

— Ludwik Veillot zmarł dnia 7-go kwietnia w Paryżu. Ś. p. L. V. urodził się w r. 1813 w Boynes, departamencie Loiret, gdzie ojciec jego posiadał ubogi warsztat bednarski. Przy wrodzonych zdolnościach i pracy doszedł ś. p. L. do tego, że już w 19-m roku życia mógł się utrzymywać z pióra. Pisywał najprzód do dzienników prowincjonalnych, a z powodu ostrój polemiki miał kilka pojedynków. Przybywszy do Paryża w r. 1837, został naczelnym redaktorem doktrynerskiego dziennika „La Paix.“ Podczas pobytu w Rzymie w roku 1838 ze sceptyka zamienił się na gorliwego obrońcę katolicyzmu. Wydał opis tej podróży, oraz drugiej odbytej do Algieru w r. 1842, poczem w r. 1843 wszedł do redakcyi „Univers Catholique“ i odtąd stał się duszą tego pisma. Zostawszy redaktorem głównym „Univers,“ walczył przeciw uniwersytetowi, filozofom, rewolucyonistom i socyalistom, tak w swym dzienniku, jako i wydanych oddzielnie pismach i broszurach. Dziennik dwukrotnie zawieszany, po powrocie Veillot'a z Rzymu w r. 1867 stał się głównym organem kuryi. Po śmierci Piusa IX „Univers“ znowu był prześladowany w Paryżu, zawieszony i obłożony karą pieniężną w r. 1875. Pisma Veillot'a w różnych gałęziach publicystyki odznaczają się wielką dosadnością i niepospolitym kolorytem stylu; niektóre, jak: „Biographie de Pie IX, Parfum de Rome, Odeurs de Paris“ i inne, doczekały się kilku edycyi. Obalenie gallikalizmu w kościele francuzkim jest wyłącznie prawie dziełem Veillot'a, którego pismą jednocześnie nadawały ton i kierunek prasie kościelnój w Niemczech i we Włoszech.

— Dnia 19-go kwietnia odbyło się w Krakowie posiedzenie zwyczajne Akademii Umiejętności, wydziału filozoficznego pod przewodnictwem d-ra Estreichera, na którym prof. Malinowski przedstawił rozprawę p. Jana Bystronia: „O mowie ludowej Lachów nad rzekami Stonawką i Lucyną w Cieszyńskiem.“ Nadesłane w ostatnim czasie jeszcze dwie opinie w kwestyi ujednostajnienia pisowni odstąpiono komisyi językowej. Pisma krakowskie zamieściły kilka uwag przestrzegających tych, co nie rachując się ani z ważnością przedmiotu ani z inemi programowemi pracami akademii, poczynają się już niecierpliwić tém, że poważne grono naszych uczonych filologów i lingwistów nie pospieszyło jeszcze z wypowiedzeniem swojego ultymatum. Oceniając dokładnie ważność i trudność przedmiotu, pojmujemy zupełnie tę zwłokę i nie mamy odwagi sarkać na nią; dla tego dziwimy się tylko temu, że niektóre publikacye i wielu nauczycieli języka polskiego, przesądzając postanowienia Akademii, uczy i praktykuje samowolne nowości, które w następstwie jeszcze bardziej utrudnią samo dzieło ujednostajnienia pisowni. Potrzebę takiego kroku pojmują najlepiej ci, którzy, patrząc na paczenie się dźwięków mowy ojczystej pod wpływem języków urzędowych, pragnęliby zachować czystość nietylko ro-

dzinnéj mowy ale i wymowy. Wpływu grafiki nie można lekceważyć w terażniejszym położeniu szkół i literatury polskiej. Z tego powodu rozumiemy dobrze to zjawisko, że tacy mężowie jak prof. Jagić w Berlinie, nie czują téj praktycznej potrzeby i uważają ujednostajnienie pisowni za możliwe w takich tylko językach, które mają drobną dopiero literaturę. (Archiv f. slav. Philolog). Opinią tę ogłosił p. Wiśtockki (Przewodnik bibliograf., zes. 4-ty 1883 r., str. 77) za „pierwszy zdrowy głos w téj sprawie,” a za nim powtórzyło go kilka pism codziennych warszawskich, nie zastanowiwszy się głębiej nad naukową i praktyczną doniosłością kwestyi. Może i pan Wiśtockki, otoczony atmosferą biblioteki Jagiellońskiej, nie odczuwa dokładnie téj potrzeby; ale ztąd nie wynika, żeby jéj nie było w szkole i w literaturze polskiej wogóle.

— St. Skrzyński wydał w Krakowie broszurę p. t.: „Andrzej hr. Zamoyski,” w której obok strony apologetycznej znajdujemy wiele szczegółowych wiadomości o naszych stosunkach ekonomicznych od roku 1830 do 1862. Ideę pracy organicznej, podejmowanej wielokrotnie ale bezskutecznie od sejnu czteroletniego, wprowadził Andrzej hr. Zamoyski praktycznie w życie, i to zostanie zasługą Andrzeja hr. Zamoyskiego, która nastęrcza wiele materyału do głębokiego zastanowienia się nad tą sprawą i w terażniejszości.

— Wydawnictwa angielskie w kraju naszym należą do rzadkości. Polacy, piszący w tym języku, drukowali przeważnie zagranicą, a mianowicie w trójkrólestwie, lub w Ameryce. Pomijając prace treści politycznej, ogłaszane różnemi czasy przez Gnorouńskiego i Górowskiego w Londynie, Hordyńskiego w Bostonie, Domańskiego w Düffield, historycznych Borkowicza, Krasińskiego, Borusławskiego, religijnych i okolicznościowych, jak ks. Brzezińskiego, Chodasiewicza, Beniowskiego, mamy cały szereg przekładów, dokonanych na angielski przez naszych ziomków (Sobolewski, Niemcewicz, Szadurski), roboty dziennikarskie Hoffmana, Dybowskiiego, Sulimy, Wiszniewskiego i Naakego, wreszcie cały szereg gramatyk i wypisów, jak Rykaczewskiego, Kasprowicza, Kopernickiego i t. d. Daleko trudniej przyszyłoby nam wymienić książki drukowane w kraju, może właśnie dlatego, że ich jest niewiele. W zeszłym wieku Jacek Przybylski wydał (1790) w Krakowie przekład Pope'a (Krytycy) z oryginałem angielskim. W tym wieku wydrukowano parę książek religijnych w Warszawie, jak Horna: „Commentary on the book of psalmes” (1839), Lubliner: „Celebration of the sabbath” (1835), w Wilnie Sławińskiego (Matematyka). Obecnie w téj kategorii ukazał się „Anglo-polish Lexicon“ Baranowskiego urzędnika Banku Polskiego w Warszawie, nakładem młodej firmy Lesmana. Po przedmowie, w dwóch językach, następuje gramatyka polska dla Anglików, w której przedewszystkiém zwrócono uwagę na głosownią, wreszcie t. z. słownik, a raczej zbiór wokabułu, bardzo niedokładny, z ich znaczeniem obok, przy czém dodano w szpalcie oddzielnéj: sposób wymawiania każdego wyrazu. Oto próbka: Compilation=zbieranie (z różnyh dzieł) zbyerawnyed z ró-

żnych dzyell. Wprawdzie to nie nasz interes, lecz Anglików, uczących się polszczyzny z książki p. Baranowskiego; zapytamy jednak, z kąd jego pupil domyśli się, co ma znaczyć „z różnych dzieł?” Podobnie „to Cast” ma znaczyć po polsku: oolats (dzyalho), a „Catgut” keesha z ctoorayī syen crentson stroony doh skshyptsoof (dlaczego do skrzypców?). Nie będziemy czytelników męczyć powoływaniem tych dziwadeł, powiemy tylko, że mechaniczna metoda autora nie przedstawia nic nowego. Pomysły tego rodzaju, przez Niemców słusznie Eselsbrücke zwane, mają nadzwyczaj ciasny zakres nawet praktycznego zastosowania. Anglicy przecież mają dobre polskie gramatyki Haustajna i Chodźki, wreszcie liczne podręczniki à la Ollendorff. Autor uraczył ich rzeczywistemi hieroglifami, które można przecież uczynić było dostępnymi, posługując się w wymawianiu tą metodą, jakiej my się trzymamy w nauce angielskiego języka, a mianowicie przez podanie ogólnego klucza do brzmienia głosek i sylab, odznaczając je pomocniczo numerami, oraz powołując obok brzmienia po niemiecku lub po francuzku, jeżeliby w danym wypadku klucz nie wystarczał. Anglik uczący się z książki p. Baranowskiego będzie znał bardzo małą ilość wyrazów, a co gorsza, nikt go nad Wisłą nie zrozumie. Rzeczy jednak biorąc z praktycznego stanowiska, możemy się o to nie troskać, raz, że na spisie prenumeratorów spostrzegamy, iż nabywcami dykcyonarza są przeważnie Polacy, którzy przecież nie będą się z niego uczyć własnego języka; drugi raz, iż Anglicy, jak nas przekonywa „Edynburski dziennik górniczy” (także kompetencya!), zupełnie są zadowoleni z téj pracy (vide odpowiedź od redakcyi w Tyg. Pow., Nr. 15), a zatem volente non fit injuria. W każdym razie odznaczamy wydawnictwo jako dowód ruchliwości młodej firmy, a przytém rzadkość; powiedziało się bowiem wyżej, że książki angielskie, w kraju naszym drukowane, moźnaby na palcach wymieniać.

— Ze zbioru powieści historycznych J. I. Kraszewskiego, wydawanych nakładem spółki wydawniczej księgarzy: Gebethnera i Wolffa, Michała Glüksberga, Maurycyego Orgelbranda, G. Sennewalda, Edwarda Wendego, wyszła nowa powieść p. t.: „Strzemieńczyk,” (czasy Władysława Warneńczyka), w dwóch tomach. Publikacya ta obejmuje dotychczas następujące powieści: 1) „Stara baśń” 2 t.; 2) „Lubonie” 2 t.; 3) „Bracia Zmartwychwstańcy” 3 t.; 4) „Masław” 2 t.; 5) „Boleszcyce” 2 t.; 6) „Królewscy synowie” 4 t.; 7) „Historya prawdziwa o Petrku Właście” 2 t.; 8) „Stach z Konar” 4 t.; 9) „Waligóra” 3. t.; 10) „Syn Jazdona” 3 t.; 11) „Pogrobek” 2 t.; 12) „Kraków za Łokietka” 2 t.; 13) „Król Chłopów” 4 t.; 14) „Jelita” 2 t.; 15) „Biały książę” 3 t.; 16) „Semko” 3 t.; 17) „Matka królów” (czasy Jagiellońskie) 2 t. i najnowsza 18) „Strzemieńczyk” t. 2. Razem tomów 48.

— P. Wiktor hr. Baworowski ukończył przekład na język polski znakomitego dzieła Byrona p. t.: „Don Juan” 16 pieśni, zawierających około 167,000 w. Dziesięć poprzednich pieśni wyszło oddzielnie w trzech zeszytach (zob. „Biblioteka Warszawska,” 1879, zeszyt czerw-

cowy i 1882, zeszyt lipcowy) od r. 1863 do 1881. Ostatnie sześć zeszytów wyjdzie w ten sam sposób; poczem dopiero zajmie się szanowny tłumacz wydaniem całkowitego przekładu, nad którym około 20 lat pracował. Dla umożebnienia wydania zbiorowego Byrona ma hr. Baworowski zamiar przełożyć jeszcze na język polski kilka innych poematów, jako to: „Beppo,“ „The age of Bronse,“ „English bards and scotch reviewers“ etc.

— Rada państwa, rozpatrzywszy projekt ministra skarbu co do zniesienia warszawskiego gubernialnego archiwum Królestwa Polskiego, postanowiła zwinąć warszawskie gubernialne archiwum akt dawnych, a znajdujące się w niem akta przenieść do archiwum głównego Królestwa, którego etat równocześnie powiększono, otwierając w archiwum głównem 2 posady pomocników archiwisty, mianowicie starszego i młodszego pomocnika archiwisty.

— Pamiętniki. W Stanach Zjednoczonych ukazały się w tych dniach pamiętniki Jakóba Buchanan'a, ostatniego prezydenta demokratycznego wielkiej Rzeczypospolitej. Był to prawdziwy przyjaciel kraju naszego i opiekował się bardzo powstawaniem pierwszych osad polskich w stanach Illinois i Texas. Ustępny pamiętnika tyczące się tego przedmiotu, są dla nas bardzo interesujące. Książka nosi tytuł: „Life of Buchanan,“ a wyszła pod redakcją Jerzego Curtis'a.

N e k r o l o g i a.

— † Dnia 28 marca 1883 r. umarł w Krakowie *Julian Horain*, współpracownik dzienników polskich, autor wdzięcznych nader obrazków powieściowych, tłumacz dzieł kardynała Wisemana, Feuilleta i Bérangera. Ś. p. Julian Horain urodził się w Radoszkowiczach w powiecie Wilejskim w roku 1821. Kształcił się w szkołach mińskich, następnie w uniwersytecie moskiewskim, nareszcie w Paryżu. Po powrocie do kraju około r. 1850, był współpracownikiem „Dziennika Warszawskiego.“ Później zamieszkał w okolicach Mińska gubernialnego, gdzie posiadał majątek ziemski, i gdzie zawiązał jaknajserdeczniejszy stosunek przyjaźni z Ludwikiem Kondratowiczem, mieszczącym wówczas w Załuczu nad Niemnem. Wydał: 1) „Chwile stracone,“ Wilno, 1859; 2) „Domowa zagroda“ z Feuilleta, Wilno, 1859; 3) „Lampa w Przybytku Pańskim“ kardynała Wisemana, Wilno, 1859; 4) „Ostatni z Kończyców“ w „Tygodniku Illustrowanym.“ Postradawszy wśród niepomyślnych okoliczności mienie, szukał schronienia (1871), pomyślniejszego bytu dla rodziny w Ameryce, a po dzieiesięciu latach smutnego pasowania się z losem, podtrzymując się korespondencyami do pism krajowych, powrócił do Europy i osiadł we Lwowie, z kąd przeniósł się był do Krakowa, gdzie go śmierć zabrała.

— † Ś. p. *Janusz Ferdynand Nowakowski*, znany w Warszawie lekarz i publicysta, zmarł dnia 10-go kwietnia r. b. w 50-ym roku życia. Urodził się w r. 1832 w miasteczku Skale pod Grodziskiem w ziemi krakowskiej, kształcił się w Kielcach, w Akademii Medyczno-chirurgicznej i w Szkole Głównej, przebywał czas jakiś we Wrocławiu i Pradze, nareszcie osiadłszy w Warszawie trudnił się praktyką lekarską prywatną; był jednym z organizatorów zakładu kumysowego w ogrodzie Saskim, i pod koniec życia lekarzem miejskim. Wcześniej brał się za pióro, i dawał artykuły do „Biblioteki Warszawskiej,“ „Tygodnika Illustrowanego“ i „Gazety Warszawskiej,“ oraz organów specjalnych lekarskich. Nowakowski był jednym z pierwszych, którzy drogą publicystyki pracowali nad zbliżeniem Polaków ze Słowianami zachodnimi. Niektóre z artykułów pisanych w tym celu ukazywały się też w osobnych broszurach, jak np. „Owiedziny u Józefa Lompy mieszczanina szlązkiego“ (Wilno 1861), „Książd Wacław Sztulc tłumacz Mickie-

wicza (Warszawa tegoż roku), „Życie i prace naukowe Jana Purkyniego“ (Warszawa 1862), „Opis choroby prof. Kwietka“ i kilka innych. Z pomiędzy prac lekarskich Nowakowskiego wymienimy tom drugi „Anatomii opisowej ciała ludzkiego,“ sumiennie i poprawnie przełożony z dzieła niemieckiego Józefa Hyrtla pospołu z dr. Ludwikiem Neugebaurem i wydany w r. 1865, oraz „Życie i prace Aleksandra Antoniego Le Bruna, b. dziekana wydziału lekarskiego i profesora kliniki chirurgicznej w Szkole Głównej“ (1868). Ś. p. Nowakowski nie odznaczał się w swych pismach artystyczną formą literacką, ale prace jego zalecała zawsze sumiennność, zapał do dobrego i dążność prawdziwie obywatelska. Cześć jego pamięci!

— Dnia 17-go kwietnia r. b. umarł w Warszawie *Feliks Erlicki*. Ś. p. Feliks Erlicki był przez długie lata sekretarzem b. Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Marymoncie, następnie w Nowej Aleksandryi (Puławach) i zostawił pożyteczne dzieło p. t.: „Rys historyczny instytutów rolniczo-leśnych w Królestwie Polskiem. (Warsz. 1877).

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny J. K. Plebański.

Wydawca *Józef Berger.*

OGŁOSZENIA.

OD REDAKCYI BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ.

Biblioteka Warszawska, pismo poświęcone naukom, literaturze, sztukom i przemysłowi, wychodzi w r. 1883 tak jak dawniej na początku każdego miesiąca.

WARUNKI PRENUMERATY.

Prenumerata **Biblioteki Warszawskiéj** na rok 1883 wynosi w guberniach Królestwa i Cesarstwa, oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego:

	Rocznie . . .	rs. 12 kop. —
	Półrocznie . . .	„ 6 „ —
W Warszawie zaś:		
	Rocznie . . .	„ 10 „ —
	Półrocznie . . .	„ 5 „ —
	Kwartalnie . . .	„ 2 „ 50

Upraszamy o nadsyłanie prenumeraty wprost do **Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, Nowy-Świat, Nr. 68**, gdyż tylko wtenczas może Redakcja brać na swoją odpowiedzialność akurataną ekspedycyą pisma. Równocześnie upraszamy o wczesne nadsyłanie prenumeraty, ponieważ do tego musimy stosować ilość drukujących się egzemplarzy.

Przyjmują także prenumeratę wszystkie księgarnie w Królestwie i Cesarstwie.

Nadmieniamy, że dla informacji czytelników, dołączamy do pojedynczych zeszytów wszelkie ogłoszenia, które prócz handlu księgarskiego i antykwarskiego, mogą się także odnosić i do innych interesów. Opłata za te ogłoszenia wynosi:

Za ogłoszenie, zapelniające 1 całą stronicę formatu Bibl. Warsz.	rs	5
„ „ 1/2 stronicy	„	3
„ „ 1/4 „	„	2

ENCYKLOPEDIA WYCHOWAWCZA,

Pod redakcją J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego, S. Przyszańskiego i J. K. Plebańskiego, wychodzi w zeszytach 5-arkuszowych. Prenumerata wynosi kop. 40, z przesyłką kop. 50 za zeszyt. Można także wnosić przedpłatę po rs. 3 kop. 20 za tom, złożony z ośmiu zeszytów, z przesyłką rs. 4.

Skład główny i ekspedycja „Encyklopedyi Wychowawczej” znajduje się w Warszawie w księgarni Gebethnera i Wolffa, Krakowskie-Przedmieście, Nr. 415.

RODZINA KAKTUSÓW,

opisana i w systematycznym porządku przedstawiona, z dodaniem wiadomości o hodowli i pielęgnowaniu tych roślin, przez *Józefa Bergera*. Z 24 drzeworytami. Warszawa, 1882. Nakład autora; 8-ka, str. VIII, 233 i III. Cena rs. 1 kop. 50. Główny skład w księgarni Gebethnera i Wolffa.

T. Wolniewicz wydał nakładem swoim w drukarni W-go J. Bergera książkę do nabożeństwa dla młodzieży szkolnej, przerobioną ze znanj niegdys łacińskijs „*Schola Pietatis*“ pod tytułem:

SZKOŁA POBOŻNOŚCI,

czyli zbiór modlitw dla młodzieży. Warszawa, 1883, str. 256 i VI.
Skład główny u wydawcy, ulica Elektoralna Nr. 14.
